ROMAN WOLSKI

JEDEN Z WIELU

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

SKŁAD GŁÓWNY

KSIĘGARNIA J. PRZEWORSKIEGO

DRUKARNIA „LINOLIT" WARSZAWA

I

PRZYJACIELE

Po niedużym pokoju, skromnie lecz dostatnio umeblowanym, spacerował średniego wieku, miłej powierzchowności, o niebieskich oczach, niedużych przyciętych wąsikach, dobrze już oszronionych włosach, łysawy szatyn. Od czasu do czasu podchodził to do jednego, to do drugiego okna, oglądając pieczołowicie rosnące tam w wazonikach roślinki, z których oddzielał zeschłe lub pożółkłe liście. Strój jego odznaczał się czystością i pewną starannością. Z dobrodusznej zaś, uśmiechniętej twarzy, biło jakby jakieś zadowolenie.

W kącie, niedaleko kredensu, na niedużym dywaniku, leżał wspaniały san-bernard, śliczny psi okaz, o pięknych ciemno szafirowych ślepiach, które w swym obficie owłosionym jasnym łbie, opartym na wyciągniętych przednich mięsistych łapach, stale miał zwrócone na swego pana, jakby pragnął odgadnąć, jakie to myśli krążą w tej szpakowatej, łysawej głowie? Często też pomrukiwał, chcąc zwrócić na siebie uwagę. Jakby zaznaczał, że on tu jest i że ma prawo wiedzieć, o czem to pan jego myśli. Poczciwy ten pies w swem przekonaniu miał słuszną rację wnikać w najskrytsze zakamarki myśli i wspomnień swego pana, gdyż kochał go prawdziwie swem psiem

sercem, to jest z zaparciem się samego siebie i bez żadnych skrupułów. Gotów bez namysłu choćby w tej chwili poświęcić mu nawet swe życie, gdyby trzeba go było bronić przed napastnikiem. Czuł więc swym instynktem, że był mu wiernym i bodaj czy nie jedynym przyjacielem, więc też w swej psiej mózgownicy rościł sobie poniekąd prawo do tego, by pan się z nim dzielił swemi myślami.

Pan Wiktor Karyński, usłyszawszy nareszcie pomruki swego pupila, i ujrzawszy jego ślepia, tak wyraźnie skierowane na siebie, oderwał się od swej zadumy i podszedłszy do niego odezwał się:

— Co piesku, czego chcesz odemnie? Chcesz na spacer pójść, co?

Potężne psisko zerwało się na równe nogi i oparłszy swe przednie łapy na ramionach pana, chciało choćby troszeczkę liznąć twarz jego, a swym puszystym ogonem z radości tak silnie łomotało o kredens i obok stojące krzesło, aż huk się rozchodził po pokoju. Pan Wiktor też pogłaskawszy łeb swego pupila, przemówił do niego:

— Poczekaj Osmanku, poczekaj, niedługo pójdziemy.

Psisko jakby zrozumiało obietnicę, o którą mu najwięcej chodziło, i aż szczeknęło parę razy i podskoczyło z radości. Bo jakżeby inaczej miało być, wszak już pięć lat upływa, jak codzień po obiedzie chodzi ze swym panem na ową tak upragnioną przechadzkę. Dawniej, podczas szczenięcych swych lat Osman bez troski wylegiwał się na barłogu przy swej matce, olbrzymiej, jasnej, jakby upiększonej lwią grzywą bernardzicy. Na szerokiem zaś podwórzu, okolonem wokoło niby lasem wspaniałemi iglastemi i liściastemi drzewami, stała duża zielona psia buda,

a w niej zawsze świeża, sucha słoma. Tam też baraszkował z matką, wyskakując koło niej, to chwytając swym pyszczkiem jej długą sierść, to podgryzując jej duże, opuszczone płowe uszy, to powarkując na nią, jakby ze złością. Cierpliwe suczysko zaś, tylko łypało nań swemi matczynemi ślepiami, czasem polizało go po łbie, to wyiskało go, gdy mu pchełki dokuczały, a gdy szczeniak odczuł głód, to matka chętnie mu nadstawiała swych piersi, żeby nasycić swego jedynaka. Potem zaś, kiedy nabył go pan Wiktor, przez parę dni tęsknił do swej matki, lecz dobroć nowego opiekuna, który go pieścił, bawiąc się z nim codzień, i obfitość mleka, którem go karmił, pozwoliły mu zapomnieć o przeszłości i przywiązać się do swego pana.

Szczególnie polubił wycieczki w pole i do lasu, odbywane wspólnie z p. Wiktorem.

To też, gdy nadchodziła pora spaceru, niecierpliwy Osman poszczekując, towarzyszył panu do przedpokoju, w którym pan Wiktor ubierał się w płaszcz, kładł kapelusz i zdejmował z wieszaków smyczkę. Widoku tej Osmanek coprawda nie znosił, jakby myśląc, że ta rzecz jest zupełnie zbyteczna, gdyż piesek jest bardzo karny i posłuszny, więc też zawsze odwracał od smyczy swe ślepia. A gdy pan, otworzywszy drzwi od kuchni, zapowiedział swej słudze i gosposi w jednej osobie, że wychodzi, to rozradowany Osman miotał chwaścistym ogonem, ciągle spoglądając to na pana, to na drzwi. I już pan Wiktor pogłaskawszy pupila miał nacisnąć klamkę, lecz coś sobie przypomniawszy zawołał do pieska:

— Czekaj Osmanku! Zaraz idziemy — i wróciwszy do

kuchni, w której zmywała poobiednie statki średnich już lat niewiasta, odezwał się:

— Moja Agatko! Teraz popołudniowym pociągiem może przyjedzie pan Czeski. Proszę go tu zaraz przyjąć jaką zakąską, pozostałą z obiadu i dać mu herbaty, bo pewnie będzie głodny.

— O jus! Znów pan będzie go wypasał. A co to u nas hotel, albo jaka restauracja?

— Et Agatko! Wszak wiesz, że to jest biedny człowiek i nie posiada żadnych środków, a tu się stara o posadę, to dlaczegóż nie pomóc biedakowi?

— O jus, dosyć mu pan napomagał i dosyć się tu u nas wysiedział.

— Moja Agatko! Trzeba zawsze pomóc bliźniemu. Wreszcie proszę tak zrobić jak mówię. I proszę mu powiedzieć, że za dwie godzinki będę z powrotem z przechadzki.

— Ciekawa jestem, czy panu by tak dużo pomagali, jakby pan nie miał — mamrotała kobiecina, lecz pan Wiktor nie słuchając wyszedł z psem do przedpokoju i tam powstrzymał ujście radości Osmana, który zbyt głośno okazywał swe zadowolenie.

— Cicho, cicho piesku! Idziemy sobie na spacer. Niech ci się przypomni zwierzyniec Izmajłowski pod Moskwą, gdzie też takie harce wyprawiałeś po lesie. Tu, piesku, nie ma takiej swobody, jak tam, nie! Na ulicy twardy bruk, niema gdzie pobaraszkować. I ludzie wszędzie przeszkadzają. Poczekaj, pójdziemy dzisiaj za miasto w pole. Tam i powietrze będziemy mieli zdrowsze i Osmanek miejsca więcej mieć będzie.

Osman, kręcąc ogonem, wpatrywał się w mówiącego pana, a potem jakby zrozumiał, co pan mówi, i zaakceptował ten projekt głośnem szczęknięciem.

Pan Karyński zaś skierowawszy swe kroki w ulicę, wiodącą w pole poza ogrodami, trzymając smycz w ręku, zaświstał sobie jakiegoś kujawiaka. Twarz jego uśmiechnięta, o pełnych, czerwonych policzkach, znamionowała wesołego, zadowolonego, człowieka.

Żywot bowiem prowadził tu cichy, spokojny. Zajmował stanowisko starszego referenta w jednym z urzędów państwowych. Pensja aż nadto mu wystarczała. Ciężka praca przy tworzeniu odpowiedniego resortu w zmartwychwstałym państwie, nietylko że go nie zrażała, przeciwnie, z zamiłowaniem ją kontynuował, dziękując Bogu, że się spełniły jego tyloletnie marzenia. Przypomniał sobie to, jak za rosyjskich czasów — w instytucji, pokrewnej obecnej, błądził myślami o dawnej naszej przeszłości, o której mu dziadkowie w dzieciństwie opowiadali, wówczas kiedy z zesłania z Tajg Syberyjskich, już jako siwi. sterani starcy powracali. Senjorzy ci, pomimo wielkiego zmęczenia i swych matuzalowych lat, nie wątpili o tem żo podjęta przez nich, usilna praca wyzwolenia z pęt ojczyzny, będzie kontynuowana przez młodsze pokolenie i że nadejdzie chwila, że naród wyrwie się z rąk nienawistnych siepaczy. Pan Wiktor pamiętał to dobrze i spełniając wszelkie „prikazy“ od ówczesnych zwierzchników, myślał tylko o tem, kiedy nadejdzie ta upragniona chwila, kiedy zmęczony naród wykrzyknie hosanna! I choć sam nie prowadził ciągłej walki o wolność z zaborcami, to

jednak wiedział, że są całe szeregi powołanych do tej trudnej i niebezpiecznej pracy, i nie wątpił, że prędzej, czy później ci szlachetni apostołowie wolności, uciemiężony naród wyzwolą. Więc też teraz, gdy ziściły się jego marzenia, czując się wolnym obywatelem, całą piersią zażywał swobody.

Do warsztatu pracy zgłosił się sam, nie mając żadnej protekcji. Brak urzędników tego resortu, w jakim tyle lat u zaborców pracował, i świetna jego w tym zakresie rutyna, najlepiej go rekomendowały zwierzchnikom, którzy zdawali sobie z tego sprawę, jak potrzebni są tacy rutyniści. A jeżeli od młodszych, choć najbliższych zwierzchników, odczuł czasem jakąś przykrość, to z pobłażliwością ją przyjmował, jak grymasy od swego rodzonego dziecka. Gromił natomiast tych kolegów, którzy w takich wypadkach zanosili się złością, z żalem wspominając dawnych zwierzchników z czasów zaborczych, w których upatrywali więcej serca i względności.

W takich razach perswadował im i tłumaczył:

— Nie zawracajcie głowy! Nie byli oni wcale od obecnych lepsi, nie! Tylko zaborczy rząd nie był w takich ciężkich tarapatach, jak obecnie nasz i nie potrzebował stosować takich oszczędności. A to bardzo wpływa na rzeszę zwierzchniczą. Cośmy to po wskrzeszeniu państwa otrzymali, Tylko pomyśleć sobie; wszystko popalone, zniszczone, zniwelowane. Całe prowincje w zgliszczach. Mosty, koleje, drogi popsute, zrujnowane. Wszystko trzeba odbudować, reparować, a środków żadnych nie mamy. Więc też wszędzie jest krótko, wszędzie odczuwa się

brak. Nic więc też dziwnego, że i zwierzchnicy są podenerwowani.

A gdy mu oponowali i chcieli przekonywać, że niema racji bronić takiego postępowania, dowodził im zwykle:

— Musicie się uzbroić w cierpliwość, gdyż to jest kwestja niedługiego już czasu. Ci panowie nabiorą rutyny, sprawy nasze się ułożą, interesa materjalne poprawią, i wszystko pójdzie równym trybem. A najważniejsza rzecz to ta, że obecnie jesteście w swym własnym domu, gdzie zawsze łatwiej zaprowadzić porządek, niż u kogoś w cudzej komorze. Trzeba tylko teraz szczerze i uczciwie pracować.

I tak życie p. Wiktora biegło spokojnie. Ciągle tylko myślał nad tem, żeby jaknajprędzej wszystko doprowadzić do należytego porządku. Każdą też przeprowadzoną umiejętnie inowację, czy to w tej dziedzinie, w której pracował, czy też w innym jakim resorcie, witał z radością i cieszył się tem, jakby od tego zależał jego osobisty interes. To nieraz pobudzało jego biurowych kolegów do serdecznego śmiechu, lecz na to nie zwracał uwagi.

W biurze bardzo lubiono p. Wiktora chociaż miano go za dziwaka, i on też serdecznie odnosił się do swych młodszych i starszych kolegów. Więc ciągle był ze wszystkiego zadowolony i zawsze w dobrym humorze.

Pan Wiktor, wyszedłszy w pole znalazł się między obfitemi łanami dojrzewającej pszenicy, która, mieniła się jak złoto, w promieniach letniego słońca, falując, za najlżejszym podmuchem wiatru. Morze tych wspaniałych łanów, na szmaragdowem podszyciu przydrożnych traw,

gęsto usianych pięknym polnym kwiatem, usposobiłoby dodatnio największego nawet sceptyka, a cóż dopiero takiego entuzjastę, jak pan Karyński. Świsnął więc głośno na Osmana, który gdzieś zaszył się między zagony pszenicy, może myszki, a może i przepióreczki węsząc. A gdy piesek przyleciał do niego, znów mu w oczy zaglądając, p. Wiktor zawołał:

— Co, ładnie tu piesku, ładnie! Chyba kontent jesteś, żem cię tu przywiózł, bo tam pod Moskwą, gdzieś na świat przyszedł, nie jest tak ładnie, o nie!

Osman jakby zrozumiał, podskoczył do niego i polizał mu rękę. P. Wiktor dodał:

— I głodu też nie mamy, piesku, nawet często gęsto Osmanek bułeczki i kawałek mięsa dostanie. Nie tak, jak to tam było, jakeśmy ciągle głodowali — dokończył pan Wiktor, głaszcząc psa po pięknym i mądrym łbie, aż Osmanek znów parę razy szczeknął z radości.

Słońce już opuszczało się coraz niżej ku ziemi. Pole zaczęło się cieniem pokrywać. Rosa już trochę skropiła łany i z pól zalatywał przecudny zapach macierzanki i dzikiej powójki. Pan Wiktor wracał wolno do miasta, trzymając w ręku pokaźny bukiecik, który nazbierał z przydrożnych bławatów, margarytek i innego kwiecia. Za nim, tuż przy nodze, szedł z wywalonym, czerwonym ozorem Osman. Już nie zaszywał się w pszenicę, był — jak widać — dobrze zmachany i pragnął czemprędzej dostać się do domu. Od czasu do czasu uszy tylko unosił do góry, jakby się pragnął popisać przed panem psią czujnością.

W domu zastali spodziewanego gościa.

Młody blondyn, w skromnym, choć schludnym, ciem-

nym, marynarkowym garniturze, siedział przy oknie w stołowym pokoju, czytając gazetę, a gdy usłyszał wchodzącego gospodarza, pośpiesznie powstał, by go przywitać.

— Jak się mamy panie Franciszku! Co tam u pana dobrego słychać? — wykrzyknął p. Wiktor, serdecznie ściskając mu rękę.

— A no do tej pory nic się nie zmieniło, siedzę na wsi u swej ciotki, u której się też nie przelewa, bo nawet na podatki nie jest w stanie paręset złotych zebrać, więc mi jest strasznie przykro, że ją objadam.

— Mój panie, na wsi nie jest to tak wielkim ciężarem; a wreszcie człowiek powinien bliźniemu w niedostatku, lub jakiem nieszczęściu pomóc.

— Mam nadzieję, że może nareszcie dostanę tu jakie miejsce w tym urzędzie, gdzie podałem prośbę prezesowi, który jakoś dobrem okiem na mnie patrzał i kazał mi się za dwa tygodnie zgłosić; dlatego też przyjechałem.

— Dobrze pan zrobił, chociaż prezes wyjechał wczoraj do Warszawy, jak mi mówiono, właśnie w sprawie powiększenia ilości urzędników, których mają za mało, i dopiero za kilka dni powróci. Ta sprawa prawdopodobnie związana z przyjęciem nowych sił urzędniczych, więc pana najwięcej obchodzi.

— Ach Boże kochany! To pocóż ja tak wcześnie przyjechałem! Nadużywam tylko pańskiej dobroci i przeszkadzam panu — wykrzyknął p. Franciszek.

— Co pan tam mówi, żadnej subjekcji mi pan nie robi, miejsca jest dosyć i jadła też, dziękując Bogu, mam podostatkiem, więc tylko kontent jestem, że mam towarzystwo.

— Naprawdę, pan tak dla mnie dobry! lecz nie mogę tak ciągle korzystać z pańskiej dobroci.

— Niechżeż pan nie mówi tego, pan to kiedy odda drugiemu w potrzebie. A czy Agatka poczęstowała pana tu jakim posiłkiem po podróży?

— Owszem, dziękuję bardzo, dała mi tu kawał pieczeni, chleba, masła i herbaty, tak że nasyciłem się choćby do jutra.

— No to dobrze. A palił pan papierosa, bo tu nie widzę śladów jego, a wiem, że pan namiętnie pali?

— Nie, nie paliłem jeszcze — odpowiedział gość, czerwieniąc się.

— Zapewne pan nie ma? — dopytywał p. Wiktor.

— Tak! Lecz właśnie chciałem się odzwyczaić, a nie mogę.

— No dobrze, papierosów nie mam, bo sam ich nie palę, ale pożyczę panu pieniędzy, by pan sobie kupił i miał tu na inne wydatki, gdyż zapewne i gotówki pan nie posiada?

— Pożyczyłem od ciotki tylko na bilet tu i z powrotem. A jakżeż będę od pana brać, kiedy i tak mu już jestem kilkadziesiąt złotych winien?

— Głupstwo! Odda mi pan ze swej pensji wszystko razem. Mam nadzieję, że pan się tu do biura dostanie.

— To tylko będę zawdzięczać panu; bo gdyby nie pańskie poparcie, to wątpię, czy bym tu co otrzymał.

— Mój panie, i ja nie miałem żadnej protekcji, a przecież zostałem przyjęty.

— Tak, ale pan jest siłą fachową, a przytem to było

przed kilku laty, kiedy potrzeba było urzędników rutynowanych.

— No nic, panie Franciszku! Nie upadajmy na duchu, a pokonamy przeszkody.

Osman tymczasem, przywitawszy się z panem Czeskim, jakby chcąc odpocząć po przechadzce, rozwalił się na podłodze, tuż koło nóg swego pana, od czasu do czasu pomrukując, jakby należał do ogólnej rozmowy.

Nazajutrz po smacznej kawie z chrupiącem pieczywem, dobrze omaszczonem masełkiem, p. Czeski poszedł do urzędu dowiedzieć się o swym interesie, a pan Wiktor, jak zwykle, do biura.

W domu na gospodarstwie został tylko Osman z Agatką. Ciężko mu zawsze było rozstawać się z panem na kilka godzin, lecz serdeczna perswazja pana przy pożegnaniu, doprowadzała go do równowagi, tak że zrezygnowany zwykle układał się na swem legowisku i pomrukując, oczekiwał powrotu pana.

Z Agatką był w dobrej harmonji, lecz zbytniej nie zwracał na nią uwagi. Gdy chodziła koło niego sprzątając pokoje, ciągle łypał na nią ślepiami, jakby kontrolując, co ona robi. A jak Agatka czasem, w przystępie dobrego humoru, coś zagadała do niego, to zachowywał się tak obojętnie jakby go to nic nie interesowało. Za co też nieraz, oburzona takiem psiem lekceważeniem, fukała na niego.

— O widzisz, jaki to honorny! Nawet nie zwraca uwagi, jak do niego mówić.

Lecz Osman wówczas tylko przymrużał ślepia, nie słuchając jej ględzenia.

Pewnego razu, Agatka, sprzątając stołowy pokój, odezwała się niegrzecznie do pieska. — No, wynoś się, ty psiawiaro, darmozjadzie!

Na co oczywiście Osman, jak zwykle, nie reagując, jeszcze lepiej się rozłożył, stęknąwszy parę razy. To tak rozzłościło Agatkę, że podniósłszy do góry szczotkę do zamiatania, podskoczyła do niego, jakby chcąc go uderzyć. Osman zaś, jak widać, czując się mocno pokrzywdzonym, natychmiast zerwał się z posłania i wystawiwszy przed siebie swe ogromne kły, warknął złowróżbnie na nią.

To świetnie poskutkowało i w ten sposób wywalczył sobie u niej poszanowanie swej psiej godności, i odtąd zawsze, gdy go Agatka grzecznie poprosi, łaskawie usuwa się ze swego miejsca, przechodząc w drugi kąt, dopóki nie sprzątnie pokoju.

Na południe zwykle Agatka przygotowuje psi obiad, złożony z ugotowanej dobrze jęczmiennej kaszy na nóżkach baranich, względnie ochłapach mięsnych, na co go również już grzecznie teraz zaprasza.

— No chodź, chodź Osman, na swój obiad!

Osman też dosyć prędko wstaje, parę razy przeciągnie się, i prosto idzie do kuchni do swego kąta, gdzie obwąchuje ze wszech stron swą miskę, potem parę razy liźnie, jakby próbując czy dobre i zaczyna wolno, lecz systematycznie spożywać. Gdy już upora się ze swoją porcją, wylizuje miskę do czysta, potem oblizuje ze wszech stron swą mordę, żeby ją doprowadzić do porządku i nie mając potrzeby dłużej siedzieć w kuchni, zmierza spowrotem na swe miejsce. Jeżeli zaś drzwi od kuchni są zamknięte, wspina się na dwóch łapach i sam sobie otwiera.

Z początku Agacie niebardzo się podobało takie zachowanie się Osmana i chcąc go jakby uzależnić od swego humoru, zaczęła nad nim donderować, lecz gdy psisko postawiło jej się parę razy ostro, a pan jej wytłumaczył, że z nim trzeba tylko delikatnie postępować, spuściła z tonu i obecnie jest z nim w zgodzie.

P. Czeski dowiedziawszy się w urzędzie, że prezes dopiero za 3 dni powróci z Warszawy, poszedł do miejskiego ogrodu.

Podówczas owe miasto wojewódzkie, o przeszło stutysięcznej ludności, pomimo wielkiej ilości fabryk i przedwojennej finansowej sławy, nie imponowało wielką wspaniałością. Wszędzie widoczne było, że niedawno się zbudziło z kilkuletniego wojennego letargu. Pomału więc zaczęło się ożywiać i jakby na nowo powstawać, co nie było tak łatwem, gdyż nietylko, że po ciężkiej klęsce wojennej i po okupantach nie mógł się tak prędko przemysł ożywić, lecz że 85% fabrykantów i przemysłowców stanowiło mniejszość narodową, która się tak zżyła z rosjanami, iż ciągle z żalem ich wspominała.

Na ulicach zaś i w sklepach, dawał się słyszeć tylko język rosyjski o „litowskiem“ zabarwieniu. Niemało też miał trudu przybyły tu wcale pokaźny zastęp urzędników wraz z rodzinami. Ci musieli wprost gwałtem wprowadzać nasz język i naszą kulturę. Rząd sprawy pedagogiczne świetnie poprowadził, i nauczycielstwo w gimnazjach i szkołach swym taktem i umiejętnem postępowaniem tak wpłynęło na swych uczniów, a zwłaszcza na uczennice, że po paru latach młodzież szerzyła nasz

język, prawie że siłą wypychając dawny rosyjski ze swych domowych pieleszy.

Przeszedłszy więc dosyć zaludnione ulice, przy pięknej słonecznej pogodzie, p. Czeski skierował swe kroki do ogrodu miejskiego, nazwanego obecnie parkiem Poniatowskiego.

Nieduży ten, lecz dosyć schludny ogród, zaraz za wejściem upiększony wspaniałym wodotryskiem, obramowanym wodnemi roślinami, z paroma ładnemi gazonami i podłużnemi rabatami, obsadzonemi wzdłuż ścieżek i dróg dorodnemi różnokolorowemi różami, dość mile się przedstawiał oku przybysza, tembardziej, że p. Franciszek nie był wielkim bywalcem, i nie miał do tego pretensji wcale, gdyż po skończeniu gimnazjum w Łomży, raz jeden tylko, jeszcze za życia ojca, był przez kilka dni w Warszawie. Stolica oczywiście zrobiła na nim imponujące wrażenie, chociaż jeszcze wówczas nie miał możności dotrzeć do wszystkiego i ujrzeć tego, co jest godne widzenia. W tem zaś mieście był już parę razy i to w porównaniu z miasteczkiem, w którem się urodził, a nawet i ze sławetną Łomżą, którą też szanował, imponowało bardzo.

W ogrodzie, gdy dobrze rozejrzał się, i całą piersią nabrał powietrza, usiadł na wygodnej ławce i zapaliwszy papierosa, rozmyślał nad swą przyszłością, snując rozmaite projekty.

— No, jeżeli Bóg mi pozwoli dostać tu posadę! Przedewszstkiem mieszkałbym w dużem mieście, gdzie zupełnie inaczej życie się przedstawia. Skończyłyby się troski rozmyślania, skąd mam jutro wziąć na chleb i dach

nad głową? Gdybym mógł dalej się kształcić, wstąpiłbym na uniwersytet na prawo. Jest to przedmiot suchy, niebardzo miły w zawodzie, lecz bardzo potrzebny i dlatego popłatny, więc zawsze zabezpiecza byt. Lecz cóż zrobić, gdy się niema środków, trzeba tylko na marzeniach skończyć. Ha, trudno! Na to niema rady. Teraz trzeba tylko wysilać mózgownicę, aby się choć gdziekolwiek zaczepić, a potem już co Bóg da.

— Poczciwy ten Karyński, tyle mi okazuje życzliwości, a wszak nic go nie łączy ze mną, tyle tylko, że kiedyś tam znał mego ojca. Naprawdę, dzisiaj takich ludzi rzadko się widzi. Przeważnie napotyka się na bezwzględny egoizm, tak że strach kogoś prosić o cokolwiek.

Przeszedłszy się parę razy po niebardzo o tej porze zaludnionym ogrodzie, w którym gdzieniegdzie tylko jakaś bona z dzieckiem spacerowała, lub ktoś na ławeczce, zatopiony w lekturze, siedział, p. Franciszek pomału skierował się ku domowi.

W domu Agatka wręczyła mu gazetę do przejrzenia, z którą on się umieścił w stołowym pokoju, koła okna. Gdy Osman, leżący w kącie na swem miejscu ujrzał to, wstał ze swej poduszki i, podszedłszy do drzwi położył się jak długi, około progu ,od czasu do czasu spoglądając na gościa. P. Czeski, będąc zaczytany, nie zwracał na to uwagi, lecz po pewnym czasie, gdy chciał pójść do kuchni w jakimś interesie do Agatki, stała się dziwna rzecz. Osman momentalnie zerwał się na nogi i stanął w takiej pozycji koło drzwi, jakby nie chciał go wypuścić. A gdy chciał się więcej przybliżyć, Osman pokazał mu swe ostre zęby. Nie tyle przestraszony, ile zacieka-

wiony takiem postępowaniem, p. Franciszek zaczął z nim pertraktować, więc wykrzyknął:

— Co ty, Osmanku, gniewasz się na mnie, czy co?

Lecz pies patrzał na niego uporczywie. A gdy on przysunął się o pół kroku bliżej, pies znów pokazał zęby i warknął dobrze. Więc też powrócił na swe miejsce i usiadł koło okna, a Osman położył się na podłogę, zasłaniając swem dużem cielskiem dostęp do drzwi.

— Ho, ho, jak widzę, to ty Osmanku, nie dowierzasz mi i ściśle spełniasz swoją służbę wartownika — odezwał się p. Franciszek, powracając do swej gazety.

Wkrótce potem, gdy nadeszła Agatka, mając jakiś interes do kredensu, p. Czeski opowiadał jej swoje przejście z Osmanem, który po wejściu Agatki najspokojniej poszedł na swe miejsce i wyciągnął się na swej poduszce.

— A to, proszę pana, taki szelma mądry jest. On wie, że pan jest cudzy, to nie wypuści pana z pokoju, jak nikogo ze swoich niema.

Tak! A przy gosposi to będę mógł wyjść?

— Rozumie się, on nawet na to nie zwróci uwagi, ale jak pan sam zostanie, to już nie wypuści pana, a jakby pan siłą chciał wyjść, to rzuci się na pana, powali na ziemię i nie da się panu ruszyć, aż póki ktoś ze swoich nie wejdzie do tego pokoju.

Po kilku dniach p. Czeski uradowany zawiadomił p. Karyńskiego, że prezes, wróciwszy z Warszawy przyjął go i zawiadomił, że od dnia dzisiejszego został przyjęty na służbę w charakterze kancelisty z poborami 200 złotych miesięcznie.

— Mam wrażenie, że znajdzie tu pan sobie jaki nie-

drogi pokoik. Na pierwsze początki pożyczę panu trochę pieniędzy, gdyż wiem, że ich pan nie posiada — zaofiarował się p. Wiktor.

— Dziękuję panu bardzo. Z pierwszej pensji ureguluję dług, zaciągnięty u pana — przyrzekał sumiennie p. Franciszek.

— Mój panie kochany, odda pan wówczas, gdy będzie pan miał i mógł, gdyż nie ma nic pilnego — zawyrokował p. Karyński.

II

STOSUNKI BIUROWE

Jako starszy referent, ciągle zajęty dosyć poważnemi sprawami, p. Karyński miał oddzielny, nieduży gabinecik. Z boku, koło okna stało jego biurko, zawalone aktami i rozmaitemi papierami. Pod ścianą ogromna szafa, wypełniona aktami, referatami, przepisami, instrukcjami i ustawami, oprawionymi w grube szare płótna, lub też podłużne czarne foljały. Obok etażerka, założona planami i rozmaitego rodzaju broszurami, które były mu potrzebne. Koło biurka stał drewniany fotel, na którym 7 godzin odsiadywał p. Wiktor. Obok zaś dwa krzesła wiedeńskie dla interesantów, którzy odwiedzają w sprawach urzędowych referenta.

Gdy p. Karyński zaczął urzędować, ściany świeciły pustkami. Mieli pono umieścić tu na ścianie mapę naszej Rzeczypospolitej, lecz zabrał ją inny z panów referentów, pragnąc swój pokoik jakoś upiększyć. Pan Wiktor zaś, który z natury miał dużo gustu estetycznego, a wiedział, że w urzędzie nie wypada żadnymi widoczkami ścian ubierać, zakupił średniej wielkości portrety Prezydenta i Marszałka Piłsudskiego i kazawszy je oprawić w złocone ramy, powiesił na ścianie. Trzeba przyznać, że dwie te podobizny w tych ramach świetnie były do-

pasowane do jasnych tapet i ładnie ozdabiały nieduży pokoik, doskonale imitujący gabinecik urzędnika rządowego.

Pan Wiktor aż zatarł ręce z radości, że tak pieknie przybrał swoje miejsce pracy, do którego zawsze z wielką chęcią podążał. Radość tę zwiększała okoliczność, że p. Wiktor czcił majestat Prezydenta, jako Ojca i Włodarza społeczeństwa i kraju. Marszałka zaś ukochał, gdyż ziścił marzenia jego ojców i dał mu możność po tyloletniej tułaczce, dożywać końca w wolnej ojczyźnie.

Lecz przysłowie mówi, że i róża ma swe kolce, więc też i pan Wiktor tę przyjemność musiał okupić wielką przykrością, jaka go spotkała od najbliższego zwierzchnika, naczelnika wydziału, imć pana Poplina, iście petersburskiego polaka, który ze względu na swe wyższe wykształcenie i silną protekcję przez dawne jeszcze zaborcze stosunki i koligację, zajął swe stanowisko. Ów p. Poplin, pomimo iż szczęśliwie pobierał przeszło tysiąc złotych, zadużo się nie męczył i za wiele nie poświęcał pracy. Natomiast ciągle był niezadowolony, wszystkie zarządzenia naprzód już bezapelacyjnie krytykował i dlatego też łączył się ze wszystkimi opozycjonistami, podsycając jeszcze ich nietylko głupie, lecz nieraz podłe i nikczemne tezy i pretensję.

Więc też gdy p. Karyński zawiesił te portrety w swym pokoiku, a usłużni zausznicy, których nigdy w żadnych urzędach nie brakuje, dali o tem znać p. Poplinowi, ten obejrzawszy z uśmiechem ironicznym pokoik podwładnego, odezwał się do jednego z referentów, który właśnie go tu przyprowadził:

— Zwariował ten idjota, czy co? Wszak on sobie jakieś gabinety tu urządza. Najlepiej, żeby można mu było wpakować tu jednego z urzędników. O tu obok możnaby postawić jeszcze jedno biurko.

— To się nie da zrobić, panie naczelniku, bo gdy p. Góralski chciał umieścić tu Lewandowskiego, to się Prezes nie zgodził, odrzekłszy, że tu zamało miejsca, i że Karyński musi mieć spokój przy pracy — odrzekł usłużny zausznik.

— Nie wiem, co nasz prezes upatruje w tym Karyńskim, gdyż zawsze go ma za idealnego i wprost niezastąpionego pracownika.

— Ot, bo umie Karyński baką świecić prezesowi i zawsze udaje wielce zapracowanego i wszechwiedzącego urzędnika — szepnął złośliwie „usłużny“ kolega.

— A ot ciekawy jestem, czy o tej inowacji wie prezes. Trzeba się zapytać Padelskiego — zauważył p. Poplin i zadzwonił na woźnego.

— Słucham pana naczelnika! — odezwał się starszy już człowiek w uniformie woźnego, wchodząc do pokoju.

— Kiedy i kto powiesił tu te dwa portrety? — zapytał go podniesionym głosem p. Poplin.

— A to w zeszłym tygodniu, proszę pana naczelnika, p. Karyński, sam sobie przyniósł i sam powiesił.

— No i Padelski nic mi o tem nie powiedział! — wykrzyknął p. Poplin.

— Ja nie wiedziałem, panie naczelniku, że tego tu nie można wieszać — tłumaczył się, rozkładając ręce, woźny.

— Ja nie mówię, że nie można, a tylko o wszystkiem

trzeba zawsze mi zameldować — wykrzyknął p. Poplin.

— I o tem nie wiedziałem, panie naczelniku — tłumaczył się dalej Padelski.

— No dobrze! A czy pan prezes wie o tem? — indagował go dalej.

— Chyba że wie, bo zachodził tu do pana Karyńskiego w jakiejś sprawie w tym tygodniu parę razy, to musiał widzieć.

— A gdzie wyszedł p. Karyński?

— Pan Karyński wyszedł na posiedzenie do województwa.

— Jak wróci, to niech Padelski mu powie, żeby zaraz do mnie przyszedł.

Przechodząc zaś przez długi korytarz, rzekł do asystującego mu referenta:

— Ja się z nim rozmówię, ja mu wybiję z głowy oddzielny gabinet i tę jego „ideologję“, którą nam tu narzuca — i uściskawszy rękę swego cicerona, wszedł do gabinetu.

W parę godzin potem wszedł do niego p. Karyński ze słowami:

— Pan naczelnik miał do mnie jakiś interes?

— A tak, panie Karyński, chciałem zapytać pana, kto panu pozwolił temi portretami udekorować pokoik, w którym pan pracuje?

— To jest zrobione za wiedzą pana prezesa — odpowiedział p. Karyński.

— Tak, więc pan nie uważał za właściwe mnie o tem powiadomić, swego najbliższego zwierzchnika?

— Wiem, że takie sprawy obchodzą tylko pana pre-

zesa, jako jedynego tu gospodarza, tembardziej, że na bieg pracy i służby wcale to nie wpływa.

— Tak, ale pan nie powinien sobie urządzać takich reprezentacyjnych gabinetów, bo to tylko drugich denerwuje i demoralizuje — zawyrokował ostro p. naczelnik.

— Nie widzę w tem nic takiego, co by mogło ujemnie wpływać na otoczenie. A jeżeli mi ktoś z kolegów zazdrości, to chyba może to samo zrobić.

— Pan się tu za bardzo rządzi i chce się pan uniezależniać od swych zwierzchników, muszę więc pana uprzedzić, że pan na tem może bardzo źle wyjść, panie Karyński!

— O nie, panie naczelniku, ja bynajmniej nie rządzę, lecz tylko sprawuję swe czynności, i oczywiście czuję się tu dobrze, gdyż pracuję we własnym kraju dla naszego narodu. Dlatego też i niebardzo zrażają mnie pańskie, od czasu do czasu, docinki, na które, mówiąc nawiasem, nigdy nie zasługuję.

— To dobrze, że pan jest przekonany o swej doskonałości i niewinności, lecz lepiej byłoby, gdybym ja to mógł powiedzieć!

— Mam nadzieję, że nadejdzie ten czas. A teraz, czy pan nic więcej nie ma mi do powiedzenia?

— Nie, już nic.

— To moje uszanowanie panu naczelnikowi — i, ukłoniwszy się, opuścił gabinet swego rozsierdziałego zwierzchnika.

A gdy wszedł do swego pokoju, wsunął się za nim Padelski i zapytał go przyciszonym głosem:

— Przepraszam pana, czy p. Poplin w sprawie tych portretów wzywał pana?

— Tak, a dlaczego się Padelski pyta?

— A bo jak pana dzisiaj nie było, to p. Poplin był tu w pańskim pokoju z p. Żelskim i jak zobaczył portrety ,to zaraz zawołał mnie i zapytywałkto je tu przybił i dlaczego mu o tem nie zameldowałem.

— No i co? — zapytywał dalej uśmiechnięty p. Karyński.

— A no powiedziałem, że pan prezes widział to i nic nie mówił — dodał pocichu Padelski, który tu doskonale się we wszystkiem orjentował.

Od tego więc czasu zaczęła się maleńka naganka ze strony p. Poplina i chociaż Karyński był bardzo akuratnym i dobrym urzędnikiem, tak że nigdy nie dawał powodów jakiegoś niezadowolenia, jednakowoż Poplin zawsze, choćby w całem, jakąś dziurkę upatrzył i jak tylko mógł, tak mu szył buty.

Personel biurowy stanowili jak zwykle, przeciętni ludzie. Każdy z nich dbał tylko o siebie i ciągnął tam, gdzie czuł większą siłę. Więc też i pan naczelnik Poplin miał proszonych i nieproszonych zauszników, zawsze coś upatrujących i podszczuwających na p. Karyńskiego, chociaż ten był dla nich bardzo życzliwym i oni go niby, po swojemu, bardzo lubili.

Pan Karyński wiedział o tem doskonale, lecz nic sobie z tego nie robił, gdyż znał słabość ludzką, a przytem wiedział, że w tem biurze jest siłą fachową i że prezes, człowiek światły i szlachetny, doceniał jego pracę, często konferując z nim w sprawach służbowych, jako z do-

skonałym rutynistą. Więc był pewnym siebie i na robione mu przez p. Poplina niezasłużone zarzuty lub uwagi, bardzo grzecznie i cierpliwie, lecz z wielkim taktem odpowiadał, i jakby nie zwracając na to uwagi, przechodził do porządku dziennego.

Pan Poplin, wobec pracy bez zarzutu i wielkiego taktu Karyńskiego, nie miał możności podstawienia mu stołka. Nieraz w rozmowie z prezesem starał się szkodzić Karyńskiemu, lecz nadaremnie, gdyż prezes uważał, że jest to dobry i uczciwy urzędnik, któremu nie można „podcinać lotów". Na co oczywiście milkł p. Poplin, tłumiąc w sobie coraz wzrastającą nienawiść.

Pewnego wiosennego dnia, wszedł do gabinetu Karyńskiego, referent Wrzoski, średnich lat, miłej powierzchowności i może jeden z sympatyczniejszych jego kolegów, i usiadłszy obok biurka, odezwał się:

— Opowiem wam tu ciekawą hecę, jaką miał Poplin dzisiaj rano z prezesem, wówczas kiedy ja akurat byłem u prezesa z budżetowym referatem, który prezes osobiście opracowywał. Otóż uważacie, wchodzi Poplin i przynosi prezesowi do zatwierdzenia plan urlopów na bieżący rok. Prezes szczegółowo ogląda ten plan, coś tam poprawia, coś notuje, aż zatrzymuje się na waszem nazwisku i zapytuje go: „A dlaczego pan p. Karyńskiemu naznaczył urlop na listopad? Czy on się zgadza na to?" — na to Poplin odpowiada: „Nie pytałem się go, ale uważam, że jemu jest wszystko jedno, bo on i tak nigdzie nie wyjeżdża". Prezes zaś na to: „O nie, panie naczelniku, tak nie można traktować starszego referenta, w dodatku takiego, jak on, pracownika. Pan sobie naznaczył

urlop na lipiec ,a któż pana będzie zastępować?“ — „A pan Igielski, panie prezesie“. — A dlaczegóż nie p. Karyński? zapytuje prezes. „A bo Igielski jest doskonale wtajemniczony w mój wydział“‘. Na to prezes odpowiedział dosyć głośno i dobitnie: „Nie panie! Pana będzie zastępować starszy referent Karyński, z którym proszę się rozmówić co do jego urlopu. Może po powrocie pana on zechce wypocząć?“ Na to Poplin nic nie odpowiedział, tylko zaczerwienił się jak piwonja i wyszedł jak zmyty. Czy z wami nic jeszcze nie mówił w tej sprawie?

— Nie, nic jeszcze nie wiem o tem — odparł uśmiechając się p. Karyński.

— No, a jak wy zrobicie? — zapytywał ciekawie.

— Zastosuję się do tego, co mi prezes każe i sprawa skończona.

— No a z urlopem jak?

— Skorzystam jak wróci Poplin ,to znaczy w sierpniu. Pojadę sobie gdzie na wieś.

— Rozumie się ze swym Osmanem?

— A cóż, wszak nikogo więcej nie mam.

— Czyż wy nie macie żadnej rodziny?

— Podobno, że tu gdzieś są jacyś krewni i dobrze im się powodzi, lecz ja ich nie znam. Wychowywałem się bowiem na kresach, a potem w Rosji, dokąd ojca przetranslokowali, więc też stosunki nasze rodzinne zatarły się i wszystko poszło w niepamięć.

I tak szare życie p. Wiktora ciągnęło się dzień za dniem, bez żadnej zmiany. Biuro, dom i spacer z ulubionym psem, a czasem kino, lub też teatr, o ile oczywiście do wojewódzkiego miasta zawitała „Reduta“ z dy-

rektorem Osterwą na czele, gdyż ten przybytek sztuki bardzo wysoko cenił.

Dzięki swemu spokojnemu i zgodliwemu usposobieniu, nie zwracał uwagi na jakieś tam maleńkie przykrości, lub inne niedociągnięcia życiowe. Wiedział o tem, że każdy człowiek ma swoją cierniową drogę, której ominąć nie zawsze można, więc też spokojnie nią kroczył, nie przejmując się zbytnio spotykanemi niepowodzeniami.

Teraz mu znów przybyło trochę zajęcia, gdyż pomagał zainstalować się na nowej posadzie p. Czeskiemu, któremu dużo dopomógł swemi wpływami.

Czeski też często odwiedzał Karyńskiego: to zasięgał od niego rady, to jakiej informacji, zawsze doznawał życzliwego przyjęcia i czuł się u Karyńskiego, jakby u najbliższego sobie człowieka.

P. Karyński z natury uczynny, poznawszy, że Czeski jest uczciwym i niezepsutym chłopakiem, przywiązał się do niego i polubił go bardzo, ciesząc się, że może zdziałać dlań coś dobrego i wyrwać go z biedy i niedostatku. Zmyślny i mądry Osman również bliżej poznawszy p. Franciszka, stał się jego wielkim przyjacielem, co mu okazywał stale, witając się z nim serdecznie, wspinając do twarzy przyjaciela, żeby choć trochę w podbródek liznąć. A czasem też chętnie wychodził z nim na przechadzkę, o ile pan jego nie miał czasu.

Agatka również jakoś milszem okiem witała p. Czeskiego, tak że ten zawsze chętnie w wolnym czasie odwiedzał p. Karyńskiego.

III

JESIENNA IDYLLA

Pewnego razu, gdy „Reduta", zjechawszy do gościnnego dla niej, wojewódzkiego miasta, zapowiedziała „Mazepę", p. Karyński jak wszędzie punktualny, wszedł do teatru na kilkanaście minut przed rozpoczęciem przedstawienia. Na widowni było jeszcze niewiele osób. Karyński, zająwszy swój fotel w środkowych rzędach, przeglądał program, gdy ujrzał siadającą obok niego jakąś zgrabną, wiotką, jeszcze młodą niewiastę. Obejrzawszy ją dobrze, przypomniał sobie, że ją spotykał już kilka razy w ogrodzie miejskim, a czasem w kinie i że prawie zawsze była sama. Miła twarz tej pani o jasnych włosach, jakby wpadających w popielaty kolor, ładne chabrowe oczy i zgrabna figurka, zwróciły uwagę p. Wiktora.

W mieście tem bowiem, które bądź co bądź było partykularzem, wszyscy się prawie znali, jeżeli nie osobiście, to choć z widzenia. Wszystko prawie wiedzieli o sobie, gdyż ciekawość ludzka, potrafi wedrzeć się w najzawilsze tajniki. O tej zaś pani p. Wiktor nic absolutnie nie wiedział; domyślał się tylko, że to musi być osoba inteligentna i związana jakimś interesem z tem miastem, w którem stale przebywa. I to go właśnie w tej chwili zain-

trygowało, więc też niepozornie oglądając ją z boku, rozmyślał:

— Kto to może być? Mężatka, rozwódka, czy panna. Zawsze sama, dosyć elegancka. Zachowanie się wykwintne, pewność siebie. Jednem słowem znać inteligencję. Ale kto ona jest i co tu porabia?

Wtem ujrzał, że niektóre z pań i panów, przechodząc koło niej do swych foteli, zamieniali z nią ukłony.

— A to musi być jakaś urzędniczka, muszę się zapytać którego z tych panów, których znam, a którzy jej się kłaniali — postanowił sobie p. Wiktor, gwoli zaspokojeniu swej ciekawości.

W tym trakcie zsunął się z ramion tej pani jej srebrny lis, którym otulała się w chłodny wieczór i upadł w stronę p. Wiktora, tak dziwnie, że cała podłużna lisia mordka z wybałuszonemi ślepiami spozierała na niego, jakby chcąc przeniknąć o czem on teraz myśli. Mile uśmiechnięty p. Wiktor podniósł lisa i wręczając właścicielce, odezwał się:

— Dziwny ten lis! Patrzy jakby żywemi oczyma.

Sąsiadka zaś jego, przyjmując swą własność, odpowiedziała:

— Dziękuję panu bardzo! Rzeczywiście, że kuśnierz doskonale uwydatnił łeb tego zwierzątka.

— Widać, że w swym fachu był dobrym artystą — odpowiedział p. Wiktor, skłaniając lekko głowę w stronę sąsiadki.

Wnet kurtyna poszła w górę i publiczność zajęła się sztuką. W antrakcie zaś, kiedy przebrzmiały ogólne okla-

ski, sąsiadka p. Wiktora zwróciła się doń z prośbą o pożyczenie programu. Oddając zaś mu program rzekła:

— Dziękuję panu bardzo! Pięknie wystawili tę sztukę.

— O tak, pani! Reduta stoi na wysokości swego zadania — odpowiedział p. Wiktor.

— Tak i dlatego też zawsze bywam w teatrze, gdy Reduta zjeżdża tu do nas. „Mazepy“ nigdy nie widziałam na scenie i byłam ciekawą dramat ten zobaczyć.

— No i jak pani się wydaje?

— Jest to dopiero pierwszy akt, lecz ponieważ gra doskonała i wystawa świetna, więc mniemam, że i dalszy ciąg będzie dobry.

— Tak i mnie się zdaje — potwierdził p. Karyński.

W dalszych antraktach zamieniali swe myśli i spostrzeżenia odnośnie wystawionej sztuki, a po skończonem przedstawieniu znaleźli się razem w szatni, gdzie dowiedzieli się, że deszcz leje jak z cebra.

— O, to będzie gorsza sprawa z powrotem do domu— zauważyła pani.

— Znajdzie się dorożka — odpowiedział p. Wiktor.

— Niebardzo! Ot, ani jednej niema i czekamy tu z żoną, aż która nadjedzie — odezwał się jeden z jego znajomych, stojący obok w westibulu.

— No trudno, musimy i my z panią zaczekać — powiedział p. Wiktor.

— Ha, cóż zrobić, jak nie można inaczej — odpowiedziała pani.

— Pozwoli pani, że jej się przedstawię! Jestem Wiktor Karyński — wyrzekł ściskając podaną mu zgrabną rączkę.

— Marja Naczyńska — odpowiedziała.

— Bardzo mi przyjemnie poznać panią osobiście, bo z widzenia to już się dłużej znamy.

— O tak, dość często spotykam pana.

— W naszem mieście trudno byłoby się ukryć, proszę pani.

— Zwłaszcza, jeśli kto tu dłużej mieszka i zajmuje jakieś stanowisko — dodała p. Naczyńska.

W międzyczasie nadjechała dorożka, którą zamówił znajomy p. Wiktora, lecz zajmując ją, przyrzekł mu ją zaraz nadesłać.

Tymczasem p. Wiktor z nową znajomą spacerował po westibulu, w którym jeszcze wiele innych osób znajdowało się w oczekiwaniu pogody, względnie nadejścia jakiegoś pojazdu. Nareszcie doczekali się i p. Wiktor już umieścił p. Naczyńską w powozie, nie wiedząc, co z sobą zrobić, gdyż deszcz lał jeszcze mocniej, aż się p. Naczyńska odezwała:

— Niech pan siada! Dorożkarz odwiezie mnie, a potem pana. Tylko nie wiem, gdzie pan mieszka?

— Ja przy ulicy Mickiewicza — odpowiedział p. Wiktor, zajmując miejsce obok p. Naczyńskiej.

— To doskonale, bo ja przy Parkowej, to bardzo niewiele zboczy z drogi — zauważyła p. Naczyńska.

Przy pożegnaniu, wychodząc z dorożki i podając rękę p. Wiktorowi powiedziała:

— Bardzo panu dziękuję za towarzystwo i dowidzenia!

— Moje uszanowanie pani! Bardzo mi miło było służyć pani i mam nadzieję, że chyba się jeszcze spotkamy.

— Zdaje się, że tak i może nie raz jeszcze, oczywiście jeżeli ktoś z nas stąd nie wyjedzie — odpowiedziała p. Naczyńska.

— A czy pani nosi się z takim zamiarem?

— Narazie nie, lecz wszak nikt z nas nie jest pewny, czy go losy nie skierują gdzieś w inne strony.

— Zapewne, o ile ten ktoś jest zależny, tak jak ja naprzykład, urzędnik państwowy — zauważył p. Wiktor, uśmiechając się.

— Na podobnym wózku i ja jadę, choć nie jestem urzędniczką, a nauczycielką. Ale i ja również jestem uzależniona od swych zwierzchników i od wielu, wielu, jeszcze innych okoliczności.

— W każdym bądź razie mam nadzieję, że niedługo spotkam panią w ogrodzie, w którym pani często bywa.

— O tak, lubię zawsze po obiedzie przejść się na świeżem powietrzu.

P. Wiktor, uścisnąwszy podaną mu rączkę, odjechał.

Jak to zwykle bywa w partykularzu, nazajutrz w biurze już wszyscy wiedzieli, że p. Karyński, który przeważnie sam tylko wszędzie bywał, i nigdy nie kwapił się do zawierania nowych znajomości, a tembardziej unikał niewiast, w teatrze asystował p. Naczyńskiej i odwiózł ją do domu. Ta wiadomość więcej jeszcze zaciekawiała kolegów jego, którzy znali p. Naczyńską, jeżeli nie osobiście ,to z widzenia, i mieli ją za jedną z najprzystojniejszych niewiast ich miasta.

To też rano koledzy p. Karyńskiego przyszedłszy ledwo do biura, wiadomością tą dzielili się między sobą, dodając rozmaite komentarze. Jeden z tych panów, który

był największym wścibskim i interesował się ciągle rozmaitemi sprawami, wygłosił taką sentencję:

— A cóż wy myślicie, jeszcze zrobi nam frajdę, ożeni się i zaprosi nas na wesele.

— Oj, chyba nie! Wszak on zawsze unika niewiast, wprost jakby się ich bał — dodał drugi.

— Zapewne, że musiał się tam kiedyś dobrze na nich sparzyć — odezwał się inny.

— Ja coś o tem wiem! — wykrzyknął wścibski, i zrobiwszy tajemniczą minę, dodał — kochał się kiedyś w swych młodzieńczych latach w jakiejś moskiewce i tam go coś strasznego spotkało

— Ale co, co takiego? — dopytywali się wszyscy zebrani w tym pokoju.

— A no, podobno dramat straszny, tak że go ma dosyć na całe życie.

— Ale co takiego? Powiedz pan do djabła wyraźnie o wszystkiem, — wykrzyknął najciekawszy.

— Podobno, gdy był w Rosji urzędnikiem w jakiemś mieście, zakochał się w córce pewnego dygnitarza. Spacerował z nią, potem bywał u nich, oczywiście za zezwoleniem papy, i już był naznaczony dzień ich ślubu gdy dowiedział się o dosyć drastycznej jej przeszłości. Nagła i niespodziewana ta wiadomość tak na niego podziałała, że natychmiast z nią zerwał. Chociaż podobno była bardzo ładna i dosyć bogata. Dopiero wtenczas zrozumiał, dlaczego w ich domu nikt prawie z odpowiedniej młodzieży nie bywał, i dlaczego jej ojciec patrzał nań tak pobłażliwem okiem.

— No i co, jak się ten romans skończył? — zapytywał jeden z obecnych.

— Podobno skandalicznie bardzo, bo tak córka, jak i ojciec nie chcieli zwolnić go z danego słowa. Sprawa ta podobno oparła się o jego zwierzchników, którzy jako przyjaciele papy, wszelkimi pogróżkami chcieli zmusić go do poślubienia jej.

— I jakżeż on się wyrwał z tych sideł? — pytał jeden, starszy już wiekiem.

— A ot poprostu uciekł z tego miasta, poświęcając nawet swą karjerę urzędniczą.

— Rozumiem wszystko, ojciec jej, widząc że to uczciwy i porządny człowiek, chcąc ratować zwichniętą jej reputację, chciał gwałtem wydać ją za niego.

— No, to po takiem przejściu odechciało mu się już innych amorów. No a teraz już i latka nie po temu, boć przecie piąty krzyżyk na swych plecach nosi — dodał jeden z młodszych urzędników.

— Co wy tam gadacie, zdrów i jurny chłop, a ta jejmość zupełnie niczego i naprawdę warta grzechu — zauważył ktoś.

— Ciekawym bardzo, co to za jedna? Ona nie tak dawno zjechała tu do naszego miasta — zapytywał starszy pan.

— Ja wiem! — wykrzyknął nasz wścibski. — To jest nauczycielka z pensji p. R., podobno córka jakiegoś moskiewskiego dygnitarza. Jedni mówią, że to wdowa, drudzy że rozwódka, a ja twierdzę, że to dobrze dojrzała już panna.

— Gdyby to była prawda, to nie życzyłbym Karyń-

skiemu wchodzić z tą panią w jakiekolwiekbądź amory, bo to może być też bardzo niebezpieczna sprawa. A szkoda by go było, boć to poczciwy chłop — zauważył starszy pan.

— Mam wrażenie, że nie jest on tak bardzo naiwny, żeby dał się nabrać. Tamta lekcja dobrze go nauczyła — odpowiedział wścibski.

— A skąd pan o tem wszystkim wiesz? — zapytał go jeden z kolegów.

— A widzicie panowie, że ja wszystko wiem!

— Ale skąd? Z jakich źródeł? Boć Karyński napewno panu tego nie opowiadał — dopytywali się koledzy.

— Zaraz wam powiem! Przed paroma laty, kiedy Karyński był na urlopie, zgłosił się tu do niego jakiś oficer jeszcze z armji rosyjskiej, jego kolega, który tu parę dni czekał na jego powrót. Był to jakiś sympatyczny jegomość, ogromny gadatywus, z którym się poznałem i oczywiście od niego się o tem dowiedziałem.

— To masz pan dar do wyławiania takich ludzkich tajemnic. Mógłbyś pan śmiało to na innem polu spożytkować — zauważył złośliwie jeden z kolegów.

— Nic tu nie było nadnaturalnego, a wprost karafka wódeczki, dobra zakąska i dobry nastrój, usposobiły go do wspominania dawnych czasów. A to tembardziej, że ów oficer był ogromnym przyjacielem Karyńskiego — wytłumaczył całą sprawę wścibski.

W tym trakcie wszedł do tego pokoju p. Wiktor w jakimś interesie do jednego z kolegów. Koledzy natychmiast przerwali podjętą dysputę. Natomiast jeden z obec-

nych dosyć jowialnie zwrócił się do Karyńskiego z zapytaniem:

— Jak się kolega bawił wczoraj w teatrze?

— Dosyć dobrze. Bardzo mi się podobała ta sztuka, no i gra wyśmienita zespołu „Reduty".

— Tylko ta ulewa po przedstawieniu, to niebardzo dobrze zrobiła — odezwał się jeden z kolegów.

— Jak komu! Bo np. p. Karyńskiemu, to chyba źle nie zrobiła — wyrwał się wścibski.

— Dlaczego pan tak sądzi? — zapytał go p. Wiktor.

— No bo dała panu możność odwieść taką morową niewiastę do domu.

— Każdy inteligentny człowiek na mojem miejscu, tak samo by postąpił.

— Nie przeczę temu, ale też i każdy byłby zadowolony z takiego wypadku.

— Jest to rzeczywiście niepowszednia niewiasta i nadzwyczaj elegancko wygląda —zauważył jeden z kolegów.

— Wczoraj ją dopiero poznałem w teatrze, no i oczywiście podzieliliśmy się z nią jedną dorożką, których brak było przy wyjściu z teatru, a deszcz lał strasznie.

— Znajomość taka nie zawadzi, zwłaszcza dla takiego pojedynka, jak kolega — dodał drugi z obecnych.

— Ale i ostrożność nie zawadzi — odezwał się starszy pan, jak widać cieszący się tu pełnym respektem.

— Każdy człowiek w swych czynach powinien być ostrożnym, lecz to nie dowód, żeby miał każdego unikać i nikomu grzeczności nie wyświadczyć — odciął się p. Wiktor.

Na tem rozmowa się urwała, Karyński załatwił swój

interes i powrócił do swego gabinetu. Tu dopiero dał ujście swym myślom:

— A to plotkarskie środowisko! Najmniejsza rzecz ich interesuje. Napewno nad tem teraz debatują, jakby nie mieli o czem myśleć. Ha! to już taki świat jest, tego chyba już nikt nie przerobi. Lecz co mnie to obchodzi? Wszak nie robię nic, coby było śmieszne lub nieetyczne. Ona jest miła, ładna i elegancka kobieta. Nie stara się zawierać znajomości i dlatego się nią tak interesują.

W najbliższą niedzielę p. Wiktor, jak zwykle, poszedł z rana do kościoła. Po mszy wstąpił na chwilę do biura, by dowiedzieć się, czy coś ważnego nie zaszło, a potem, mając już tak blisko, podążył do ogrodu obejrzeć piękne kwiaty i odetchnąć trochę świeżem powietrzem.

W ogrodzie, jak zwykle w świąteczny pogodny dzień, rojno było od spacerowiczów. I młodzi i starsi całemi tłumami snuli się tu po ścieżkach i alejach. Ławki również wszystkie były pozajmowane. A ogród, jakby na przyjęcie swych obywateli, oprócz rozkwitniętych wonnych róż, lewkonji i innego kwiecia, zabłysnął wspaniałą fontanną, która rozpryskając swe strumienie, ożywiała i chłodziła parne, południowe powietrze.

Pan Wiktor kłaniając się znajomym, których spotykał tu masami ,podążał główną aleją, potem chcąc zejść z tłumu, skierował kroki w boczną aleję, gdzie było niewielu spacerowiczów. Idąc tak zamyślony, już prawie przy końcu ogrodu ujrzał p. Naczyńską, siedzącą na ławce z gazetą w ręku. Ukłonił się jej i mimowoli zbliżył się do jej ławki ze słowami:

— Moje uszanowanie! Pani w takim kąciku zażywa powietrza.

— Nie panie, tylko tu mogłam spokojnie przeczytać gazetę — odpowiedziała, podając mu z uśmiechem rękę i zapraszając, by zajął obok niej miejsce.

— A czy nie przeszkadzam pani czytać?

— Och nie! Już prawie skończyłam.

I tak potoczyła się rozmowa, ujęta w formy towarzyskie, z której p. Wiktor dowiedział się, że p. Naczyńska również długi czas zamieszkiwała w Rosji, gdzie ojciec jej zajmował dosyć wysokie stanowisko i że w 1920 roku wróciła do Polski, gdyż tam już nie mogła znaleźć sobie żadnego sposobu do życia.

O sobie p. Wiktor krótko opowiadał, zaznaczył tylko, że i on długi czas mieszkał w Rosji, gdzie zajmował niezłą posadę, lecz z chwilą wskrzeszenia ojczyzny, podążył do niej i już w końcu 1919 roku stanął tu do pracy.

W przystępie dobrego humoru p. Naczyńska opowiedziała swe rozmaite epizody i przeżycia w Piotrogrodzie podczas bolszewickiej rewolucji. W prostocie ducha przyznała się, że dopiero wówczas, kiedy życie jej w zawierusze bolszewickiej zawisło na włosku, kiedy nie miała dachu nad głową i nie było co do ust włożyć, przypomniała sobie, że istnieje Polska. Wymarzona dla niej kraina spokoju. Że tam gdzieś w tej Polsce, w jakichś Suwałkach, przyszła na świat. Że tam w dziecinnych latach było jej bardzo dobrze. I że tam gdzieś są krewni jej ojca, z którymi ten żadnych stosunków nie utrzymywał. Wtedy zrozumiała, że jedyną deską zbawienia będzie powrócić do Polski i narazie wznowić znajomość

z krewnymi, przez których będzie można otrzymać jakąś posadę.

Pan Karyński słuchał z uwagą tego opowiadania, a gdy p. Naczyńska skończyła, odezwał się:

— Więc nie tęsknota panią gnała do Polski, a tylko chęć zabezpieczenia swego życia i bytu?

— Owszem, owszem, bardzo chciałam zobaczyć nową Polskę odrodzoną, lecz przyznać się muszę, że i z Rosji chciałam uciekać jaknajprędzej, bojąc się o swe życie, jako córka burżuja, jak bolszewicy mnie nazywali.

— Z tego wnoszę, że nic pani z naszą ojczyzną nie wiązało?

— Prawie, że nic, gdyż matka moja była rosjanką i od dziecka małego wychowywałam się w Rosji, tylko coś-niecoś pamiętając te Suwałki.

— Ha! A jakżeż teraz pani się czuje?

— Nieźle, chociaż mam za dużo pracy, a za mało płacy — odpowiedziała z grymasem.

— Ciekawym bardzo, ile też pani zarabia?

— Mało, bardzo mało, mam zaledwie 600 złotych. A jestem tu w gimnazjum nauczycielką francuskiego języka i wychowawczynią jednej z klas i mam dużo pracy.

— No, proszę pani, to pani jest świetnie uposażona. W instytucjach rządowych to wyżsi urzędnicy nie mają takich pensji.

— Tak, proszę pana, ale u nas w Petersburgu, to damy klasowe, a tembardziej nauczycielki języka francuskiego zarabiały do 200 rubli miesięcznie. A pan wie, jaki to stanowiło fundusz, gdzie wszystko było 10 razy tańsze?

— O tym Petersburgu tc trzeba, proszę pani, zapomnieć. Dzisiaj za to, że tak się tam dawniej rozkoszowali, chleba nie mają. My zaś w naszem wskrzeszonem państwie, musimy prowadzić skromne gospodarstwo i politykę demokratyczną. Więc szkoda, że pani nie osiedliła się gdzieś w jakiemś innem państwie — wypowiedział dosyć dobitnie i złośliwie p. Wiktor, co wyczuwszy p. Naczyńska odezwała się:

— Zdaje mi się, że pan mnie źle zrozumiał. Ja wcale nie mówię, że mi się tu coś nie podoba, lub że mi tu źle, przeciwnie coraz więcej przyzwyczajam się i nabieram do tego kraju coraz większej sympatji, boć przecież połowicznie przez ojca, jestem polką.

— O nie, proszę pani! Połowicznym obywatelem nie można być, gdyż z takiego ojczyzna nie ma żadnej pociechy. Ani on też nie korzysta z dobrodziejstw tego kraju, gdyż jest ciągle niezadowolony.

— Ja nie mówię, że jestem niezadowolona, a tylko wspominam dawne, lepsze czasy.

— Dla nas polaków, to były straszne czasy niewoli, i my ich nie lubimy wspominać.

— Niechżeż mi pan nie bierze tego za złe, boć ja wyjechałam stąd, będąc dzieckiem, więc wówczas o niczem nie miałam wyobrażenia. Dzisiaj zaś wszystko to rozumiem i sama czuję ogromny żal do rosyjskiego rządu za gnębienie polaków.

— Więc dopiero tu w Polsce pani się o tem dowiedziała? — zapytał zdziwiony p. Wiktor.

— Tak, gdy udało się mi wyrwać z Rosji i kiedy przyjechałam do Polski, zajechałam do rodziny ojca, która

ma majątek w Kongresówce, tam mi dopiero to wszystko we właściwych kolorach przedstawili.

— A więc pani ma tu krewnych i utrzymuje z nimi stosunki?

— Stosunki zerwałam z nimi i już od dwóch lat nie koresponduję.

— A to dlaczego?

— Ci państwo przyjęli mnie do siebie, dali mi utrzymanie, nawet pewne wygody, lecz nietylko że nie okazali serca, lecz na każdym kroku czułam jakąś pogardę, jakąś nieżyczliwość dla siebie, gdyż ciągle dawali mi do zrozumienia, że trzymają mnie gwoli spełnienia obowiązku ludzkości, a nie przez jakiś sentyment rodzinny.

— Co pani mówi, może to tylko pani się, tak zdawało?

— O nie, panie! Trzeba przyznać, że p. Naczyński, stryjeczny brat mego ojca, jest wielce zasłużonym patrjotą, bardzo kocha nawet swój kraj, lecz dla jednostek, do których się uprzedzi, nie ma miejsca w swem sercu. A do takich właśnie należał mój ojciec, który się ożenił z Rosjanką, i zajmował wyższe stanowisko w rządzie rosyjskim.

— Tak, to nieprzyjemna sprawa, lecz może pani wygłaszała za wielkie pochwały dla Rosjan, co właśnie drażniło i wywoływało niemiłe starcia.

— Nie, najwyżej opowiadałam o naszych stosunkach i charakterze naszego życia. Wówczas stryj przechodził zwykle na temat strasznego ucisku narodu przez moskali, przedstawiając mi całą martyrologję narodu, dowo-

dząc, że ludzie, którzy zajmowali takie stanowiska, jak mój ojciec, dokładali swych rąk do tego łajdactwa.

— Przepraszam panią, a jakie stanowisko zajmował ojciec pani?

— Był wice-gubernatorem.

— Na tem stanowisku musiał w tym właśnie zakresie spełniać wszelkie ich zarządzenia.

— Ależ panie, ojciec mój, co tylko mógł dobrego, to dla swych ziomków robił i wielu od ciężkiej katastrofy wybawił.

— Wierzę pani, lecz to jest, jak kropla w morzu, w porównaniu z tem, co musiał złego zrobić, według zgóry otrzymanych rozkazów — dowodził p. Wiktor.

— Tak też i stryj dowodził, aż nie mogłam wytrzymać już tych docinków i przykrości i pożegnałam się. Dzięki wykształceniu i znajomościom udało mi się otrzymać tu posadę.

— To niech pani dziękuje za to Bogu i zadowalnia się tem, co teraz ma i więcej optymistycznie patrzy na wszystko.

— Niech mi pan wierzy, że jestem bardzo zadowolona i zawsze dziękuję Bogu, że mnie wydobył z tamtego piekła i dał mi poznać dobrą ojczyznę moich praojców — a jeżeli się za dużo rozgadałam, to stało się to mimo mej woli. Bo niech mi pan wierzy, że nie lubię przed nikim się wynurzać — i potem zamilknąwszy jakoś się dziwnie zamyśliła.

Potem oboje poszli przejść się bocznemi alejami, długo nic do siebie nie mówiąc, lecz snując na ten temat rozmaite myśli.

P. Naczyńska wspominała moralne katusze, jakie przenosiła w domu krewnych, którzy dali jej przytułek, lecz nie wchodząc w tajniki jej duszy, wprost jakby się mścili na niej za to, co ucierpieli od zaborców, i za to, że teraz przyszli jej z pomocą. Przypomniały jej się te łzy, które wylewała w ukryciu, po kątach, gdyż tym widokiem, tylko ich więcej drażniła i powodowała nowe przykrości. A potem przypomniała się jej chwila przykrego i zimnego pożegnania, w której wyraźnie okazali jej, że z wielkiem zadowoleniem pozbywają się zmoskwiczonej krewniaczki. Ona zaś musiała ręce pani stryjenki, które nigdy jej, nieszczęśliwej sieroty, nie przygarnęły do łona i pana stryja, który zawsze był dla niej nieczułym i przykrym, ucałować, a siostrzyczki stryjeczne, które ciągle okazywały jej swą wyższość i jakąś niechęć, bardzo życzliwie pożegnać. Tego epizodu przymusowej obłudy i fałszu, chyba nigdy w życiu nie zapomni, o nie!

Pan Karyński również przedstawił sobie ciężką jej dolę. Wiedział dobrze, że od dziecka była przyzwyczajona do wygód i dostatku. Potem zaś nędza, rozpacz i niepewność jutra. A tu znów ciężka łaska krewnych, którzy nie starali się poznać jej psychiki i nie wchodzili w jej obecne położenie. W ich pojęciu była ona odpowiedzialna za wszystko, co ojciec jej zrobił, więc nie żałowali jej żadnych przymówek, i nie szczędzili jej na każdym kroku przykrości. Żal mu się jej zrobiło, spojrzał więc na nią i pomyślał sobie:

— Bo cóż naprawdę ona winna, że wychowała się w obcem środowisku, nie wiedząc skąd jej ojciec pochodzi i jakie obowiązki na nim ciążą. A gdy potem okoliczności

tak się złożyły, że to dziecko w dawnej zapomnianej ojczyźnie znalazło spokój i bezpieczeństwo i niezłą egzystencję, to czyż można zatruwać mu życie jakąś dziwną nienawiścią? Czyż nie lepiej tak ją nastawić psychicznie, żeby uczuła się tu wolna i szczęśliwa i żeby ukochała tę nową ojczyznę?

Długo tak szli w zamyśleniu, nie odzywając się do siebie, aż p. Wiktor ocknąwszy się z zadumy, zapytał ją:

— Co pani dzisiaj robi po obiedzie?

— A nie wiem jeszcze, chyba odpocznę trochę, a wieczorem pójdę do „Apolla", gdyż tam podobno ma być dobry obraz.

— To się tam spotkamy, gdyż i ja chciałbym go zobaczyć.

— Doskonale, jeżeli panu to nie zrobi różnicy, to proszę wstąpić po mnie.

— A o której godzinie pani się wybiera?

— Chyba o 7-mej, na pierwszy seans.

— Bardzo dobrze, o 6-ej godzinie będę już u pani. A może to za wcześnie, zapytał, uśmiechając się.

— Ależ nie, nawet prosiłabym pana przyjść trochę wcześniej jeszcze, napijemy się po filiżance herbaty i pójdziemy.

I znów potoczyło się życie swoim biegiem. Panu Wiktorowi przybyła nowa znajoma, z którą dosyć często się spotykał. Chodzili razem na spacery, czasem do kina, a czasem spędzali u niej czas na pogawędce, wspominając rozmaite przeżycia i epizody z bytności w Rosji. Tak jakoś do siebie przylgnęli, że im to prawdziwą przyjem-

ność sprawiało. Partykularz, żądny plotek, nie szczędził im swych komentarzy, lecz ich charaktery, odporne na takie nieodzowne bakcyle, sprawiły to, że najwięksi nawet plotkarze przestali się nimi zajmować.

IV

P. WIKTOR PRZY PRACY SPOŁECZNEJ

Systematyczne życie p. Karyńskiego cokolwiek się zmieniło, właściwie przybrało inny program, gdyż nowa znajoma w postaci p. Naczyńskiej, zabierała parę godzin czasu dziennie, poza biurowemi godzinami. O ile dopisywała jesienna pogoda, zabierał Osmana, wstępował do p. Naczyńskiej, by powędrować razem poza miasto na świeże powietrze. Tam były już puste połacie pól, na których, po uprzątnięciu zboża, tylko ścierniska się złociły, lub też po wykopaniu ziemniaków, czerniała pulchna, urodzajna ziemia. Owdzie znów szmaragdem zazieleniał klin trójlistnej koniczynki. Tam też gdzieś, het pod lasem, na ugorze pasie się gromadka bydełka, a czarne, lub czerwone, w białe łaty krowy, z rozłożystemi rogami nad swemi poczciwemi łbami, o ciemno-szafirowych, miłych ślepiach, leniwo posuwają się w stronę miasta, jakby chciały po drodze wszystką trawkę skonsumować. Leciwy już pastuch, w krótkim starym spencerku i wypłowiałym kapeluszu o szerokiem rondzie, wygrywa piękne, czułe trele na fujarce, od czasu do czasu tylko wykrzykując na swe stado:

— Hej, ty tam Margośka! Nie zostawaj w tyle. — Albo gdy która zbacza z drogi: — Łyseńka! Łyseńka!

Nie właź na cudzą koniczynkę, bo dostaniesz paskudnika! — A gdy te nawoływania nie pomagają, to kilka razy strzeli z bata, a wówczas krowy, jak na komendę, ścieśniają się i żerują już w kierunku domu.

Na świeżo pooranych zaś polach, kupa wron spaceruje po ziemi, wybierając z niej duże pękate glisty, które służą im za smakowity kąsek.

Tam znów, gdzieś pod olszynką, przepływa nieduży strumyk, na brzegu porośnięty jesiennym kwieciem, pomiędzy którem spozierają drobniutkie, niebieskie niezabudki, jakby spóźnione wyrostki, korzystające jeszcze z ciepłych promieni jesiennego słońca.

Nasze towarzystwo doskonale wyczuwało tę jesienną sielankę, całą piersią wdychając w płuca świeże powietrze o zapachu macierzanki. Szli sobie pomaleńku, prowadząc pogawędkę, przeważnie o rosyjskich przeżyciach i wrażeniach. Osmanek również spokojnie kroczył obok swego pana, lecz od czasu do czasu, gdy tylko ujrzał coś na polu, natychmiast zbaczał z drogi i w pełnych podskokach biegł do jakiegoś miejsca, które najsampierw obwąchiwał, potem odkopywał łapami ziemię, poczem nic nie znalazłszy, powracał do towarzystwa. Czasem przynosił w pysku zaduszoną rudą myszkę i tę ostentacyjnie rzucał panu pod nogi.

Wobec p. Naczyńskiej Osman był bardzo grzeczny, lecz zdaleka; dawał się pogłaskać, trochę pomachał ogonem, i natychmiast powracał do swego pana i przy nim tylko kroczył.

Pewnego razu, gdy byli w polu na spacerze, p. Naczyńska zapytała p. Karyńskiego:

— Czy p. Czeski jest krewnym pana?

— Nie, zupełnie obcym. A dlaczego się pani o to pyta?

— Bo widzę taką wielką życzliwość pańską dla niego.

— Poznałem jego ojca, gdy przyjechałem tu z Rosji. Był to zrujnowany ex-obywatel ziemski, bardzo zacny i szlachetny człowiek, dzisiaj niestety już nieżyjący. Więc też i syna jego bardzo lubię.

— On mi mówił, że zawdzięcza panu wiele i że bardzo pana ceni i poważa.

— Ot, pomogłem mu troszkę swemi stosunkami zaczepić się tu w biurze, i bardzo z tego cieszę się, że tam są z niego zadowoleni.

— Czy pan widzi tam, w zachodniej stronie, pod samemi obłokami, chmarę przeciągającego ptactwa? O teraz stamtąd dochodzi jakiś głos, jakby pisk jakiś?

Pan Wiktor zasłoniwszy oczy od blasku słońca, opuszczającego się już ku nieboskłonowi, długo przyglądał się, a potem wyrzekł:

— To dzikie gęsi odlatują od nas w cieplejsze miejsca. To jest niezbity dowód, że niedługo już śniegi upadną i pozamarzają u nas te szuwary, w których one się gnieżdżą i pokarm znajdują.

— Cóż za instynkt mają te zwierzęta, bo czyż po takiej ładnej, słonecznej pogodzie, pomimo października, mógłby się kto z ludzi spodziewać zbliżania się zimy? — zauważyła p. Naczyńska.

— O tak, natura nie dała zwierzętom takiego rozumu, jak człowiekowi, natomiast obdarzyła je subtelnym instynktem, wprost nieomylnym. Ludzie zaś, obserwując

to, nieraz wielu ciekawych i pożytecznych rzeczy się dowiadują.

Pomału zawracali, kierując się już ku domowi. Osman zrozumiawszy to, w podskokach wybiegał naprzód, wesoło poszczekując.

— Co Osmanku do domu ci się spieszy, może już piesek jeść chce? — zapytywał go p. Wiktor, na co Osman przytakiwał głośnem szczekaniem, okazując zwykłą radość swym puszystym ogonem.

— Czyż on już głodny jest, wszak to niedawno po obiedzie? — zapytywała p. Naczyńska, głaszcząc psa.

— O tak, on jest głodny, gdyż obiad jada o 12-ej, a teraz jest już blisko 6-ta — odpowiedział p. Wiktor, a potem obróciwszy się do niej zapytał:

— A może i pani wstąpi dzisiaj do mnie na szklankę herbaty?

— Z wielką chęcią bym do pana wstąpiła, lecz co ludzie na to powiedzą? Wszak pan jest kawalerem, a ja w dodatku panną. Dalibyśmy tylko naszym plotkarzom nowy materjał do obrabiania.

— To stary przesąd, na który się już nie zwraca najmniejszej uwagi. Ja zaś nie sam mieszkam, prowadzę gospodarstwo, mam starą służącą i nikt w tym nic złego nie może upatrywać, że pani mnie odwiedzi. A pani pomimo swej kultury, uparła się na tym punkcie i nie mogę panią, choćby na chwilę, zaprosić do siebie. Proszę mi więc powiedzieć, co pani widzi w tem złego?

— Ja nic w tem złego nie widzę i bardzo panu dziękuję za jego dla mnie życzliwość, lecz znając ludzką sła-

bość do wszelkiego rodzaju intryg i ploteczek, wolę ich ciekawości nie podsycać.

— A czy pani nie sądzi, że oni i tak nas obmawiają? Naprzykład teraz, kiedy chodzimy we dwoje w pole?

— Narazie dali już nam spokój. Szukają ciekawszych rzeczy.

— Tak! Dali nam spokój, gdyż przekonali się, że my z ich plotek nic sobie nie robimy. I to jest najlepszy sposób. Więc i w tym wypadku należy zastosować tę samą broń. — Wypowiedziawszy to p. Karyński ujął jej rękę i serdecznie ucałował, dodając:

— Zdaje mi się, że będzie pani powodować się własnym rozsądkiem, a nie dzikiem, zacofanem zapatrywaniem.

— Naprawdę nie wiem sama, co mam zrobić. Chciałabym bardzo spełnić pańskie życzenie i jednocześnie nie chciałabym poddawać impulsu złym językom — odpowiedziała p. Naczyńska, przystanąwszy na drodze i patrząc prosto w oczy p. Wiktora.

— Niech pani będzie spokojna, nic nam się nie stanie. A gorzej byłoby gdybyśmy się otaczali jakąś tajemnicą.

— A więc dobrze! Wstąpię do pana, ale tylko na godzinkę, a potem pan mnie odprowadzi.

— Doskonale, zgóry zgadzam się na wszystko.

Agatka, gdy otworzyła drzwi i ujrzała wchodzącą w jego towarzystwie obcą panią, aż zdębiała z przerażenia, i wybałuszywszy zaciekawione oczy, które nigdy tu takich gości nie oglądały, stanęła w kącie przedpokoju, cieka-

wie spozierając na przybyłą. Pan Wiktor ujrzawszy to, uśmiechnął się dyskretnie ze słowami:

— No Agatko, proszę nam przygotować herbatkę! Trzeba nakryć na trzy osoby, bo i p. Czeski niedługo nadejdzie.

I wprowadził p. Naczyńską do bawialnego pokoju, gdzie zaczęła przeglądać rozmaite pisma i tygodniki, a potem albumy i kolekcje fotografji z rozmaitych pięknych stron Polski. A gdy ujrzała piękny widoczek jeziora Wigry, aż krzyknęła z radości!

— Ach panie! Wszak to Wigry! Te Wigry, po których tyle razy w dzieciństwie z rodzicami swymi jeździłam. Mój Boże! Ile wspomnień, ile miłych, jeszcze dziecinnych, wrażeń tkwi w tych odległych czasach.

— A więc pani zna dobrze te strony?

— Dobrze nie, gdyż tylko z lat dziecinnych, lecz pamiętam te nasze tak piękne spacery. Powóz elegancki, śliczne konie i wykwintne towarzvstwo, w którem odbywaliśmy w lecie przejażdżki, po Wigrach ładnym i wygodnym statkiem parowym.

— Tak, ale towarzystwo to zapewne było rosyjskie i składało się z tych ludzi, którzy wówczas rządzili nami?

— Tak panie, gdyż, jak panu wiadomo, matka moja była rosjanką, a ojciec wówczas zajmował w Suwałkach jedno z czołowych stanowisk.

— Dla nas, polaków, takie wspomnienia nie są arcyprzyjemne — zauważył p. Wiktor.

— Wierzę panu. Ale dla mnie wspomnienia dziecinne zawsze mają swój urok. Tembardziej, kiedy dziś już nikogo nie ma z tamtych czasów. Niechże pan nie bie-

rze mi mego entuzjazmu za złe. Wszak ja wtenczas jeszcze nie rozumiałam tego, że naród polski ponosi krzywdy od tych ludzi, w których otoczeniu wychowywałam się. Dzisiaj to czuję, lecz odpowiedzialności za winy innych ponosić nie mogę.

— Bywa nieraz, że całe pokolenia pokutują za krzywdy, wyrządzone przez ich przodków.

— Więc podług pańskiego zdania, ja ciągle powinnam być tą jawną pokutnicą?

— Nie, nie o to chodzi, trzeba raczej starać się zatrzeć wszelkie ślady tych wspomnień, które są przykre dla obecnego otoczenia pani. Trzeba zabliźnić te rany.

Niedługo też przyszedł i p. Czeski i przy aromatycznej herbatce i smakowitych zakąskach, potoczyła się ogólna rozmowa w dosyć wesołym i miłym nastroju.

Pan Czeski, opowiadając jak się urządził i jak obecnie czas spędza poza biurem, dodał:

— Obecnie zapisałem się do Strzelca, który się tu coraz lepiej organizuje.

— A dlaczegóż nie do Sokoła? — zapytała p. Naczyńska.

— Proszę pani, bo i ta korporacja doskonale służy ojczyźnie — odpowiedział p. Czeski.

— A czyż Sokół nie spełnia takiego samego zadania? Wszak towarzystwo to, jak mi opowiadano, stoi na bardzo wysokim poziomie — zapytywała dalej p. Naczyńska.

— O ile wiem, Sokół dawniej, przed wojną światową, spełniał w narodzie wielkie patrjotyczne zadanie. Teraz

zaś, w wolnej Polsce, i Strzelca konkretne czyny przejawiają się, i dlatego też trzeba go popierać.

— A jak się pan w Strzelcu czuje? — pytała dalej p. Naczyńska..

— Strzelam już dobrze, mam dużo ruchu i gimnastyki, i mam pewność, że w razie potrzeby, doskonale przygotowany do walki, stanę w szeregach obrońców ojczyzny — zauważył p. Czeski.

— A cóż wy teraz robicie? — zapytywał p. Karyński.

— Teraz, póki jeszcze dopisuje pogoda, urządzamy marsze, ćwiczenia i strzelania w polu, a w zimowe miesiące będziemy mieli ćwiczenia i pogadanki, urządzane przez zaproszonych oficerów w świetlicy.

— Doskonale! Ja zaś wam urządzę bibljotekę i czytelnię; zebrałem już paręset ciekawych polskich powieści przedniejszych autorów, przeważnie o historycznem podłożu. Mam nadzeję, że uda mi się wkrótce stworzyć maleńką bibljoteczkę do użytku publicznego — odpowiedział p. Karyński.

— Zapewne, że to bardzo potrzebne — podchwyciła p. Naczyńska.

— Zwłaszcza tu, na kresach, gdzie zrusyfikowane społeczeństwo nie zna ani historji, ani kultury swego narodu — dodał p. Karyński, poczem zwrócił się z prośbą do p. Naczyńskiej:

— A może pani się jakoś przyczyni do wzbogacenia naszej czytelni? Sale i szafy mamy, tylko niestety są one jeszcze prawie próżne.

— Mam tam parę książek, ale to bardzo niewiele, mo-

głabym coś dostać od swych uczenic, lecz nie wiem, jakie by się nadawały?

— Oczywiście, najważniejsze dla nas są takie książki, z których by tutejsi obywatele poznali historję, obyczaje i wszelkie wyczyny naszego narodu, a więc najodpowiedniejsze by były: Kraszewskiego, Prusa, Sienkiewicza, Orzeszkowej, Rodziewiczówny, Kaczkowskiego, Korzeniowskiego, Rejmonta, Żeromskiego, Bałuckiego. Są to starzy pisarze, i zbliżają czytelnika do naszej przeszłości, wreszcie trzebaby koniecznie rozpowszechnić tu poezję; a więc Mickiewicza, Słowackiego i Konopnickiej — odpowiedział p. Karyński.

— Dobrze, postaram się o takie książki — odrzekła p. Naczyńska.

— I ja również coś nie coś będę miał z takich książek — odezwał się p. Czeski.

— Kiedy więc pani jest tak łaskawa, to może pani mogłaby poświęcić z parę godzin tygodniowo na zajęcie się bibljoteką — zapytywał p. Karyński, ciekawie patrząc jej w oczy.

— Owszem, mogłabym, w poniedziałki, wtorki i środy przyjść i pomóc państwu.

— Ach, to świetnie, gdyż ja już do kilku pań zwracałem się z taką prośbą, lecz każda się bardzo delikatnie wymówiła, więc też będziemy z panią oboje pracować, dopóki nam ktoś nie pomoże.

— Czy te panie nie mają czasu, czy też chęci? — dopytywała p. Naczyńska.

— Nie! nie to jest powodem ich odmowy, one bowiem strasznie krótko widzą i nie wiedzą co jest pożyteczne i

potrzebne. Lecz mam nadzieję, że niedługo zrozumieją swą straszną omyłkę — odpowiedział p. Karyński.

I tak wszyscy troje prowadzili rozmowę, popijając herbatką. Potem panowie odprowadzili p. Naczyńską do domu i pożegnali się z sobą.

Od tego czasu. p. Naczyńska w swoje dnie regularnie przychodziła do świetlicy Strzelca i tam wraz z p. Karyńskim, który zarządzał bibljoteką, urządzali na większą skalę czytelnię, rozpoczynając już wypożyczanie książek.

Jakie tam plotki i komentarze, na ten temat kursowały w tym partykularzu, to ich wcale nie obchodziło, wiedzieli bowiem doskonale, że spełniają zbożną pracę, a przy niej coraz więcej zbliżali się i przyzwyczajali do siebie.

Pan Karyński, jako człowiek już dobrze po czterdziestce, pomimo życiowych doświadczeń i wszelkich rozczarowań, wielce sobie sprzykrzył dotychczasowe życie w odosobnieniu, więc też do p. Naczyńskiej, która okazywała mu dużo życzliwości, poczuł wielką sympatję.

Pani Naczyńska zaś, która również prawie nikogo nie miała na świecie, i nikt tu nie darzył jej szczerą życzliwością i przyjaźnią, a wszelkie komplementa i grzecznostki, wywoływane jej miłą urodą i wykwintnym wyglądem, przyjmowała ze zdawkową grzecznością i rezerwą, więc też bardzo ceniła niekłamaną dla niej przyjaźń i życzliwość p. Karyńskiego.

I tak znów życie płynęło na tym szarym świecie. Pani Marja Naczyńska, jako dobra nauczycielka języka francuskiego, miła w obejściu, ułożona w formach towarzyskich, pozyskała ogólną sympatję, tak u uczenic, jak i u

ich rodziców. Odnajmowała obszerny, ładny pokój od bardzo miłych ludzi. Stołowała się u znajomych. Bywała w teatrze i kinach, w pogodne dnie spędzała wolne chwile na spacerach, a obecnie najwięcej w towarzystwie p. Karyńskiego i wszystko się nieźle układało, że należało tylko Boga prosić o zdrowie.

Zima nasza dosyć długa i uciążliwa schodziła ludziom wolniutko na szarej pracy. Każdy, jak mógł, tak urozmaicał sobie monotonję partykularza. Inteligencja też gwoli rozrywce i przyczynieniu się wielu społecznym instytucjom, urządziła parę bali w celach filantropijnych, na które poszedł oczywiście i p. Karyński, namówiony przez p. Naczyńską.

Jeden z takich bali, umiejętnie zorganizowany w salonach gmachu województwa na L. O. P., zgromadził paręset osób z pośród miejscowej inteligencji i okolicznych obywateli.

Bawili się na nim znakomicie nietylko młodzi, lecz i starsi.

Bal rozpoczął się tradycyjnym polskim polonezem, odegranym przez jedną z lepszych kapeli wojskowych. W krąg ogólnego poloneza został wciągnięty przez p. Naczyńską i p. Karyński, któremu żadne wymówki i tłumaczenia nie pomogły, wzięty bowiem mocno pod ramię, musiał maszerować za innymi.

Piękna melodja „Reduty Ordona" i ogólny wir w zgrabnych pas' i lansadach, tak go usposobiły, że ani się spostrzegł, jak utrzymywał takt i wcale nieźle p. Naczyńską prowadził, aż ta odezwała się z uśmiechem.

— Widzę, że wcale nieźle pan tańczy, a twierdził pan, że nie umie.

— Słowo pani daję, że nigdy nie uczyłem się tańczyć!

— A jednakowoż pan dosyć zgrabnie to robi.

— Uważam, że to tylko potwierdza przysłowie, że Polak ma wrodzone zdolności i do tańca i do różańca.

— Słyszałam, że do szabli i do szklanki.

— Podobno i na tej sztuce się doskonale zna i w konnej sprawie mistrzem go nazywają, gdyż nie gorzej koniem włada, niż najlepszy kozak.

— A widzi pan, więc wstyd byłby, gdyby pan nie przetańczył tradycyjnego poloneza.

Potem, gdy poszły tańce wirowe, dawne melodyjne walce i nowoczesne murzyńskie bostony i fokstroty, p. Karyński, usiadłszy pod ścianą, z zajęciem przyglądał się niektórym bardzo przystojnym paniom, z gustem ubranym w balowe suknie, w zgrabnych pantofelkach, i tańczącym z wielką gracją, w takt skocznej melodji.

I w myśli swej porównywał p. Naczyńską w seledynowej sukni, przybranej w piękne srebrzyste koronki, z bukiecikiem rozkwitłych fijołków po lewej stronie gorsu, i musiał przyznać, że chociaż inne panny miały jeszcze wiosenną młodość za sobą i może nawet klasyczną urodę, to jednak nie miały takiej gracji, i nie były tak ponętne, jak p. Naczyńska, na której osobie odbijało się coś niepowszedniego, coś takiego, co się nie często spotyka. Miała też ona powodzenie ogromne, gdyż ani chwili tancerze nie dali jej spokoju. Po każdem zaś przetańczeniu powracała na swe miejsce obok p. Wiktora i miłą poga-

wędką starała się go rozerwać, żeby mu bytność na balu uprzyjemnić. Kolację również spożywała w jego towarzystwie, przy ogólnym stole, przy którym zebrało się młode i dowcipne towarzystwo i nastrój był bardzo miły i wesoły.

To wszystko tak podziałało na p. Wiktora, że poczuł do niej silniejsze jeszcze uczucie sympatji. Coś takiego, co w obręb przyjaźni wkracza, lecz ani miłością, ani pożądaniem nie trąci. Jest to sobie taki błędny ognik, który niewiadomo jeszcze gdzie osiądzie.

Już dobrze zaczęło szarzeć na świecie, a gdzieś daleko, daleko, na wschodzie, wyłaniała się ognista tarcza jaskrawego słońca, gdy p. Wiktor odprowadzał z balu p. Naczyńską.

Szli oboje pod rękę, śpiesząc się ku domowi. Nie zamieciony nocny śnieg na chodnikach, przywarzony dobrym przymrozkiem, tylko chrupał pod ich nogami, aż p. Wiktor się odezwał:

— No, przynajmniej nabawiła się pani, ale też pewno i zmęczyła dobrze?

— Troszeczkę, lecz że dziś niedziela, to pośpię sobie dłużej. Ale żal mi pana, bo pan zapewne dobrze się wynudził?

— O nie! Przeciwnie, bawiłem się nieźle, a jeszcze więcej byłem zadowolony, że pani bawi się dobrze.

— Czy serjo pan mówi? — zapytała go, niedowierzająco zaglądając mu w oczy.

— Zupełnie serjo, gdyż mam w tem wielką przyjemność, gdy ktoś jest z czegoś zadowolony.

— Jest pan naprawdę poczciwy — odpowiedziała, lekko uścisnąwszy jego rękę.

A gdy się żegnał pod jej drzwiami, p. Naczyńska podawszy mu szczerze rękę i patrząc nań swym przenikliwym wzrokiem, powiedziała:

— Bardzo serdecznie panu dziękuję i za towarzystwo i za łaskawą opiekę. Bo naprawdę, gdyby nie pan, to nie chodziłabym na te bale, bo tak się zawsze jakoś samotna czułam. A wiem, że pan się tylko poświęca dla mnie, gdyż przez całą noc szalenie się wynudził.

— Nie, pani Marjo! Jestem zupełnie zadowolony, gdyż lubię obserwować bawiących się, tembardziej że i pani to przyjemność sprawia — odrzekł p. Wiktor, całując serdecznie jej rękę. Na co p. Naczyńska mu jeszcze dodała:

— Nigdy nie przestanę być panu wdzięczną za okazywanie mi tak wielkiej życzliwości.

A gdy p. Wiktor otworzył drzwi swojego mieszkania, zatęskniony Osman z piskiem i mruczeniem zaczął się z nim witać, skacząc i przysiadając na łapach przed swym panem, jakby chcąc okazać swą radość po tak długiej jego nieobecności, co wszak rzadko się zdarzało. Aż p. Wiktor musiał dobrze ugłaskać swego pupila i pozwolić mu liznąć swój policzek, ze słowami:

— Dobrze, dobrze kochany piesku! Pan też tęsknił do pieska. No dobrze, dobrze, idź teraz na swoje miejsce i zaśnij jeszcze z godzinkę, bo i ja się położę.

I o dziwo, pies jakby zrozumiał, liznąwszy go jeszcze po ręku, powędrował na swe posłanie i stęknąwszy parę

razy, ułożył się do snu, gdyż podczas nieobecności pana nie spał, ciągle go oczekując.

Pan Karyński też w pięknych marzeniach o zdobyciu przyjaźni miłej osoby, zasnął mocnym i błogim snem.

V

ROZBUDZONE UCZUCIE

Od tego czasu życie p. Karyńskiego popłynęło w innym kierunku. Jego starokawalerskie serce, choć zranione, i długo potem cierpiące, lecz wrażliwe na miłe odgłosy, pomimo dobrej lekcji, jaką w pierwszej idylli miłosnej odebrał, było stęsknione i pożądało kogoś i czegoś! Ściśle biorąc tę sprawę na rozum, może ono pragnęło nietyle gorącej, ślepej miłości, jak wielkiej, serdecznej przyjaźni. Bo czyż człowiekowi, posiadającemu wszelkie warunki do egzystencji potrzebne, jak wygląd zewnętrzny, średnie wykształcenie i niezłe uposażenie, a przy tem nieobarczonemu żadnemi fizjologicznemi niedomaganiami, można lekko przejść przez życie w pojedynkę? Nie! Stokroć razy powiemy, że nie. Każde stworzenie szuka przyjaźni, jakiejś pieszczoty, jakiegoś bliskiego sobie serca. A człowiek, obdarzony od natury większem pożądaniem, lepszym smakiem i subtelniejszym wyczuciem piękna i rozkoszy edenu, nie ma tyle siły woli, żeby się wyrzec tego haszyszu, który mu matka natura tak pięknie podała. Dlatego też, kiedy nadejdzie ta chwila pożądania, bardzo mało rozumuje i rozważa, a po większej części brnie naoślep, gdyż w tem swojem medjum, które go tak pociąga, nie widzi nic złego, a przeciwnie wszystko upatruje w najide-

alniejszej formie. Zwykle więc odwrotną stronę medalu potem się odkrywa.

Pani Naczyńska wpadła mu w oko nietyle swym zewnętrznym wyglądem, ile delikatnem obejściem i okazywaną mu życzliwością. W sercu też jego zakiełkowało dla niej coś więcej, niż zwykła sympatja. Ciągle więc myślał o tem, żeby jaknajwięcej i jaknajdłużej być w jej towarzystwie. Nic sam dla siebie nie planował, a gdy wybierał się gdzieś na spacer, czy na widowiska jakie, to wprzód umawiał się z nią, gdyż inaczej sobie nie przedstawiał swej tam bytności. Wzajemnie też do siebie lgnęli i czuli się ze sobą bardzo dobrze. Ludzie miejskiego partykularza (a zwłaszcza biurowa inteligencja) przyzwyczaili się spotykać ich zawsze razem. Na ten temat poplotkowali trochę i dali spokój. Natomiast gdy widzieli które z nich w pojedynkę, to wysnuwali z tego rozmaite wnioski: że może które z nich wyjechało, a może chore, gdyż nie wyobrażali sobie, żeby ich coś mogło rozłączyć.

Koledzy p. Karyńskiego pogodzili się z tem, że on się dopełnia p. Naczyńską, i że bez niej już obecnie trudno by mu było istnieć. Byli więcej, niż przekonani, że oni pobiorą się i na ten temat często prowadzili rozmowy, gdyż jedni dowodzili, że ślub wezmą po cichu, inni zaś twierdzili, że p. Karyński wyprawi im wesele.

Najwięcej tą sprawą interesował się Poplin, który jako naczelnik wydziału, był zwierzchnikiem Karyńskiego. Był to człowiek bardzo wrażliwy na niewieście wdzięki i pomimo to, że był żonaty i miał dzieci, uchodził za lowelasa. Więc też poznawszy osobiście p. Naczyńską, gdzie tylko ją spotkał, starał się zawsze jej towarzyszyć. Rozmo-

wę z nią prowadził w ten sposób, że nagadywał jej całą furę komplementów i rozmaitych duserów, Karyńskiego zaś starał się obniżyć, przedstawiając go jako śmieszne, małostkowe indywiduum, wykpiwając jego najszlachetniejsze i najuczciwsze porywy.

Petersburski ten człowiek, prócz siebie samego, wszystkich poniżał. O psychologji naszego narodu nie miał pojęcia i nie interesował się nią wcale. Duszy polaka nie znał i nie pragnął jej poznać. Miał siebie za coś najlepszego i ze względu na zajmowane stanowisko, uważał za konieczne, by go wszyscy bezkrytycznie słuchali. By płaszczyli się przed nim i broń Boże nie pokazywali żadnej swej barwy, ani indywidualności. Kto zaś tego nie czynił, stawał się jego wrogiem, a on wówczas mścił się na nim zawzięcie.

Jak wiemy, nie był on też bardzo przyjaznym dla p. Karyńskiego, któremu zawsze się starał szpilki wsadzać i obrzydzać życie do zenitu. Karyńskiego tylko ratowała punktualność i skrupulatne spełnianie swych obowiązków, no i szlachetność i sprawiedliwość prezesa, który nie pozwalał bardzo brykać podwładnym mu naczelnikom.

Pani Naczyńska zaś z pobłażliwością przysłuchiwała się intryżkom Poplina, gdyż doskonale wiedziała, jaki ich stosunek łączy. Jednakowoż nie reagowała na nie nigdy, choć wiedziała, że Karyńskiemu krzywda się dzieje. — Nie chciała bowiem narażać się p. Poplinowi, jakby chcąc mieć go w odwodzie w razie jakiejś potrzeby, tembardziej, że Poplin w mieście tem zaliczał się do jednostek, zajmujących czołowe stanowiska.

Pewnego też wiosennego popołudnia, gdy w ogrodzie

miejskim już wszystko ożyło i wiosenne krzewy i kwiaty zakwitły, wprost odurzając swym cudnym zapachem i wyglądem, p. Naczyńska, wyszedłszy wyjątkowo później z gimnazjum, dla odświeżenia umysłu, skierowała swe kroki ku ogrodowi. Tu zaraz przy wejściu koło fontanny ujrzała siedzącego na ławce p. Poplina w dużej panamie i z nieodstępnym papierosem w zębach. Ten zaś, gdy spostrzegł ją wchodzącą, zerwał się z ławki i uniósłszy w górę swą panamę, podszedł ku niej ze słowami:

— Ach, co za miłe spotkanie! Pozwoli pani sobie towarzyszyć?

— Owszem, jeżeli to panu przyjemność sprawi — odpowiedziała, podając mu rękę na przywitanie.

— Tak, czyż to nie jest przyjemnie z taką ładną niewiastą i w taki miły czas spacerować! — odrzekł swym petersburskim akcentem, którego, czy nie chciał, czy nie mógł się pozbyć.

— Prosiłam pana bardzo nie częstować mnie żadnemi komplementami, gdyż ja tego bardzo nie lubię — odpaliła mu z pewnem nadąsaniem się.

— Ach pani! Taż to dalibóg nie jest żaden komplement, a szczera prawda.

— No dobrze, skoro w pańskich łaskawych oczach tak wyglądam, to mi jest bardzo przyjemnie, lecz wogóle pochwał i komplementów nie lubię.

— Tak, bo za dużo ich pani słyszy, więc się sprzykrzyły. Ale od Karyńskiego to napewno pani je z wielką przyjemnością przyjmuje.

— Bardzo się pan myli, Karyński nigdy mi żadnych komplementów nie prawi.

— Wierzę pani, bo taki idjota, nawet gdyby chciał, to nie umiałby coś gładko i mile powiedzieć.

— Nie uważam p. Karyńskiego za idjotę, a przeciwnie, mam go za rozsądnego i taktownego człowieka, o bardzo prawym charakterze.

— Ach tak go pani wysoko stawia! No, no, no, nie spodziewałem się, że tak u pani zaawansował — wykrzyknął Poplin, śmiejąc się do rozpuku.

— Nie awansuję go, a tylko mówię, jakim on mi się wydaje. Ale bardzo mnie zadziwia ta pańska nienawiść do niego.

— To nie jest żadna nienawiść proszę pani, a tylko ja, jako naczelnik jego, poznałem, że to jest idjota skończony.

— To dlaczegóż panowie na takiem stanowisku trzymacie idjotów?

— Ta jakież on tam stanowisko zajmuje! Ot zwyczajny referent, co mu każę to musi zrobić. A jest to taki pyszałek zarozumiały, że dawno trzebaby go było spuścić, tylko nasz prezes dziwną słabość ma do niego i dlatego siedzi.

— A ja słyszałam, że jest to bardzo zdolny urzędnik i że w Rosji również dobre stanowisko zajmował.

— Et pani, jest to zwyczajny „stupajka“, wszystko według prawa i przepisów, które na pamięć umie, jak katechizm, i tem zaimponował prezesowi. Ale ja go często obsadzam, żeby nie zaznawałsia*) tak bardzo. Odnośnie zaś jego posady w Rosji, to tak samo niewielkie stanowi-

*) Nie miał o sobie wielkiego wyobrażenia.

sko zajmował. Ale opowiem pani o nim ciekawą rzecz z tamtych czasów.

— No cóż takiego, proszę bardzo?

— A ot widzi pani, on i tam był taki zarozumiały w swej wielkości jak i tu, i niech pani sobie wyobrazi, pozwolił sobie podnieść oczy na córkę jednego dygnitarza i za to go wyrzucili na łeb.

— Jakto wyrzucili? — dopytywała się zaciekawiona p. Naczyńska.

— A no zakochał się w córce rzeczywistego radcy stanu i do tego jeszcze szambelana, i ośmielił się prosić o jej rękę. Więc oczywiście go wyleli z pałacu tego dygnitarza, a potem z posady.

— Ja nie widzę w tem nic tak zdrożnego, że ktoś kogoś pokocha i chce to potwierdzić sakramentem małżeńskim — odpowiedziała po namyśle p. Naczyńska.

— Ależ proszę pani, jaka śmiałość takiego chłystka. Wszak dygnitarze nie mogą wydawać córek za takich pisarczyków.

— Dlaczego? Zwłaszcza, jeżeli on jej się podobał i pokochała go?

— Ależ pani! To wykluczone, żeby tego rodzaju człowiek mógł się takiej damie podobać.

— Nie wiem, co pan widzi w nim ujemnego. Do stanowiska zaś wyższego mógł tak samo swą pracą dojść, jak i jej ojciec kiedyś, który przecież nie urodził się takim dygnitarzem.

— O proszę pani, to wykluczone! gdyż niema wyższego wykształcenia, przy tem nie jest prawosławnym. A pani wie, że w Rosji na to najwięcej zwracali uwagi.

— O ile wiem, to tu w Polsce, za rosyjskich rządów nie chcieli awansować polaków, natomiast w Rosji ten element, jako zdolny i więcej obowiązkowy, często bardzo zajmował wysokie stanowiska.

— No tak, ale to nie z jego nosem, proszę pani.

— Niechże mi pan dowiedzie, dlaczegóż by on nie mógł zająć wyższego stanowiska?

— Ot mówię pani, idjot! „Formalnyj idjot" — wykrzyknął p. Poplin.

— Nienawiść pańska zaciekawia mnie strasznie, gdyż drugi rok znając Karyńskiego, nie mogę w nim nic dojrzeć, jak tylko to, że jest człowiekiem inteligentnym i o dosyć wysokiej kulturze.

— A ot ja pani powiem cały sekret.

— Ciekawam bardzo?

— Doskonale umie pozować i maskować się.

— Nie panie, to nie to, a tylko pan się do niego uprzedził i nie docenia pan go.

— Zaręczam pani, że ja się na nim dobrze poznałem. Ja wogóle takich ludzi traktuję tak, jak im się to należy, a broń Boże, nie za pan brat.

— No to jest pańskie zapatrywanie, ale nie wiem czy ono jest dobre, zwłaszcza tu w Polsce, gdzie głoszą hasła demokratyczne.

— Ta co mnie ta ich demokracja obchodzi, ja dla tego hasła nie będę swej godności obniżać.

— Ha, jeżeli pan uważa, że z tem panu jest wygodnie, to niech pan sobie tak postępuje.

— Moja pani, ja tu się nie lokuję na daleką przyszłość,

gdyż jestem pewny, że za rok, a najwyżej dwa, wypędzą bolszewików z Rosji i ja tam powrócę.

— Czyż pan tak tęskni do Rosji?

— No, pytanie! A czyż ja tu mam taką pozycję, jak miałem tam. A pani? I pani napewno wolałaby tam wrócić.

— Wie pan, ja się tu już przyzwyczaiłam. A przecież pan z polskiej rodziny pochodzi?

— Ot, tak, kiedyś tam podobno rodzice moje tu się rodzili, a ja proszę pani „sybirak“. Urodziłem się tam, wychowałem tam i tam mnie dobrze było.

— Mnie nie zdaje się, żeby tam tak prędko mogli pozbyć się bolszewików.

— Ręczę pani, że za dwa lata już Rosja będzie wolna i napewno z powrotem i tu przyjdzie — upewniał p. Poplin.

— E panie, polacy już teraz nie dadzą sobie wydrzeć ziemi, to wykluczone.

— Taż pani rosjan 150 miljonów! Taż czapkami nakryją garstkę tego ludu.

— Nie panie, tak źle nie będzie, Polska jest kulturalnem i świetnie zorganizowanem przez Marszałka Piłsudskiego państwem, nie da sobie teraz najmniejszej krzywdy zrobić. Wszak w 1920 r. Piłsudski garstką wojska pokonał tak straszną nawałę bolszewicką, grożącą wówczas zagładą całej Europie. Dzisiaj zaś mocna armja Polska, i wielkie ideje Jej wskrzesiciela, oprą się każdemu wrogowi, — dowodziła p. Naczyńska, wówczas tak nastawiona przez p. Karyńskiego.

— Ha to trudno! To w takim razie tu muszę pozostać,

ale dzieci swe dla pewności będę kształcił w języku rosyjskim, bo to się przyda „na wsiakij słuczaj"*) — dowodził p. Poplin, nie krępując się p. Naczyńskiej, którą stale nazywał ziomką.

P. Naczyńska, wyszedłszy z ogrodu, zmierzała na ulicę Parkową do swego domu w towarzystwie Poplina, który zatrzymawszy dłużej jej rączkę na pożegnanie, odezwał się:

— No napsuł ja pani krwi, wygadując na tego idjotę. Bardzo za to panią przepraszam, ale naprawdę on do pani tak pasuje, jak wół do karety.

— Ale cóż pan takie rzeczy mówi, mam go za bardzo życzliwego mi i dobrego człowieka i za to jestem mu wdzięczna. Narazie nic więcej nas nie łączy — odpowiedziała mu, żegnając się.

Lecz w domu dała ujście swym nerwom:

— Co on sobie myśli? I dlaczego stara się obniżyć jego wartość przedemną i wprost ośmieszyć go. W tem musi mieć jakiś swój interes? Albo opowiadał mi o jakimś niefortunnym jego romansie w Rosji. Muszę też Karyńskiego się zapytać, wszak on jest tak uczciwy, że powie mi prawdę. Zresztą, co to mnie obchodzi, wszak nie jest moim narzeczonym, więc po co mam wtrącać się w jego tajemnice? A jednak chciałabym wiedzieć, jak się ta sprawa przedstawiała? Boć naprawdę ten Karyński to bardzo zacny człowiek, nikt tu o nim, oprócz Poplina, źle się nie wyraża, a przeciwnie wszyscy mają dla niego wielkie uznanie. Przytem jest bardzo miły, sympatyczny

*) Na wszelki wypadek.

i dla mnie tak dobry i życzliwy. Więc nie wierzę, żeby on mógł jakieś kolosalne głupstwo zrobić. Muszę się koniecznie o tem wszystkiem dowiedzieć. Wprost zapytam Karyńskiego o to, oczywiście nie mówiąc mu, że dowiedziałam się o tem od Poplina.

W kilka dni potem sensację w mieście wywołało wystawienie w kinie Moderne Trędowatej. Obraz ten, jako przeróbka z poczytnej powieści Heleny Mniszkówny, dosyć starannie wystawiony, zgromadził tłumy przed kasą kina. Ogonki wychodzące na ulicę, tamowały ruch uliczny, aż policja musiała wystawić specjalne posterunki. Wiele też osób musiało kilka dni czekać, ażeby nabyć bilet na ten obraz. Pan Karyński, gdy nareszcie zdołał kupić dwa bilety, na najpóźniejszy seans, podążył do p. Naczyńskiej, by napiwszy się u niej herbaty, pójść z nią do kina.

Jak zwykle przyjęty był przez nią bardzo serdecznie. Gdy się przywitał i usiadł obok niej na kanapie i zamienili kilka zdań o kinie, o pogodzie i o innych potocznych sprawach, pani Naczyńska, zaglądając mu głęboko w oczy, odezwała się:

— Panie Wiktorze! Czy odpowie mi pan prawdę na jedno moje pytanie?

— A czy skłamałem kiedy co przed panią? — odpowiedział jej pytaniem Karyński.

— Nie! Znam pańską uczciwość, lecz nie każdemu o wszystkiem obowiązani jesteśmy mówić prawdę.

— Ja pani Marjo, nie uznaję żadnych wykrętów i albo mówię prawdę, lub też kategorycznie odmawiam odpowiedzi.

— A więc dobrze. Niechże mi pan powie, czy to prawda, że miał pan w Rosji jakieś bardzo przykre nieporozumienie spowodu romansu z córką jakiegoś dygnitarza?

— Tak, prawda, lecz nieporozumienie to polegało na tem, że byłem przez nią w błąd wprowadzony i przez to musiałem się usunąć.

— Mówiono mi, że przeciwnie, że pana usunięto i z domu jej i z posady.

— Ach tak, ubarwiono to zupełnie innemi komentarzami, zapewne obniżającemi mą godność?

— Poniekąd tak, i dlatego też nie dałam wiary temu, więc zapytuję pana?

— Owszem, nie widzę potrzeby ukrywania przed panią i dlatego opowiem jej całą tę historję.

I tak zaczął jej Karyński o wszystkiem opowiadać, a więc: jak poznał tę panią przypadkowo na spacerze, jak mu się bardzo podobała, i jakto wówczas zapałał do niej gorącą miłością, nie wiedząc nawet o tem, że to była córką jednego z większych dygnitarzy. Że wyczuwał u niej wzajemną sympatję i że zdawało mu się, iż jest bardzo szczęśliwym. Że po kilku spotkaniach i spacerach zaprosiła go do siebie i przedstawiła swemu ojcu, który go bardzo serdecznie przyjął, a tem ośmielił go oświadczyć mu się o jej rękę. Tu ciekawość p. Naczyńskiej posunęła się do takiego napięcia, że aż wykrzyknęła:

— No i co, no i co? Jak ojciec jej na to zareagował?

— Jaknajlepiej, przyjął me oświadczyny i obiecał wszystko urządzić nam jaknajwygodniej, oczywiście obiecując mi wyrobić odpowiedni awans. Chociaż już

wówczas otrzymywałem przeszło 100 rubli pensji miesięcznej, co w owem mieście starczyło na skromne utrzymanie.

— No i jak się to skończyło? Niechżeż mi pan powie, bo to jest bardzo ciekawe?

— A więc przez parę miesięcy byłem najszczęśliwszym na świecie. Byłem zaślepiony w niej, jak ten głuszec na wiosnę, który nic oprócz swej samicy nie widzi! Który nie myśli o niczem, tylko o niej, o tej swej bohdance, której cały świat by rzucił pod nogi, i staje się jej ślepym niewolnikiem. Po całych dniach tylko myślałem o niej. Każdą wolną chwilę spędzałem u jej stóp. Każdy jej uścisk, każde dotknięcie jej ręki stawało się balsamem mego życia. I wraz z nią snuliśmy cudne projekty naszej przyszłości, którą nam jej ojciec miał jaknajlepiej ułatwić. My zaś oboje z nią myśleliśmy tylko o naszem kochaniu, o naszej miłości, mając nadzieję, że ta nigdy nie wygaśnie.

— No i jakżeż się to zakończyło panie kochany? — wykrzyknęła p. Naczyńska.

— Katastrofalnie! Z wielką przykrością to wspominam.

— Ale niechżeż już pan powie!

— Będąc oślepiony jej miłością, nie rozumiałem nieraz docinków i półsłówek, rzucanych przez mych kolegów w biurze. Nie mogłem też zorjentować się, dlaczego w ich domu nikt nie bywał z miejscowej młodzieży arystokratycznej, chociaż dom ich był na tym poziomie prowadzony. Dopiero jeden z wyższych urzędników polaków, który był mi bardzo życzliwy, odkrył mi tę tajemnicę.

Opowiedział mi, że owa panna miała tak kompromitującą przeszłość, że ojciec jej dla ratowania jej i swojej reputacji, musiał zmienić miejsce zamieszkania. I że owocem całej tej kompromitacji jest małe dziecko tej pani, oddane gdzieś w odległej o kilkaset wiorst miejscowości na wychowanie. Wiadomość ta wprost przybiła mnie jak gromem. Nie mogłem się opanować. Chodziłem jak warjat przez kilka dni. Wprost nieprzytomny byłem.

— No ależ pan kochał ją bardzo, to mógł pan ulitować się nad jej błędem, nie wiadomo w jakich okolicznościach popełnionym? — zauważyła p. Naczyńska.

— Bolało mnie to, że zostałem oszukany. Że nie powiedziano mi prawdy. A jeszcze więcej to, że skoro powiedziałem to jej ojcu, to ten potraktował mnie tak, jakby mnie łaskę robił, że takiemu przybłędzie powierza dziecko swoje. To mnie najwięcej zabolało, nie chciałem więc służyć za jakiś parawan, lub przykrywkę cudzych ułomności. Przytem nie miałem pewności, czy ona mnie kocha, choć w dziesiątej części tak, jak ja ją pokochałem. Czy tylko chciała się przezemnie zrehabilitować i choć pozornie oczyścić z plamy. Następnie nie miałem pewności, że nie stanę się pośmiewiskiem całego społeczeństwa w owem mieście, które dobrze znało wszelkie tajemnice.

— I przestał pan tak odrazu ją kochać?

— Nie! Długo cierpiałem. Długo zmagałem się sam z sobą, ze swem sercem, ze swemi nerwami, które pożądały choćby jej widoku, choćby jej dotknięcia. lecz oni sami pomogli mi wyleczyć się od tej słabości. Ojciec jej bowiem, mszcząc się na mnie postarał się o przeniesienie

mnie do miasta oddalonego o 400 wiorst i to pozwoliło mi po paru latach zapomnieć o niej.

Podczas całego tego opowiadania, p. Naczyńska słuchała go z wielką uwagą. Potem zaś długo jeszcze rozważała w swej myśli i odezwała się:

— Spotkał pana rzeczywiście bardzo wielki zawód, lecz jeżeli ona pokochała pana prawdziwie, a pan, jak sam twierdzi, kochał ją bardzo, czy nie można było wybaczyć jej tego upadku, który napewno miał głębsze przyczyny, mogące tłumaczyć jej winę?

— Nie pani! Nie sam fakt odegnał mnie od niej, lecz jej zachowanie się, gdy jej zrobiłem wymówkę. Gdy z bólem serca zapytywałem się jej dlaczego zataiła przedemną swą przeszłość, kiedy łącząc się z nią musiałbym konsekwencje tego wszystkie wziąć na swe barki i tylko w ten sposób zrehabilitować ją! Ona nietylko, że nie starała się wytłumaczyć mi tej sprawy, lecz potraktowała mnie zgóry, jak parjasa jakiego. Ojciec zaś jej zdziwił się moją śmiałością, dowodząc mi, że powinienem cieszyć się, że tylko właśnie ta sprawa otworzyła mi drogę do połączenia się z taką rodziną, co mi miało gwarantować zamożność i wysoką pozycję w ich świecie biurokratycznym.

— Tak, teraz rozumiem pana, to zakrawało na sprzedaż w charakterze parawanu. Pan zaś, kochając ją, żądał od niej wzajemności.

— O tak pani! Gdyby mi wytłumaczyła przyczynę swego upadku, gdybym uczuł jej skruchę i miał pewność jej miłości dla mnie, byłbym jej wszystko wybaczył.

— Trudno, stało się, to tylko posłużyło za naukę dla pana i od tej pory oczywiście unika pan niewieściego to-

warzystwa; tylko mnie jakoś obdarza pan kapką sympatji, aż nawet znajomi zauważyli, że widać umiem poskramiać takich abstynentów płci pięknej, jak pan — rzekła wesoło p. Naczyńska.

— Nie jestem proszę pani w tym przedmiocie abstynentem, lecz rzeczywiście od kilkunastu lat unikałem pań. Wprost coś odpychało mnie od nich. Do pani zaś, odrazu dziwnie mnie coś pociągnęło.

— Bardzo mnie to cieszy, że moja osoba nie odstraszała pana od siebie.

— Nietylko, że nie odstraszała, lecz coraz więcej przyciągała do siebie — odrzekł p. Wiktor, ująwszy jej rączki i pokrywając je pocałunkami.

— Bo i ja poczułam dla pana bardzo wiele sympatji. Właściwie ujął pan mnie swą dobrocią i powściągliwością, gdyż nie lubię żadnych zdawkowych komplementów, wprost oburzają mnie one. W panu zaś cenię nietylko jego dobroć i życzliwość dla mnie, lecz i takt w postępowaniu ze mną. Choć przyznam się panu, że nieraz sądziłam, że pan jest zupełnie obojętny względem mnie.

— Od pierwszej chwili nie byłem nim, lecz starałem się lepiej panią poznać i stałem silnie na straży swych uczuć i nerwów.

— A teraz? — zapytała, śmiejąc się swym miłym wyrazistym wzrokiem.

— Teraz, pani Marjo, muszę wyznać, że panią kocham! Kocham szczerze i głęboko! — wypowiedział głosem przyciszonym, całując jej ręce, poczem spojrzawszy głęboko w jej oczy, jakby chciał sięgnąć do jej duszy, zapytał:

— A co pani mi na to odpowie?

— Że jestem z tego bardzo zadowolona, gdyż pana bardzo lubię. Lubię pana więcej, niż kogokolwiek innego w życiu. Kiedy pana nie widzę, ogarnia mnie jakaś tęsknota i czuję wówczas jakąś pustkę koło siebie. Lecz czy to jest miłość, tego nie wiem. Ja bowiem miałam w swojem życiu parę maleńkich flircików, takie sobie niewinne platoniczne uczucia. Lecz te mijały nadzwyczaj prędko. Do pana zaś mnie coś pociąga. Nieraz tłumaczyłam sobie, że pańska życzliwość dla mnie tak na mnie działa. A może to jest coś więcej? — odpowiedziała mu, spuszczając jakby wstydliwie swój wzrok ku ziemi.

Pan Wiktor, już nie mogąc opanować swego płomiennego uczucia, przygarnął ją do swej piersi i przywarł wargami do jej ust, pijąc słodycz tego pocałunku, którego tak długo pożądał.

Od tej pory między sobą byli już narzeczeństwem, lecz zatrzymali to w sekrecie.

Potrzebowali jeszcze dużo czasu na przeprowadzenie pewnych formalności i przygotowanie się na wydatki, gdyż oboje zasobów materjalnych nie posiadali.

VI

P. KARYŃSKI W ROLI NARZECZONEGO

Pan Karyński wrócił później niż zwykle do domu, gdyż po seansie odprowadził p. Naczyńską. Tam jeszcze napili się herbaty, snując swe projekty na przyszłość. W domu więc utęskniony Osman z entuzjazmem go powitał. Tak okazywał swą radość skomleniem, piskiem i szczekaniem, w podskokach do swego pana, jakby mu chciał okazać swą miłość. To też p. Wiktor, ugłaskawszy psa serdecznie, uspokajał go, że jest już przy nim, i że wie, jak piesek tęsknił za nim. Potem zaś, rozbierając się w sypialnym pokoju, ujrzał przy sobie Osmana, który rozwaliwszy się na podłodze, machał puszystym ogonem, nie spuszczając wzroku ze swego pana. Ciemno-szafirowe ślepia tego wiernego przyjaciela jakby sondowały wnętrze duszy pana. Jakby rozumiały, że tam odbywa się coś niepowszedniego. To coś tak wpłynęło na osobę p. Wiktora, tak go ożywiło i jakoś przeinaczyło, że w poczciwem psiem sercu, które odrazu wyczuło zmianę, zrodziła się instynktowna ciekawość, co też to może być, jaka to się tam kryje tajemnica? Aż przywołał go p. Wiktor do siebie i gdy ten oparł swe łapy na ramionach swego pana, siedzącego w łóżku, p. Wiktor odezwał się do niego:

— Wkrótce piesku nie będę cię tak zostawiać samego.

Będziesz miał panią w domu, to nie będzie ci się tak nudzić, nie!

Lecz Osman nie uspokoił się tym frazesem, i jeszcze przenikliwiej wpatrując się w p. Wiktora, zaskomlał jakimś dziwnym, żałosnym głosem.

Pan Wiktor biorąc to za niezłomny dowód jego znużenia przez tak długie oczekiwanie jego powrotu, jeszcze go serdeczniej pogłaskał i kazał mu pójść na swe miejsce i ułożyć się do snu.

Sam zaś, chociaż natychmiast położył się i zgasił światło, długo nie mógł zasnąć. Myśli przesuwały się, jak w kalejdoskopie, po jego głowie. Wspomniał sobie całe życie od najmłodszych lat.

W bardzo młodym wieku stracił rodziców, u których miał wszelkie wygody i których kochał bardzo. Potem zaopiekował się nim poczciwy stryj, z którego pomocą skończył gimnazjum w Saratowie, na czem, wskutek braku środków materjalnych, musiał poprzestać. Potem poszedł na swój własny chleb, ulokowawszy się w jednym z biur rządowych. Początek tej pracy był przykry, wynagrodzenie małe, a więc i życie w zapadłym Saratowie ciężkie i szare. Stosunków towarzyskich nie utrzymywał, nigdzie nie bywał, zajęty był tylko pracą i najwyżej spacerami w okolice podmiejskie. Takie życie odosobnione na złe mu nie wyszło, gdyż będąc zajęty tylko służbą, wyrobił sobie opinję zdolnego i pracowitego urzędnika, i prędko awansował. Wówczas już miał pewną pozycję i niektórzy zaczęli się z nim liczyć. Jednem słowem — na jego firmamencie życiowym, zajaśniało maleńkie światełko, gdyż pod względem materjalnym nie miał tych codzien-

nych trosk i niedomagań. Ale życie jego w nieznanem środowisku, do którego nic go nie ciągnęło i do którego nie mógł się przyzwyczaić, nie dawało mu żadnego szczęścia ani zadowolenia. Ciągle więc myślał tylko o rodzinnym kraju. O tej pięknej, wymarzonej Polsce, o której tyle słyszał od rodziców, gdyż sam jej nie pamiętał. O tem, że ten piękny kraj jego, brutalnie rozdarty przez zaborców, obecnie jęczy w niewoli, a jego ziomkowie w walce o wolność giną masami pod brutalną pięścią najeźdźców.

A on! On u nich pracuje. Więc czyż mógł być słodki i smaczny ten ich chleb, choćby najobfitszy? A potem ten szał jego do pięknej Rosjanki! I cóż byłoby się stało, gdyby się ożenił? Przedewszystkiem zapewne nie wróciłby do Ojczyzny i nie miałby szczęścia oglądać Jej, uwolnionej z pęt niewoli. Sam odegrałby rolę parawanu cudzych grzechów i namiętności. Stałby się ich kupionym parjasem i niewolnikiem, gdyż prawdziwym obywatelem nigdy nie mógłby zostać. Swej polskości nie byłoby mu wolno jawnie głosić. Cierpiałby więc tylko ogromnie.

Sprawiedliwy Bóg zawsze wie, co robi! Nie trzeba więc nigdy iść przeciw woli Stwórcy Najwyższego, gdyż wszystko to, co z wyroków Jego spotka nas, ma swoje głębokie przeznaczenie.

Tak przemyśliwał p. Wiktor w cichą, spokojną noc, ułożywszy się w pościeli. Potem znów myśl jego zwróciła się do obecnej chwili.

Zastanowił się nad swem położeniem. Sondował swe uczucie do p. Naczyńskiej. Analizował szczegółowo jej charakter i naturę, które, jak mu się zdawało, wystudjo-

wał doskonale. Doszedł więc do przekonania, że pozatem, że była ładną i pociągającą, była też z natury dobrym człowiekiem. Że może była mało praktyczna i mało obrotna, jako gospodyni w życiu domowem, lecz to w porównaniu z innemi zaletami, było bagatelką, którą sama szkoła życiowa zniweluje.

W każdym bądź razie miał nadzieję, że wszystko się ułoży jaknajlepiej i będą oboje szczęśliwi.

Już dobrze zaczęło świtać, gdy p. Wiktor zasnął snem kamiennym. Rano Agatka, szarpiąc go za ramię, obudziła go ze słowami:

— Proszę pana wstawać. Wszak to już wpół do ósmej.

Zerwał się więc i przetarłszy oczy, spojrzał na zegarek, potem zaczął pośpiesznie wybierać się do biura. Osman zaś, jak zwykle, asystował mu nieodstępnie.

Pewnej wiosennej, pogodnej niedzieli p. Wiktor z p. Naczyńską i Osmanem wybrali się popołudniu do bliskiego lasu na spacer. Już za miastem poczuli doskonałe powietrze, płynące z łąk usianych kwiatami i z łanów dojrzewającego zboża. Wszyscy byli w świetnych humorach. Pan Wiktor pogwizdywał sobie walczyka Straussa, p. Marja również nuciła go w takt melodji, a Osman swym zwyczajem bujał po łanach zbóż, w które gdy zaszył się, to w podskokach tylko jego płowy grzbiet było widać.

A gdy już doszli do lasu i ulokowali się na obszernej polance, okolonej młodemi świerkami, brzeziną i choiną, z których balsamiczny zapach wprost odurzał, jęli spożywać podwieczorek, który zabrali ze sobą w postaci kilku dobrych ciastek i soczystych pomarańcz. Osman, ułożywszy się obok nóg pana, spokojnie oczekiwał, kiedy się i je-

mu odpowiednia porcyjka dostanie, gdyż ciasteczka lubił bardzo.

Rozmowę swą prowadzili, snując swój program na przyszłość. Perspektywa ich pobrania się przedstawiała im się w różowych kolorach. Postanowili bowiem narazie pracować oboje, dopóki ich fundusze nie wzmocnią się. Pani Naczyńska zaznaczyła, że i lokal muszą mieć większy i wygodniejszy, gdyż będą zmuszeni urządzać przyjęcia, żyjąc ze znajomymi, co na prowincji, według jej zdania, wprost jest nieuniknione. Musi więc nabyć dobre i ładne pianino, co też pociągnie znaczny wydatek, no i wiele innych rozmaitych potrzebnych rzeczy. Pan Karyński wszystko to akceptował, obliczając dosyć obfity koszt tych przedmiotów i proponując nabywanie ich już teraz, bodajby na raty, żeby stopniowo we wszystko się zaopatrywać. I tak rozpatrywali swe projekta, będąc zupełnie pewni, że w ziszczeniu się ich nic im nie przeszkodzi, aż p. Wiktor ucałowawszy jej rączkę, odezwał się:

— No, a jak my się urządzimy w tym roku z naszemi urlopami?

— A kiedy pan myśli korzystać z urlopu?

— Ja w początkach sierpnia, dopiero po powrocie z urlopu Poplina.

— To o tej porze ja już powracam, gdyż zaczynają się lekcje — odpowiedziała p. Marja.

— Szkoda bardzo, że nie możemy razem wyjechać, przyjemniej nam byłoby spędzać czas. A dokąd pani myśli w tym roku wyjechać?

— Jeszcze nie wiem. Potrzebuję po swej pracy spo-

koju i odpoczynku, więc muszę się w odpowiednie miejsce wybrać.

— Chciałbym bardzo, żeby to było niedaleko stąd, to bym w każde święto przyjechał panią odwiedzić.

— Radzili mi Druskieniki, tam ma być niedrogo i bardzo przyjemnie.

— Ach, to byłoby świetnie, gdyż niedaleko stąd i łatwy byłby dla mnie dojazd.

— A czy panu wiele na tem zależy?

— I czyż pani się jeszcze o to pyta?

— No bo widzi pan, człowiek niczego nigdy nie jest pewny.

— Czyż mało dałem pani dowodów, że ją kocham bardzo! Kocham panią tak, że w każdej chwili, gdy jej nie widzę, ogarnia mnie tęsknota. Wszak pani to na każdym kroku widzi.

Wypowiedziawszy to, objął ją ramieniem i przyciągnął do serca, poczem zaczął pokrywać jej twarz pocałunkami.

Osman zaś ujrzawszy takie czułości ze strony swego pana, aż zaskomlał i szczeknął parę razy, stawiając tem znak zapytania, czy wyczuwa w tem coś złego, czy zazdrości, przez bezwzględne umiłowanie swego pana.

Aż p. Naczyńska uśmiechnąwszy się wykrzyknęła:

— Osman! Czego szczekasz! Czyś taki zazdrosny?

— Poczciwy pies, już kilka lat dzieli ze mną dobrą i złą dolę i dlatego tak mocno przywiązał się do mnie — odpowiedział p. Wiktor, głaszcząc Osmana.

— No teraz chyba oprócz Osmana ma pan i kogo innego, kto jest pańskim przyjacielem — odpowiedziała

p. Marja, położywszy swą rączkę na głowie p. Wiktora i zaglądając mu zalotnie w oczy.

— Wiem, że ty kochana jesteś moim przyjacielem, lecz czuję, że nie odwzajemniasz mi się taką miłością, jaką ja pałam do ciebie!

— A czyż moje zapytanie nie dowodzi tego, jak wiele zależy mi na twej miłości.

— Tak, dowodzi, lecz nie przekonywa mnie, że twe uczucie zwiększyło się ponad normę zwykłej sympatji, jaką i dawniej okazywałaś mnie.

— O, nie, Wiktorze! Grubo się mylisz. Ty swą dobrocią i życzliwością przywiązałeś mnie bardzo do siebie. Nikogo tak nie lubiłam i nie lubię jak ciebie — odpowiedziała mu, kładąc swą piękną główkę na jego ramieniu, co znów wywołało pocałunki p. Wiktora i przykre skomlenie denerwującego się Osmana.

Potem nastąpiła jeszcze przechadzka po aromatycznym lesie i powrót przez pola i ugory do domu na wspólną herbatkę.

Od tego czasu węzeł przyjaznego stosunku między nimi silnie się zadzierzgnął.

Gdy byli we dwoje nazywali się po imieniu; zdawałoby się że wszystkie tajniki ich duszy zlały się ze sobą. Że nie mają przed sobą żadnych sekretów. Że tęsknią i pożądają się wspólnie. No, i że to będzie jedno z najszczęśliwszych stadeł małżeńskich. Bo przecież należało im się to bardzo. Karyńskiemu, jako nagroda za jego dobroć i szlachetność. Jako rekompensata za smutne rozczarowanie, jakiego doznał w pierwszej swej miłości. Jej zaś za wszystko, czem natura ją obdarzyła. Oczywiście trzeba

tylko umieć to szczęście, kiedy do nas trafi, utrzymać przy sobie. Jednakowoż dla uniknienia wszelkich komentarzy i plotek, narzeczeństwo swe trzymali narazie w sekrecie.

W biurze p. Wiktora napozór nic się nie zmieniło. Stosunek z p. Poplinem trwał jednakowy. Na wszelkie docinki lub półsłówka Poplina, Karyński nie zwracał uwagi. W sprawach zaś służbowych był zawsze korekt i wiedział, że Poplin, pomimo szukania w całem dziury, nic mu zarzucić nie może. Z kolegami, jak zwykle był bardzo grzecznie i dobrze. Dla młodszych urzędników był serdeczny i uczynny. I tak czas mijał z zawrotną szybkością. Nastała pora wakacyjna, którą p. Naczyńska tak chciała wyzyskać, żeby odpocząć i nabrać nowych sił do pracy pedagogicznej, która wymagała dużo cierpliwości i zużywała zasoby zdrowia. Bardzo trafnie też wybrała się do Druskienik, gdzie balsamiczne powietrze i spokój dodatnio wpływały na jej zdrowie. Urządziła się bardzo wygodnie w jednej z willi, tuż przy ujściu Rotniczanki do Niemna, w sąsiedztwie z „Ondyną", zajętą przez wojskowe sanatorjum, zamieszkiwane przez miłych i wesołych naszych oficerów z rodzinami. Ci, nietylko że swem sąsiedztwem nie ciążyli nikomu, lecz przeciwnie, swą uczynnością i werwą życiową pociągali innych i nadawali wesoły ton i ożywienie w tym spokojnym zakątku.

Piękne Druskieniki na pobrzeżu sławetnego Niemna, ze swym wspaniałym parkiem i fermą o iglastych drzewach, o doskonałym aromacie igliwia, pomieszanego z zapachem miodu i innego kwiecia, obficie tu rosnącego na obszernych polankach, świetnie oddziaływały na zmęczony organizm ludzki. Przytem dziarska muzyka wojskowa i

jakby dobre inteligentne i zrównoważone towarzystwo druskienickich kuracjuszy, doskonale usposobiły p. Naczyńską.

Zajęła się więc przedewszystkiem trochę kuracją: a więc kąpiele narazie solankowe, potem kaskadyczne przy ujściu Rotniczanki do Niemna, i picie wody mineralnej ze źródełka „Nasza" w parku nad samym Niemnem, około dawnej przystani kursujących statków parowych, wypełniły czas p. Naczyńskiej.

Ze względu na swą miłą powierzchowność i doskonałe obejście towarzyskie, jak i to, że w Druskienikach dużo spotkała znajomej inteligencji z dawnego rosyjskiego zaboru i rdzennych rosjan, którzy ratując swe życie potrafili uciec od „bolszewickiego raju", p. Naczyńska doskonale się czuła.

Oczywiście przestrzegała form światowych, i jak nakazywał jej rozum i kodeks towarzyski, udzielała się swym znajomym. Na częste listy p. Karyńskiego odpisywała mniejwięcej raz na tydzień. Stosownie do jego prośby opisała mu, jak się urządziła: że spotkała tu dużo znajomych i że dosyć wesoło czas spędza.

Karyńskiego zaś listy, pisywane co dwa, trzy dni, były coraz serdeczniejsze, więcej utęsknione, spragnione, mówiące dobitnie o tem, że miłość jego potęguje się dla niej przez tęsknotę. Z początku ten stan jego zadowalał p. Naczyńską bardzo, była kontenta, że potrafiła wzniecić uczucie miłości tak silne, człowieka napozór zimnego, który, jak miejscowa fama chodziła, wprost unikał damskiego towarzystwa. Lecz potem, gdy coraz większe zbierała

dowody uznania od innych, o wiele młodszych i z pozoru wykwintniejszych, listy miłosne p. Wiktora wydawały się jej jakby za bardzo natarczywe i zaczęły ją poniekąd drażnić. Przedewszystkiem nie wiedziała, w jakim tonie ma mu odpisywać, czuła to, że jako narzeczonemu, który ją prawdziwie i szczerze kocha, musi w swych listach okazywać choć odrobinę głębszego uczucia. I to ją najwięcej męczyło i denerwowało. Nad tym problemem nieraz krążyły jej myśli. — Dobry, miły i poczciwy, lecz już trochę za stary i przynudny. A jak daleki od tej elegancji, jaką posiadają młodzi, wykwintni ludzie. Czy naprawdę taki mąż, pomimo swych najszlachetniejszych zalet, może dać swej żonie szczęście? Zwłaszcza jeżeli ta żona jest jeszcze młoda, jak naprzykład ja, mająca zaledwie 35 lat. Wszak nie posiada żadnego majątku, pensja zaś jego na takiem skromnem stanowisku, również nie może dać rozkoszy życiowych! Więc co! Jakież on może dać szczęście swej żonie? Nic, prócz swej miłości. A czyż ta od młodszego i elegantszego nie byłaby stokroć milszą i przyjemniejszą?

Lecz po tem zwykle następowały refleksje w postaci konkretniejszych myśli, jak naprzykład: — A jednakowoż tu nikt nie okazał mi tyle serca i życzliwości, jak on. Ci inni, którym podobała się moja twarz, figura, obejście, częstowali mnie znikomemi komplementami. Pragnęli flirtu, romansu, zaspokojenia swych słabostek! On zaś tylko jeden, niezłomny mój przyjaciel, pragnie tylko mego szczęścia. I dlatego nie mogę wobec niego być tak suchą i zimną. Nie mogę z nim zrywać stosunków i muszę koniecznie okazywać mu więcej ciepła i przywiązania.

Odpisywała mu więc czule — będąc serdeczniejsza w listach niż w rzeczywistości.

Pewnego razu p. Karyński, korzystając z dwuch dni świąt i udzielonego mu na parę dni urlopu, przyjechał do Druskienik. Stanął tu w hotelu Warszawskim i oporządziwszy się po podróży, podążył do p. Marji, która stosownie do jego listu, spodziewała się jego przyjazdu. Przywitanie ich było bardzo serdeczne. P. Wiktor, oddawszy sprawunki, o których kupno prosiła p. Marja, jął opowiadać o wszelkich nowinach i zaszłych zmianach w mieście, które ją interesowały. Potem zaś, opowiadając osobiste sprawy, dodał:

— Wiesz Maniusiu, w zeszłym tygodniu musiałem przeleżeć kilka dni w łóżku, nie wychodząc wcale z domu.

— Pewno zaziębiłeś się Wiktorze? A, ty tak nie dbasz o swoje zdrowie — odpowiedziała mu serdecznem pytaniem.

— Właściwie złapała mnie grypka, zdaje się wieczorem przy pracy nad biurkiem, gdy byłem tak pochłonięty pilną robotą, że zapomniałem zamknąć w biurze okno. Wieczór zaś był zimny, ja zmęczony i spocony, no i oczywiście musiałem kilka dni przechorować.

— A czy wezwałeś lekarza?

— O tak, zaraz rano był u mnie doktór Siemaszko i codzień przychodził, dopóki gorączka nie minęła.

— No, to chwała Bogu, że przeszło, boć to jest natrętna choroba.

— Moja Maniu! Nietyle mnie zdenerwowała i osłabiła choroba, ile postępek p. Poplina.

— Ciekawa jestem, co on ci zrobił?

— Wyobraź sobie, skoro tylko posłałem zawiadomienie do biura o swej chorobie, Poplin przysłał mi komisję lekarską dla sprawdzenia, czy to prawda, że jestem chory.

— Jakżeż on śmiał coś podobnego zrobić — wykrzyknęła p. Naczyńska.

— Tłumaczył się potem prezesowi, który strasznie go zgromił za to, że ktoś mu dał znać, że ja pod pretekstem choroby, tu właśnie do ciebie pojechałem.

— Ach, jakiż to niedobry człowiek — znów wykrzyknęła p. Naczyńska.

— Cóż zrobić moja kochana! Może on w tem miał swoją rację, przynajmniej tak się usprawiedliwiał przed prezesem. Prezes zaś przeprosił mnie za niego.

— Słyszałam, że to jest bardzo uczciwy człowiek.

— Uczciwy, sprawiedliwy, i taktowny i tylko dlatego stosunki nasze są możliwe — dodał p. Wiktor.

Potem, po obiedzie spożytym w pensjonacie, w którym mieszkała p. Marja, poszli na spacer i do parku na popołudniowy koncert.

Piękna miejscowość, a szczególnie balsamiczne powietrze, zrobiło dodatnie wrażenie na p. Karyńskim, który postanowił i swój urlop tu spędzić, by w ten sposób podratować swe zdrowie, na które od pewnego czasu zapadał coraz częściej. Obecnie zaś, gdy układali program spędzenia tych pięciu dni, które przebyć miał w Druskienikach, p. Wiktor zaproponował p. Marji:

— Jeżeli będzie jutro pogoda, to możebyśmy zrobili wycieczkę gdzie w okolicę, które ponoć są piękne i ciekawe.

— Owszem moglibyśmy pojechać do sławetnego jeziora „Lot“, zaraz za miasteczkiem Rotnicą, w którem, jak słyszałam, na miejscowym cmentarzu spoczywają zwłoki poety polskiego i wielkiego przyjaciela Mickiewicza Czeczota.

— Ach tak, opowiadali mi w biurze o tem, i dlatego właśnie bardzo chciałbym odwiedzić ten grób. Wszak należy mu się ta cześć od ziomków.

— Za jeziorem „Lot“ jest niedaleko kordon na granicy z Litwą i tam też jeżdżą na wycieczki, gdyż ma to być miejscowość bardzo malownicza.

— Więc dobrze! Pojedziemy tam jutro. Właściciel hotelu Warszawskiego, proponował mi w razie potrzeby doskonałe auto.

— O z tem to nie ma tu kłopotu, gdyż w miasteczku na rynku jest pełno przyzwoitych aut do wynajęcia po bardzo przystępnej cenie — zauważyła p. Naczyńska.

Piękna pogoda i miły spacer w parku i na fermie, a potem doskonały podwieczorek na ozielenionej i okwieconej werandzie, wieczorem zaś skromny, lecz w miłem towarzystwie reunjon, na którem potańczyła trochę p. Marja, obojgu tak uprzyjemniły i umiliły czas, że w świetnych humorach powracali do domu.

Pan Wiktor, pod osłoną pięknej nocy, wśród zapachu zakwitłego jaśminu, pod willą zamieszkiwaną przez p. Marję ujął ją na pożegnanie delikatnie za szyję i przechyliwszy jej zgrabną główkę do swych ust, wycisnął długi i serdeczny pocałunek. Ona zaś jakoś dziś dziwnie poetycko usposobiona, nietylko nie odwróciła swych ust od niego, lecz oddała mu słodki całus. To tak usposobiło p.

Wiktora, że serdecznemi pocałunkami pokrył jej obie rączki i wyszeptawszy namiętne słowa:

— Śpij mój aniele jaknajlepiej — pełen zadowolenia i szczęścia, podążył do swego hotelu.

Nazajutrz, po wczesnym obiedzie, pojechali dosyć wygodnym Fordem najsampierw do Rotnicy, gdyż szofer powiedział, że tak będzie najwygodniej. Droga przez Druskieniki, wobec cudnej miejscowej flory, przedstawiała się malowniczo, lecz w miarę oddalania się od Druskienik, zjeżdżając z szosy na boczny gościniec, traciło się z oczów piękną okolicę a widziało się piachy. Na gościńcu piach sięgał do pół kół auta, tak, że trzeba było jechać żółwim krokiem. Na polach widniały wszędzie piaszczyste wydmy, aż przykro było patrzeć, więc też p. Marja odezwała się:

— Gdzież pan nas tu zawiózł w takie stepy?

Na co, śmiejąc się, odpowiedział sympatyczny szofer:

— Takiego piachu jak tu go nazywają „Dziadowskie błoto", mamy tylko trzy kilometry, a potem już zaraz miasteczko Rotnica, również niezabrukowane, lecz za nim wzgórek i już piękny sosnowy lasek, od którego niedaleko ujrzymy cudne jezioro Lot.

— A dlaczego pan mówi, że takie cudne? — zapytała p. Marja.

— Nasi goście, których tu często wożę, mówią, że ta miejscowość jest piękniejsza od Szwajcarji. Zresztą niedługo państwo sami zobaczą.

Przed oczami też naszych podróżnych zarysowała się marna mieścina, o parterowych drewnianych domkach, nierzadko nawet krytych słomą. Nieobrukowany miejsco-

wy rynek z kupami gnoju pośrodku, miejscami porośnięty chwastem. Na rynku spaceruje nierogacizna, wyszukująca swym ryjem smakowitych odpadków, wyrzucanych tu z żydowskich kramików, ozdobionych komicznemi szyldami. W tym czasie też żarzące tu słońce, jakby wszystkich wymiotło z tego osiedla. Cisza, spokój, jak makiem zasiał, tylko czasem dolatywało chrząkanie świnek. A kiedy p. Marja zapytała szofera:

— Panie, czy tu powymierali wszyscy ludzie?

Szofer odpowiedział:

— Zaraz, proszę pani! Ja ich tu obudzę.

I zatrąbił kilka razy na swej syrenie. Wówczas też ze wszystkich prawie sklepików i kramików powyskakiwały rozmaite typy: Tu jakieś brudne pacholę żydowskie z „bajgiełem“ w ręku ciekawie spozierało na przyjezdnych. Tu znów starozakonny z siwym zarostem, zdejmując swą płytką czapeczkę ukłonem wita przyjezdnych. Owdzie znów starsza matrona żydowska, zasłoniwszy się ręką od słońca, ciekawie ogląda przejeżdżające auto.

Za tem miasteczkiem, przedstawiającem jakby oazę na piaszczystym stepie, w niedalekiej dolince, już ozielenionej kępką srebrzystej brzeziny i rozłożystych klonów, na ładnej, porosłej kwieciem murawie, wyłania się nieduży murowany kościołek, frontem postawiony do drogi. Tuż za kościółkiem, na maleńkim wzgórku widnieje dosyć obszerny cmentarzyk, odgrodzony murowanym parkanem od cmentarza kościelnego. Z drugiej zaś strony kościoła w głębi ładnego ogrodu, z którego zapach dolatuje od aromatycznych, perłowego koloru lewkońji, czerwonych goździków i innego wonnego kwiecia, symetrycz-

nie usianego w równe klomby i rabaty. Za temi rabatami widać obszerny parterowy murowany domek, o dużej oszklonej werandzie, wewnątrz której zielenieje mnóstwo doniczek z rozmaitemi roślinami. Za domem zaś na wzgórku, rysują się równe zagoniki z rozkwitłą i pachnącą nacią kartoflaną, a za nią rozmaita zieleń i włoszczyzna, aż do wspaniałych szerokich liści dyni o dużych kielichach blado-seledynowego koloru kwiatach. Za tem wszystkiem zaś grupka drzewek owocowych, przykrywająca gospodarcze podwórze, z nieodstępnemi chlewami i obórkami. A wszystko to wyglądało tak pięknie i poetycznie, że w oczy przechodnia rzucał się miły obrazek jak z bajki.

Niedaleko od bramy kościelnej szofer przystanął i odezwał się:

— Na tym cmentarzu, proszę państwa, jest grób Czeczota. Tylko trzeba poprosić księdza, który tu właśnie w tym domu mieszka o klucz od cmentarza.

— A zna pan tego księdza? Czy to jakie dobre człeczysko? — zapytał go p. Karyński.

— Znam go, bo tu często jeżdżę. Jako ksiądz i administrator jest doskonały, gdyż wszystko trzyma w porządku i naród go lubi, ale ma jedną stronę ujemną — dodał szofer pocichu.

— Cóż takiego? — ciekawie zapytywał p. Karyński.

— Jest ogromnym litwomanem.

— No, to niema w tem nic złego, że kocha swój naród i swoją ojczyznę, aby tylko względem nas był lojalnym — odpowiedział p. Karyński.

I natychmiast wysiadłszy z auta poszli około zamknię-

tego kościoła, ku domkowi proboszcza. Tu spostrzegli w ogródku, nachylonego nad rabatką, płowego blondyna o pucołowatej twarzy w sutannie, przebierającego w ziemi coś rękoma. Pan Wiktor odezwał się więc, najsampierw pochwaliwszy Boga:

— Księże proboszczu! Czy moglibyśmy odwiedzić grób Czeczota?

Na te słowa zerwał się proboszcz i wypłukawszy swe ręce w obok stojącej beczce z wodą, wyjął z kieszeni dużą fularową chustkę i wytarłszy ręce, podszedł do nich ze słowami:

— Bardzo proszę pozwolić tutaj do ogrodu i spocząć na ławce, a ja zaraz służę państwu, tylko wezmę klucze.

Tu nasi goście spostrzegli poczciwą, dobrą twarz typowego księdza z zaścianka, mile do nich uśmiechniętego, więc też w imię formy towarzyskiej, p. Wiktor zdjąwszy kapelusz przedstawił się i p. Naczyńską. Potem zaznaczył, że będąc w tych stronach czują się w obowiązku złożyć hołd pamięci naszemu pisarzowi, a tembardziej jako kompanowi naszego nieśmiertelnego wieszcza.

Słowa te ksiądz wysłuchał z pochyloną głową, a po tem odpowiedział:

— Bardzo mi miło, że polskie społeczeństwo nie zapomina o zasłużonych pisarzach litewskich.

— Polskie społeczeństwo nigdy nie zapomina o ludziach zasłużonych, a tembardziej o tych, którzy choć się wywodzili z litwinów, lecz czuli się Polakami, jako rdzennie złączeni z tym narodem ,i pracowali tylko dla Polski — zaznaczył bardzo delikatnie lecz z naciskiem p. Wiktor.

— Tak, gdyż wówczas byliśmy u Moskala w niewoli — odpowiedział ksiądz.

— Więc dlategośmy się kochali, a teraz jak mamy wolną ojczyznę, to mamy się drzeć jak wrogowie? — zapytał p. Wiktor.

— Nie! Tylko żadne z nas nie powinno grać roli zaborcy — dodał ksiądz.

— My tej roli nie gramy, a mamy ich za swych braci, i kochamy jak swych najbliższych. Nieporozumienia zaś, jakie między nami zakradły się przez intrygi naszych wrogów, czekają tylko dziejowych wstrząsów. A gdy te kiedy nadejdą, napewno podamy sobie bratnie dłonie i zapanuje nad nami wieczna zgoda — upewniał p. Karyński.

— Daj to Boże! — odpowiedział ksiądz, opuszczając głowę ku ziemi i poszedł ku domowi po klucze.

Potem wszyscy troje poszli na cmentarz, na którym, w miłym zakątku, obok parkanu, znajduje się skromny lecz czyściutki, pięknie utrzymany i obrzucony kwiatami grobowiec Czeczota, na którym widnieje wyryty napis:

Przyjaciel Adama,
„Jeden z Trzech“ — Jan Czeczot,
„Młodość poświęcił dla nauki i cnoty
Wiek męski przetrwał mężnie w próbach i cierpieniu
Miłość Boga i bliźnich — treść jego istoty,
Cały ciąg życia Jego — droga ku zbawieniu,
Imię Jego w ojczyźnie jest wiecznie związanem
Z Adamem Mickiewiczem i Tomaszem Zanem,

Kto wiesz, czem oni byli — schyl skroń przed
tym głazem,
Pomyśl, westchnij i módl się za wszystkich
trzech razem."

Jan Czeczot zmarł w Druskienikach 11 sierpnia 1846 roku i pochowany w Rotnicy.

Na nim też ułożyli przywiezioną z sobą wiązankę kwiatów.

Kilkanaście minut, spędzonych na modlitwie i rozmyślaniach przy prochach poety upłynęło, nim wyszli z cmentarza, potem ksiądz sprezentował im miłe wnętrze kościołka, a potem obfity zbiór kwiatów i doniczek, niepoślednich roślin i poczęstowawszy spragnionych gości znakomitym, zimnym, musującym kwasem z chleba razowego, swego przygotowania, pożegnał ich serdecznie i odprowadził do auta.

Po drodze ku jezioru Lot p. Wiktor rozmyślał nad tym księdzem. — Bo cóż właściwie winien ten człowiek, kochający tak serdecznie swą ojczyznę, iż nie może zrozumieć, że jego maleńka ojczyzna, będąca rodzoną siostrą naszej, tylko wtedy mogłaby się czuć spokojną i bezpieczną, gdyby się połączyła z powrotem z nami.

Wspaniałe jezioro Lot o morskiej prawie głębokości i cudnym zielono-lazurowym kolorze wody, obramowane po wysokich brzegach wspaniałemi, liściastemi drzewami, stanowiące piękny w swej dziewiczej dzikości widok, zrobiło na nich miłe wrażenie. Po kilkunastu minutach oglą-

dania go, pojechali dalej zwiedzić kordon pograniczny. I tu roztoczył się przed nimi cudny widok: piękna roślinność, charakterystyczny szlaban pograniczny i na wzgórku ładny murowany domek wartowniczy. Przy tem poznali bardzo grzeczną służbę K. O. P. z oficerem na czele, który serdecznie ich przyjął, prezentując im ładną świetlicę i wygodne pomieszczenie żołnierzy, dla rozrywki których urządzono radjo i niezgorszą bibljotekę. Więc też mile spędziwszy całe popołudnie, w pełnem zadowoleniu wrócili do Druskienik, w których po spożyciu z wielkim apetytem kolacji, podążyli jeszcze do miejscowego kina, aby użyć tu wszelkich przyjemności i rozrywek.

VII

ZAOSTRZONE STOSUNKI W BIURZE

Po przyjeździe z Druskienik w domu przywitał p. Wiktora z ogromnym piskiem i szczekaniem utęskniony Osman. Tak głośno i dobitnie okazywał swą radość, że trudno było go uspokoić. Uspokoił się dopiero, gdy p. Wiktor rozebrał się w przedpokoju i usiadłszy w saloniku wygłaskał swego pupila, który jak zwykle oparłszy łapy na ramionach pana, musiał go koniecznie po twarzy liznąć. Potem rozłożył się u nóg pana, nie spuszczając z niego swych mądrych, szafirowych oczu. P. Wiktor zaś musiał do niego tak przemówić, żeby zrozumiał, że do niego tęsknił bardzo i że już nigdzie nie pojedzie, i że jak wróci z biura, to pójdą razem na spacer.

Słowo spacer robiło wprost magiczne wrażenie. Osman natychmiast się zrywał i podchodząc do drzwi, radośnie szczekał, wymachując ogonem, gdyż myślał, że już idą z panem na przechadzkę, co tak strasznie lubiał.

Tymczasem weszła Agatka, raportując panu, że w czasie jego nieobecności nie mogła uspokoić Osmana, który ciągle piszczał i stękał jakby ludzkim głosem. Następnie, że cały czas prawie wyglądał przez okno, wspierając się na przednich łapach, lub też ułożywszy się w przedpokoju, odwrócony mordą do drzwi, ani spuszczał swych

ślepi z klamki. Że wprost nie chciał jeść i że nie mogła go uspokoić. Potem opowiedziała o dwukrotnych odwiedzinach p. Czeskiego, który jak widać miał pilny interes.

Ze względu na późną już godzinę p. Wiktor polecił Agacie podać sobie szklankę herbaty i ułożył się do snu, postanawiając nazajutrz samemu wstąpić do p. Czeskiego.

W biurze, w którem obecnie zastępował naczelnika oddziału, w czasie urlopu Poplina dowiedział się od kolegów, że chodzą wersje, jakoby mieli przetranslokować prezesa na jakieś wyższe stanowisko. Wszyscy pracownicy mieli skwaszone miny, gdyż prezes swą bezwzględną sprawiedliwością i wielkim taktem zjednał sobie ogólny szacunek i życzliwość. Każdy więc z podwładnych żałował szlachetnego człowieka i zacnego zwierzchnika, nie będąc pewnym, czy nie trafi na typ jakiego karjerowicza lub zwyrodniałego sadystę, jacy w nowobudujących się lub wskrzeszonych państwach łatwo mogą się przemycić. Nic więc też dziwnego, że wszyscy byli bardzo skonsternowani. A że takie uczucia zwykle udzielają się każdemu, więc też i cały urząd był w jakimś smutku pogrążony.

Jednego z kolegów, który właśnie wszedł z papierami, zapytał p. Wiktor:

— A skąd macie takie wiadomości?

— Szczotkowskiemu mówił prezes, że otrzymał papier od dyrektora departamentu w formie listu prywatnego, w którym proponują mu przeniesienie go do Warszawy — odpowiedział.

— No, to jeszcze nie jest translokacja, bo może się prezes zgodzić i nie zgodzić — zauważył p. Karyński.

— Ach! To jest wykluczone, bo najsampierw jest to

awans, następnie do stolicy każdy chętnie się garnie. No i najważniejsze, że takiej propozycji prezesowi nie wolno nie przyjąć. List ten bowiem napisany jest tylko przez kurtuazję.

— A no, zobaczymy. Jak pójdę z papierami do prezesa, to może mi coś powie?

— Zapewne, że przed kolegą, którego bardzo poważa, nie będzie trzymał tego w sekrecie.

Punktualnie o 11-ej, jak to było w zwyczaju w tym urzędzie, p. Karyński z całą pliką akt i rozmaitych referatów, gdyż zastępując naczelnika wydziału administracyjnego, jednocześnie spełniał i swój właściwy urząd, wszedł do gabinetu prezesa. Prezes, bardzo miłej powierzchowności, siwy, wygolony pan, w ciemnem marynarkowem ubraniu, siedział w swym schludnym gabinecie, za ogromnem biurkiem, zawalonem papierami, pochłonięty pracą. Wchodzącego i kłaniającego się p. Wiktora, powitał miłym uśmiechem, ze słowami:

— Jak się mamy, panie Karyński! Jak tam pan spędził czas w Druskienikach?

P. Wiktor opowiedział o swych wrażeniach z podróży. Przedstawił, jak wyglądają Druskieniki, i jakie na nim zrobiła miłe wrażenie wycieczka do Rotnicy i jeziora Lot.

Prezes słuchał z wielkiem zajęciem, a potem odezwał się:

— Wstyd mi naprawdę, że będąc tu już trzy lata, nie wybrałem się nigdy w tamte strony, choć stąd tak blisko, gdyż ponoć tylko trzy godziny podróży.

— Tak, wyjechałem stąd o 12-ej a o 15-ej byłem

już na stacji Druskieniki, skąd jeszcze 30 minut samochodem przyjemnej jazdy po wygodnej szosie. Teraz panie prezesie najodpowiedniejsza pora tam pojechać — dodał p. Wiktor.

— A kiedyż ja mam czas, mój panie kochany? Ciągle pełno interesów i zajęcia służbowego. Tylko jeden urlop, co mam spokojny. Ten to już zwykle spędzam w kółku rodzinnem na wsi, by odpocząć trochę i nabrać nowych sił do pracy. A teraz — słyszał pan zapewne, że mają mnie zabrać do Warszawy? Więc nowy kłopot, nowa praca i przeprowadzka i tak dalej — tłumaczył mu prezes, spoglądając nań życzliwie swym miłym wzrokiem.

— Właśnie słyszałem o tem i wiadomość ta nas wszystkich bardzo zmartwiła.

— I czegóż się martwicie, wszak z drugim będziecie tak samo pracować, jak i ze mną.

— Myśmy się do pana przyzwyczaili, poznaliśmy jego szlachetność i sprawiedliwość, i dlatego ta praca nie jest nam uciążliwa — dowodził p. Karyński.

— Mam wrażenie, że i następca mój potrafi was sobie zjednać, tembardziej że ja mu dam odpowiednią opinję o was.

— Dziękujemy panu prezesowi bardzo, lecz w mem pojęciu nikt nam pana nie zastąpi.

— W każdym bądź razie, gdyby się tu coś psuło i panu działa się tu jaka krzywda, to pan ma zawsze do mnie drzwi otwarte — odpowiedział prezes, podając serdecznie rękę, jakby na potwierdzenie swej życzliwości.

— Bardzo dziękuję panu prezesowi. Naprawdę nigdy nie zapomnę tych paru lat miłej służby z panem pre-

zesem. Albowiem chociaż nieraz mozolnie trzeba było pracować, praca ta pod pańskiem kierownictwem, nietylko że nikomu nie ciążyła, lecz przeciwnie, każdego zadowalniała — wypowiedział p. Karyński z głębokim ukłonem. Potem kiedy znalazł się w swym gabinecie, zaczął rozmyślać, jak to się wszystko w biurze ułoży? Przedewszystkiem Poplin, którego zwykle powstrzymywał prezes, da ujście swym marnym skłonnościom. Najuczciwszym i najpracowitszym ludziom, którzy mu nie schlebiają, będzie dokuczał i przy pierwszej sposobności zemści się strasznie. Najgorsze zaś kanalje i wyrzutki społeczeństwa, którzy mu zwykle bakę świecą, będzie wyróżniał i protegował. Gdyż jest to zwykła kolej rzeczy, że zły złymi się otacza. Ciekawe więc tylko jest, czy nowy prezes potrafi się poznać na nim? I czy zechce utrzymać go na wodzy? Gdyż ten człowiek i jako zastępca prezesa w jego nieobecności, może być bardzo szkodliwy.

Tak przemyśliwał p. Wiktor, oparłszy się łokciami o biurko i utkwiwszy wzrok w jeden punkt. Tak był zamyślony, że nawet nie usłyszał, jak wszedł doń jeden z kolegów, który spostrzegłszy jego zadumę, odezwał się:

— O czem tak myślicie, kolego?

— O odejściu prezesa — odpowiedział, witając się z nim.

— Więc to prawda?

— Tak, przed chwilą z nim o tem rozmawiałem — potwierdził p. Karyński.

— O to zapanują tu u nas zupełnie inne stosunki, tak że trudno będzie wytrzymać.

— Napewno nie będą tak idealne, jak obecnie, lecz

kto będzie swoje robił, nie wchodząc w krąg żadnych intryg, nie ma się czego obawiać.

— Ależ, kolego! Wszak wiecie, że Poplin jest zastępcą prezesa, więc gdy będzie go zastępować, zechce się mścić na swych antagonistach. A jest to marny człowiek i nie będzie przebierał w środkach — dowodził kolega p. Wiktora.

— Mój kolego! Na takich ludzi to jest jedyny sposób: robić swoje, nie zwracać na nich uwagi i nic od nich nie żądać.

— Dobrze wam tak mówić, panie Wiktorze, bo znacie świetnie swą służbę i w razie czego napewno możecie liczyć na obecnego prezesa.

— Moi kochani! Prezes powiedział, że o nikim z nas nie zapomni. Lecz powiedzcie mi, czy według waszego zdania, jest dziś coś pewnego na świecie? — zapytywał p. Wiktor, wpatrując się w kolegę.

— Tak, oczywiście, człowiek nigdy na nic liczyć nie może.

— A cóż nam wojna światowa pokazała! Czyż nie obróciła w niwecz największych bogactw i majątków. A iluż największych potentatów finansowych w nędzy zczezło. Ilu dygnitarzy i rozmaitych dawnych magnatów żyje w biedzie? Bo czyż nie mogą zajść takie wypadki, że ktoś, na kogośmy napewno liczyli, nic już nam pomóc nie może? Więc też i na nikogo, prócz swych rąk i Boga Najwyższego, liczyć nie można.

— Więc co mamy robić?

— Uczciwie pracować dla swego państwa, a resztę polecić Bogu.

Po obiedzie przyszedł do p. Wiktora p. Czeski, a przywitawszy się z nim i ugłaskawszy Osmana, którego bardzo lubił, odezwał się:

— Wie pan, otrzymałem dziwny list z Ameryki od stryja i przyszedłem do pana o poradę.

— A więc ma pan tam stryja. A nic o tem nie wiedziałem?

— Stryj mój przed trzydziestu laty wyjechał do Ameryki, tam się osiedlił i dorobił się pokaźnej fortuny. Obecnie mieszka w Kurytybie, jest samotny i pisze mi, że pragnąłby bardzo, żebym do niego przyjechał i pomógł mu w administracji, do której musiał wprzęgnąć obcych ludzi. A ja tu, jak stryj pisze, za marne grosze pracuję. No i oczywiście zastanawiam się nad tem, jak mam postąpić? Proszę więc pana o radę.

— A czy utrzymywaliście stosunki rodzinne z tym stryjem?

— Dawniej, jak ojciec żył, to korespondowali ze sobą. Po śmierci zaś ojca, ja tylko jeden raz napisałem do stryja, zawiadamiając go o tem. To będzie już około czterech lat.

— A skąd on o pańskim adresie się dowiedział?

— Pisze mi właśnie, że zasięgał o mnie wiadomości od dawnych naszych sąsiadów.

— No wie pan, trudna tu jest rada, bo boję się czy ona wyjdzie panu na dobre, lecz jeżeli on tam nie ma żadnej rodziny, a ma duży majątek, będący warsztatem uczciwej pracy, to dlaczegóż by pan nie miał zająć tej pozycji? Wówczas miałby pan lepsze perspektywy na przyszłość,

niż w służbie urzędniczej. Tembardziej, że jest pan młodym i tam za oceanem ma szersze pole do pracy.

— I ja tak myślałem, pragnąłem tylko usłyszeć pańskie zdanie. Więc też zaraz wysyłam odpowiedź i szykuję się do drogi.

— Żal mi będzie bardzo pana, bom się do niego przyzwyczaił, a tu z nikim bliżej nie żyję — odpowiedział p. Wiktor, obrzucając go serdecznym wzrokiem.

— O i mnie będzie bardzo trudno rozstać się z panem, gdyż naprawdę za tyle dobrego, co mi pan zrobił, przywiązałem się do niego, jak do rodzonego ojca i nigdy go nie zapomnę — zaręczał p. Czeski.

Potem, gdy poszli wraz z Osmanem na przechadzkę, wszczęli rozmowę o przyszłej pracy p. Czeskiego. P. Karyński radził mu, szczerze zająć się interesami stryja, tembardziej, że ten, jak dowiedział się, posiada w Kurytybie ogromny młyn parowy, którego obroty sięgają miljonów dolarów rocznie. Że taki obszerny interes potrzebuje nadzoru uczciwych ludzi, których obecnie tak mało mamy. I że widocznie dlatego wzywa go stryj do siebie. I tak snuli perspektywę życia młodego człowieka, którego fortuna ciągnęła do Nowego Świata.

Powróciwszy do domu, p. Wiktor przejęty wyjazdem p. Czeskiego, odezwał się do Osmana:

— I cóż, piesku, znów nas opuszcza przyjaciel. Szkoda go! Zostaniemy narazie sami, a potem przyjdzie p. Marja, to będziemy we trójkę spacerować!

Osman wysłuchał tej przemowy spokojnie i potem, jakby zrozumiawszy, szczeknął parę razy, ułożył się na środku pokoju i snuł swe dziwne psie myśli.

I tak p. Karyńskiemu czas biegł jednakowym trybem: biuro, spacer, i od czasu do czasu list od p. Marji. Czasem kino lub teatr. Tak też nadszedł sierpień, w którym wróciła p. Marja i z urlopu powrócił Poplin. Nastał też i dzień pożegnania prezesa, któremu wyprawiono bankiet, urozmaicony kwiatami, muzyką i serdecznemi przemówieniami.

Karyński, od pewnego czasu zaczął zapadać na zdrowiu, i szykował się, według planu, w sierpniu na urlop, który chciał spędzić w Druskienikach, dla przeprowadzenia tam kuracji. Nazajutrz też po pożegnaniu prezesa, gdy poszedł z papierami do p. Poplina, który pełnił obowiązki prezesa aż do przybycia nowego, odezwał się:

— Panie naczelniku! Prosiłbym bardzo o dyspozycję, komu mam zdać swój referat, gdyż chciałbym skorzystać z urlopu?

— Cooo takiego? — wykrzyknął Poplin, surowo mierząc go swym wzrokiem.

— Według planu, podpisanego przez pana prezesa, mam korzystać z urlopu od 1 sierpnia — odpowiedział spokojnie p. Karyński.

— Tamten plan nie obowiązuje teraz nikogo, gdyż ja obecnie tu zarządzam — odparł wyniośle Poplin.

— Dlatego też zwracam się do pana z prośbą, chcąc mu jeszcze zaznaczyć, że urlopu tego chcę użyć na kurację w Druskienikach.

— Cóż mnie to może obchodzić, jak pan będzie ten urlop spędzać. Puszczę pana wtenczas, gdy będę uważał za właściwe — i wyrwawszy z rąk p. Karyńskiego pa-

piery, ułożył je na swem biurku, wertując dalej Dziennik rozporządzeń.

P. Karyński, nie dając po sobie poznać, jak go to zirytowało, powrócił do swego gabinetu i jął się swej pracy.

Zrozumiał doskonale, że do przybycia nowego prezesa, pracę swą będzie musiał wykonywać w ciągłem naprężeniu i w bardzo ciężkich stosunkach, lecz uzbroił się w cierpliwość i postanowił wytrwać godnie na posterunku.

Pewnego dnia odwiedził go znów p. Czeski, lecz teraz już przyszedł pożegnać p. Wiktora, gdyż nazajutrz popołudniu wyjeżdżał prosto do Ameryki.

Długo też rozmawiali z sobą, omawiając swą przyszłość, aż p. Wiktor odezwał się:

— Panie Franciszku! Nie mówię o tem nikomu, lecz mając pana za bliskiego mi człowieka, tembardziej, że pan wyjeżdża, chcę panu jedną rzecz zakomunikować.

— Słucham pana.

— Mam zamiar ożenić się z panią Naczyńską.

— Spodziewałem się tego.

— Dlaczego?

— Obserwując osobiście państwa, wyczułem pański afekt do pani Naczyńskiej.

— No, a jak pan określi jej stosunek do mnie? — zapytywał z ciekawością p. Wiktor.

— Bardzo życzliwy.

— Więc jak pan myśli, czy będę z nią szczęśliwy?

— Bóg raczy wiedzieć, gdyż kobiety są tak zagad-

kowe, jak Sfinks. Wiem tylko tyle, że panu należy się towarzyszka życia dobra i życzliwa.

Na ten temat długo jeszcze prowadzili rozmowę, potem rozstali się z tem, że p. Wiktor nazajutrz pożegna go jeszcze na dworcu kolejowym.

Na odejście też pociągu, którym odjeżdżał p. Czeski, poszli wszyscy troje: a więc p. Naczyńska i Karyński z Osmanem, który idąc na smyczy przy swym panu ciągle mu zaglądał w oczy, jakby zapytując po co na ten dworzec idą, kiedy za miastem w obszernem polu przyjemniejszy jest spacer.

Kiedy p. Czeski z pomocą numerowego ulokował swe walizeczki w wagonie 3-ej klasy i podszedł do p. Karyńskiego, by jeszcze raz na pożegnanie uścisnąć mu rękę, na oczach jego zawisły dwie rzęsiste łzy z żalu, że porzuca tak życzliwego mu i szlachetnego człowieka.

— Nigdy! Nigdy, nie zapomnę pańskiej życzliwości i dobroci dla mnie — powiedział, nie mogąc więcej mówić, gdyż jakiś żal ściskał mu gardło.

— Niechże Bóg pana prowadzi i dalej się nim opiekuje. A proszę napisać mi o wszystkiem — odpowiedział p. Wiktor, całując go w twarz.

Pani Naczyńska również bardzo serdecznie go pożegnała. Najciekawsze zaś pożegnanie odbyło się z Osmanem, który dopiero na dworcu, koło wagonu zorjentował się, że ktoś odjeżdża. Wówczas też zaczął bacznie spoglądać na swoje towarzystwo, jakby bojąc się żeby mu kogoś z niego nie ubyło. A gdy p. Czeski począł się żegnać nie spuszczał z niego swych ócz. Naostatku zaś, kiedy Czeski poszedł do niego by go na pożegnanie ugłaskać,

zawył żałośnie, jakby płacząc z żalu, że traci serdecznego przyjaciela, z którym odbywał częste wędrówki po polach i łąkach.

Długo jeszcze po odejściu pociągu stali na peronie p. Wiktor z p. Naczyńską wymachując chusteczkami na pożegnanie p. Czeskiemu ,który wyglądał oknem z wagonu. Osman również zasmucony wytężał swój wzrok za wolno odchodzącym pociągiem.

Wracając do domu p. Wiktor odezwał się:

— Żałuję go bardzo, jest to dobry chłopak i przyzwyczaiłem się do niego. Ale jestem bardzo kontent, że zabłysła mu ta fortuna, gdyż tam czeka go lepsza przyszłość. Tu bowiem czekało go tylko szare i ciężkie życie, gdyż miałby wielu konkurentów z pośród kolegów z akademickiem wykształceniem, których mamy coraz większą ilość. Za parę lat może być nawet nad zbyt, więc w takich warunkach maturzyści nie mają wielkiej przyszłości przed sobą. Tam zaś w Ameryce stryj wprzęgnie go do intensywnej pracy handlowej, czy finansowej.

— Mam wrażenie, że kiedyś i fortunę po tym stryju odziedziczy — dodała p. Marja.

— Napewno, gdyż ten niema nikogo bliższego z krewnych. Lecz ja na to nie liczę, a przewiduję, że Czeski ze swą zdolnością i swym charakterem może tam dojść do wysokiego stanowiska, czego by tu nie dokonał.

— A powiedz mi, Wiktorze, z jakich właściwie korzystają obecnie praw urzędnicy z wyższem wykształceniem, a z jakich ze średniem?

— Z wyższem ze wszystkich prerogatyw bez żadnego ograniczenia. Ze średniem zaś mają bardzo ograniczoną

przyszłość, gdyż mogą awansować tylko do pewnego określonego stopnia.

— Choćby taki urzędnik posiadał najwybitniejsze zdolności? — zapytywała ciekawie p. Marja.

— Choćby był najzdolniejszym, to nie przesunie się przez martwe i nieubłagane prawo.

— Więc cóż z takim zrobią, wszak go chyba nie wydalą?

— Nie, może pracować najintensywniej, lecz tylko na etacie odpowiednim jego wykształceniu. Szefem zaś tego resortu będzie koniecznie akademik.

— No, mój kochany, a jak to było w rosyjskim rządzie?

— W rosyjskim rządzie zupełnie inaczej się ta sprawa przedstawiała. Po pierwsze uczelnie nie były tak uprzystępnione dla ogółu, jak u nas i było brak wykształconych ludzi. Powtóre zaś Polacy uchodzili w Rosji za najzdolniejszy element. I ci też nieraz ze średniem a nawet cztero-klasowem wykształceniem dochodzili do wysokich stanowisk.

— Ale akademicy również przed nimi mieli pierwszeństwo — dodała p. Marja.

— Przeważnie, lecz nie zawsze. Naprzykład pamiętam taki wypadek za swych czasów w Saratowie. Na wakujące stanowisko urzędnika VIII klasy kandydowali dwaj młodzi urzędnicy: jeden z uniwersyteckiem wykształceniem, drugi zaś z gimnazjalnem. I ten ostatni właśnie, jako wybitnie zdolny został przez naczelnika wydziału zaawansowany. A kiedy wdał się w to prezes, do którego wpłynęła skarga od pokrzywdzonego, naczel-

nik wydziału określając służbowe zdolności zaawansowanego, wyraził się o tym drugim tak: „A eto wied' abrazowannyj durak z kotorago nikogda tołku nie budiet"*) Oczywiście w wielu wypadkach awansowali nawet urzędnicy z niższem wykształceniem, gdyż nie było innych kandydatów.

— Ale tu w Polsce obecnie chyba nie zabraknie ludzi z wyższym cenzusem naukowym — zapytywała p. Naczyńska.

— Napewno i z tego powinniśmy się cieszyć, gdyż nikt nam już nie zarzuci, że jesteśmy krainą niedouków.

— Tak, to jest wielki plus, ale dlaczego się dzieje krzywda tym wybitnie zdolnym, którzy nieraz korzystnie dla państwa pracują, a że nie mają dyplomu więc są upośledzeni. Bo cóż naprawdę zdolny i uczciwy obywatel jest winien, jeżeli nie mógł osiągnąć wyższego wykształcenia? Boć takie klasyfikowanie społeczeństwa na nadludzi, ludzi, i podludzi wprowadza tylko ferment i sieje niezadowolenie, — zauważyła p. Naczyńska.

— Ja uważam, że jest to zjawisko przemijające; rząd ureguluje te przepisy w trybie zupełnie sprawiedliwym. Tymczasem zaś ci, którzy się czują pokrzywdzeni, niech ofiarują to swej kochanej ojczyźnie, w której często zdarzają się omyłki — zawyrokował p. Karyński, który zawsze na wszystko patrzył przez różowe okulary.

Pan Wiktor był bardzo wrażliwy i takie przykre przejścia, jak: pożegnanie z prezesem i wyjazd Czeskiego, przy maleńkiem zaziębieniu, tak odbiły się na jego zdrowiu, że

---

*) wykształcony dureń z którego żadnego pożytku nie będzie

znów parę dni musiał pozostać w łóżku i nie mógł pójść do biura. Wezwany zaś doktór Siemaszko po zbadaniu go, kategorycznie zalecił natychmiastową kurację w Druskienikach i w takim duchu napisał mu świadectwo.

Poplin zaś, gdy otrzymał to pismo, nie zwracając uwagi na stan zdrowia Karyńskiego, a powodowany jakąś dziką zemstą, że nie może wywierać żadnej presji, w przystępstwie pasji zawezwał sekretarza i dał mu polecenie, by Karyński natychmiast zjawił się u niego, jak przyjdzie do biura.

Niedługo czekał na niego, gdyż piątego dnia, pan Wiktor poczuwszy się cokolwiek lepiej pojawił się u niego w gabinecie.

Poplin, jakby chcąc dać ujście swym nerwom i popisać się swym marnym charakterem, przyjął Karyńskiego z iście moskiewskim gestem. Przedewszystkiem, gdy ujrzał wchodzącego, sam wstał z fotela, wyciągnął się jak żóraw i włożywszy swe owłosione łapy w kieszenie spodni, uniósł brwi do góry i patrząc na Karyńskiego, wykrzyknął:

— Co pan sobie myśli ze mnie kpinki robić, czy co?

Karyński zaś ujrzawszy tego moskiewskiego dygnitarza w naszym polskim urzędzie, pomimo swego zdenerwowania zachował zimną krew i odpowiedział mu z godnością i taktem:

— Nie rozumiem pana, panie naczelniku?

— Ach tak, pan nie rozumie? Ale ja dobrze rozumiem dlaczego pan choruje. Dlatego, że nie pozwoliłem panu z urlopu korzystać.

— Nie proszę pana, dlatego choruję że Pan Bóg mi zesłał chorobę. Wszak nie jest to z mej winy.

— A jednakowoż pan mógł dziś przyjść do biura?

— Gdyż uczułem trochę ulgi i sądziłem, że będę mógł pracować. Po obecnej konferencji z panem czuję, że znów nie będę miał siły i że będę musiał powrócić do domu.

— No kiedy tak pan mówi, to proszę zdać referat panu Lewandowskiemu. Od dzisiejszego dnia panu się urlop liczy.

— Słucham pana naczelnika. Lecz skoro dzisiaj mam zdawać referat, co potrwa najmniej cztery godziny, to chyba z urlopu korzystać mogę dopiero od jutra.

— To według pańskiego obliczenia! Według zaś mojego to od dzisiaj, skoro pan swe urzędowanie przekazuje innej osobie.

Na tem rozmowę przerwano i p. Karyński zrozumiał, że między nimi stosunki się zaostrzyły na dobre.

VIII

PRZY NOWYM PREZESIE

Pan Wiktor cały sierpień przepędził w Druskienikach na kuracji. Czas spędzał przeważnie samotnie. Kąpiele, spacery, o ile pogoda dopisywała i lektura, którą bardzo lubił (a niezawsze mu pozwalał na nią czas), wypełniały mu cały dzień. Wieczorem czasem kino, lub jakieś przygodne przedstawienie, dane przez podróżujących aktorów. Regularnie też co drugi dzień pisał do p. Naczyńskiej, jeżeli nie list obszerny, to chociaż widokówkę. W każdem słowie tej korespondecji, zaznaczał swą głęboką miłość dla niej i tęsknotę.

Kuracja, odpoczynek i spokój, jakie tu osiągnął, dużo przyczyniły się do poprawy jego zdrowia. A kiedy poszedł z ostatnią wizytą do Dra Talchejma, u którego się leczył w Druskienikach, ten po zbadaniu oświadczył:

— Pan ma nadzwyczaj wrażliwy organizm, więc powinien pan wystrzegać się wszelkich wstrząsów i irytacji. Te bowiem powodują poważniejsze choroby i cierpienia. Obecnie pan się znacznie uspokoił i przez to wzmocniło się serce. Trzeba więc starać się je w takim stanie utrzymać, a będzie pan zupełnie zdrów.

A gdy pakował już swą walizkę do powrotu, to sobie myślał:

— Poczciwy lekarz, w zupełności spełnił swe zadanie, lecz czyż on może komu zapewnić spokój i unikanie rozmaitych wstrząsów i irytacji? Każdy prawie ma swoje przykrości. Każdy ma swą drogę krzyżową. A cóż dopiero taki człowiek, który w zupełności uzależniony jest od kaprysów swego zwierzchnika. W dodatku jeżeli ten zwierzchnik niema odrobiny serca, taktu i uczciwości. Czyż najzdolniejszy i najuczciwszy urzędnik, mając takiego naczelnika, z którym większą część dnia musi pracować i stykać się, może zapewnić spokój swym nerwom i nazwać się szczęśliwym? W takich okolicznościach nie pomoże żadne ustępstwo, żadna cierpliwość. Nastawienie bowiem takiego pana, ciągle tylko szuka albo pokornych owieczek, które nigdy nie zareagują na jego znęcanie się, lub też ustawicznie stacza walki z tymi, którzy godnie pracując nie folgują sadystycznym jego wybrykom. Z takimi zwykle nie przebiera w środkach.

Za takiego osobnika wszyscy w biurze mieli Poplina. Duża część urzędników, chcąc uchronić się od jego napaści i prześladowań, ustępowała mu, inni lawirowali jak mogli, byle tylko utrzymać z nim stosunek możliwy. W tym wypadku często też padali ofiarą ludzie prawego charakteru, którzy mieli cywilną odwagę wypowiadać się za prawdą. Przeciwko takim bowiem intrygowali poplecznicy Poplina, by tylko dogodzić próżności swego zwierzchnika. W głębi zaś swego serca rozgrzeszali się sami z tej podłości, gdyż obarczeni rodziną, chcieli się utrzymać na powierzchni. A niejeden nawet myślał o awansie, jaki mógł osiągnąć po wydaleniu pokrzywdzonego.

Pan Karyński więc doskonale przewidywał, że stosunek

jego z Poplinem będzie bardzo ciężki. Liczył tylko na to, że nowy prezes, jako główny zwierzchnik, poznawszy charakter Poplina, będzie regulował wszelkie drażliwe kwestje. Będąc zaś ufny w swoją obowiązkowość i znajomość spraw służbowych sądził, że jakoś będzie dawał sobie rady.

Kiedy poszedł do biura po powrocie z urlopu, spostrzegł tam ogromne zmiany. Najsampierw na samym wstępie stary wiarus, woźny Padelski, ujrzawszy go, rzekł z serdecznym ukłonem:

— Oj panie, panie, co się tu u nas dzieje! — a podszedłszy bliżej i pomagając mu zdjąć palto, szepnął. — Wszystko panie do góry nogami, żebym tak zdrów był!

— A czy jest już nowy prezes?

— Urzęduje już od dwóch tygodni.

— No i jak się tam czujecie? — zapytywał dalej Karyński, znając jego uczciwość i serdeczność .

— Kiepsko, proszę pana. Tu wszystkim rządzi teraz pan Poplin. Wszystko poszło inną drogą, a pan prezes do niczego prawie się nie wtrąca.

— W jakim wieku jest pan prezes?

— Młody proszę pana! Najwyżej ma ze czterdziestkę. Przystojny, elegancki i bardzo grzeczny. A ze wszystkiemi sprawami odsyła do p. Poplina, — raportował dalej Padelski.

— A czy jest już w biurze?

— Gdzież tam, raniej nigdy nie przychodzi, jak o 11-ej. Ale uprzedził wczoraj mnie p. Poplin, żeby panu powiedzieć jak pan przyjdzie, żeby się pan do niego zaraz zameldował.

— Dobrze, dobrze, zaraz do niego idę.

— Jeszcze jedną rzecz chciałem panu powiedzieć — dodał mu szeptem — Pańskie biurko, szafy z papierami i etażerki przeniesiono do innego pokoju. Ten zaś pokój w którym pan urzędował, obrócono na archiwum. Pan Poplin kazał pozdejmować ze ściany portrety i te oddać panu. W pańskim pokoiku zaś urządzono całą rupieciarnię, gdyż oprócz szaf ze staremi aktami, rozmaite graty tam powyrzucano.

Pan Wiktor wysłuchawszy tego sprawozdania od życzliwego mu wiarusa, nie dał po sobie poznać, jak go to strasznie zabolało, a tylko najspokojniej zapytał się:

— A gdzież znajduje się moje biurko i szafa z papierami?

— A no w tym dużym pokoju, gdzie urzędują panowie Czyczyński i Soczyk. Pan Poplin kazał w tym pokoju w jednym kącie ustawić pańskie biurko i szafy, a ci panowie więcej do okna się posunęli. Maszynistkę zaś p. Wirkę przeniósł do tego maleńkiego pokoiku, który jest za jego gabinetem, a obecnie służy za poczekalnię dla interesantów.

Pan Karyński skierował swe kroki do jednego z większych pokoi, gdzie pracowało paru urzędników, z którymi zawsze mile konferował. Podchodząc więc do jednego zawołał:

— Jak się macie panowie?

— Marnie! Marnie! Panie Wiktorze! — odpowiedział tenże, ściskając podaną mu rękę.

— O! Pan Karyński, jak się macie kolego! Nie poznacie teraz tu naszego biura. Wprost Sodoma i Gomora.

Wszystko do góry nogami. Teraz tu niepodzielnie wszystkiem rządzi Poplin i wszystko według swego planu przemacza. Prace w biurze porozdzielał zupełnie inaczej, tylko wasz dział narazie został w waszych rękach, gdyż niema kompetentnego urzędnika. Ale podobno kazał Soczykowi wpatrywać się i przyuczać — odezwał się jeden ze starszych urzędników, witając się z przybyłym.

— Wiadoma rzecz, przecież jest jego kreatura — dodał inny z urzędników.

— Dlatego też wpakował pana do jednego z nim pokoju, — zauważył ten pierwszy, do którego podszedł p. Karyński.

— Moi panowie widzę, że się tem ogromnie przejmujecie, a to nie warto, wprost szkoda zdrowia. Do tej pory było wszystko dobrze, a jak teraz według nowych zarządzeń zacznie chromać, to będzie musiało to wszystko z powrotem do normy wrócić. Więc czekajmy cierpliwie.

— Kochany Panie Wiktorze! Czy znacie przysłowie: „Nim słońce wzejdzie, rosa oczy wyje“? To i tu u nas nim się z powrotem wszystko ułoży, to z nas starszych, ani jednego tu nie będzie.

— Moi kochani, Bóg sprawiedliwy, chociaż nierychliwy. To jest przysłowie niezawodne i zawsze trzeba w nie wierzyć.

Potem wszedłszy do pokoju, w którym miał pracować, bardzo grzecznie, lecz powściągliwie przywitał się z Soczykiem i Czyczyńskim. Ci zaś ironicznie uśmiechając się do siebie, zakomunikowali mu, że p. Poplin już wie o jego przyjściu do biura i że wzywa go do siebie. Na co odpowiedział im:

— Wiem to już od woźnego — i zaczął przeglądać papiery w biurku.

Potem gdy wszedł do gabinetu p. Poplina i przywitał go powściągliwym ukłonem, Poplin odezwał się doń:

— A więc przyjechał pan z urlopu?

— Dziś właśnie przyszedłem na służbę.

— Chciałem panu powiedzieć, że pokój, w którym pan dawniej pracował, obecnie zajęty jest na archiwum. Pana zaś kazałem ulokować razem z panami: Czyczyńskim i Soczykiem.

— O tem wiem już proszę pana.

— Może się panu to nie podoba?

— Nic mi na tem nie zależy. Tak tu będę pracować, jak tam pracowałem.

— Jeszcze chciałem panu powiedzieć, że od dnia dzisiejszego kancelistę Wiśniewskiego przenoszę do pana Lewandowskiego, a panu przeznaczam Soczyka.

— Chciałbym tylko zaznaczyć, że p. Wiśniewski pracował ze mną wspólnie przez parę lat i jest dobrze obeznany z moim referatem; obawiam się więc by nagła przemiana personalna nie odbiła się ujemnie na sprawach służbowych.

— Soczyk jest bardzo zdolny i szybko opanuje sprawy, musi go pan tylko umiejętnie poinformować.

— Skoro pan tak uważa i tak zarządził, to nie mam nic więcej do powiedzenia.

— Jeszcze chciałem panu powiedzieć, że musi pan dziś przedstawić się prezesowi, który obejmując urzędowanie nie zastał pana.

— Dobrze! Czy to wszystko?

— Może pan już odejść.

Pan Karyński powlókł się do swego biurka i zaczął urzędowanie.

W międzyczasie zajrzał do referatu p. Krzepińskiego, z którym łączyły go miłe stosunki służbowe i zapytał go:

— Powiedzcie mi kolego, jakie wrażenie zrobił na was nowy prezes? Mam mu się dziś przedstawić, a nawet nie wiem o której on przychodzi i kiedy mogę wejść do niego?

Pan Krzepiński, średnich lat sympatyczny szatyn, chrząknąwszy parę razy, odpowiedział po małym namyśle:

— Wie pan, nie wiem poprostu jak go określić. Jest to młody jeszcze człowiek, o miłej powierzchowności, zawsze elegancko ubrany, zawsze uśmiechnięty, bardzo grzeczny i robi wrażenie niezdecydowanego człowieka.

— W jakim wieku może być?

— Najwyżej około czterdziestki.

— No to nie jest tak bardzo młody — zauważył pan Karyński.

— Tak, to jest bardzo odpowiedni wiek na zwierzchnika, o ile jest zdecydowanym rutynistą. Tu zaś wszystko wziął w swe łapy Poplin i zdaje mi się, że na tem cały urząd wraz z nami cierpieć będzie.

— Chyba się prezes pozna na tem.

— Bardzo wątpię, tembardziej, że Poplin tak opanował go, iż on tylko jego zdaniem się kieruje.

— No to niewesoła perspektywa — zauważył pan Karyński.

— Ha, no, cóż robić, będziemy cierpieć, jak długo

będziemy mogli. Poplin nam tu wszystkim sadła za skórę zaleje. I na to chyba nie będzie lekarstwa. Jakie on wam świństwo zrobił z waszym pokojem. A kiedy tam do niego powyrzucał rozmaite graty, to kazał woźnemu pozdejmować ze ściany portrety naszych kochanych władców i z kpinkami Padelskiemu powiedział, żeby odniósł do was i powiesił w waszym mieszkaniu.

— Przykra to jest sprawa, że obecnie człowiekowi nie można nawet czcić i kochać własnego majestatu. Tych wielkich ludzi, którym zawdzięczamy naszą wolność i byt państwowy. Czyż z tem mamy się liczyć z tymi płazami, którzy chcą opanować cały nasz kraj, żeby znów wtłoczyć nas w niewolę u gorszego może zaborcy.

Wtem wszedł woźny i zaanonsował, że przyszedł prezes, który czeka na pana Karyńskiego.

W znanym nam już prezesowskim gabinecie pan Wiktor ujrzał rozpartego w fotelu średnich lat szatyna, o pełnej i miłej twarzy, okrągłej głowie, z lśniącemi, gładko z boczną przegródką zaczesanemi czarnemi włosami, z wonnym damesem w bursztynowej cygarniczce w zębach, z nogą założoną na nogę. Czarne zaś jego, jakby uśmiechnięte oczy, dosyć pogodnie spoczęły na panu Karyńskim, który ukłonił się ze słowami:

— Jestem Wiktor Karyński, starszy referent wydziału techniczno-egzekucyjnego.

— Bardzo mi przyjemnie poznać pana. Będziemy teraz razem pracować. A jak pan dawno pracuje w naszej dyrekcji?

— Od samego początku po zorganizowaniu jej.

— Czy ciągle w tym samym wydziale?

— Tak jest. Pan prezes Wysocki nie zmieniał mi charekteru pracy, uważając, że ten referat musi opierać się o wysoką rutynę.

— O tak. Pan podobno dawniej pracował w pokrewnym resorcie w Rosji.

— Tak jest panie prezesie, pracowałem najsampierw w Saratowie, a potem w Kostromie, aż do powrotu do kraju.

— Pan Wysocki przedstawił mi pana, jako doskonałego rutynistę i porządnego człowieka, więc mam nadzieję, że teraz będziemy razem dobrze i zgodnie pracować.

— Postaram się panie prezesie jaknajgodniej spełniać swe obowiązki. A teraz chciałem zapytać się o której godzinie pan prezes każe mi przedstawiać sobie sprawy, gdyż pan prezes Wysocki moje sprawy rozpatrywał najsampierw. Zwykle o godzinie 9-ej.

— Narazie, dopóki się dobrze nie rozejrzę i nie wkoleję w cały bieg tej dyrekcyjnej operacji, to proszę się zwracać ze wszystkiem do pana Poplina. — Po tych słowach powstał, podał rękę panu Karyńskiemu, co miało oznaczać, że już audjencja skończona.

Wyszedłszy z gabinetu prezesa pan Wiktor spotkał się na korytarzu z panem Krzepińskim, który go zapytał:

— No jak tam koledze poszła audjencja?

— A no bardzo i — prędko i grzecznie.

— A jakie wrażenie na koledze wywarł nasz prezes?

— Wiecie, że trudno mi określić. Jest bardzo grzeczny i przyjemny. Wrażenie zaś robi amanta z komedji.

Tu zaczęli się obydwaj dyskretnie uśmiechać, aż odezwał się pan Krzepiński.

— Wszyscyśmy to spostrzegli i śmieją się tu z niego, że tak ciągle wygląda jakby na dancing się wybierał. Z tego oczywiście korzysta Poplin i wszystko w swe włochate łapy zagarnia.

— A no zobaczymy jak tam dalej będzie. — dodał pan Karyński, uścisnąwszy rękę pana Krzepińskiego, który na pożegnanie zwrócił się do pana Karyńskiego ze słowami:

— Panie Wiktorze! Mam do was wielką prośbę, pozwolicie więc, że zajdę dzisiaj do was po obiedzie?

— Ależ proszę bardzo! Będę czekał na was.

Po obiedzie też, gdy pan Wiktor urządził sobie siestę z gazetą w ręku, a Osman, jak zwykle, ułożył się u nóg jego, odezwał się do niego:

— Mój piesku! Dzisiaj pójdziemy później na przechadzkę, gdyż będziemy mieli gościa.

Tu Osman nie uleżał na miejscu, a po słowie na przechadzkę zerwał się z podłogi, podszedł do swego pana i położywszy mu łeb na kolanach, nie spuszczał swego wzroku z p. Wiktora, zawzięcie machając swym chwaścistym ogonem. Aż pan Wiktor uspokoił go słowami:

— Dobrze! Dobrze! Pójdziemy, piesku, tylko dopiero po herbacie.

Niedługo też dzwonek zwiastował przybycie spodziewanego gościa.

Pan Wiktor wprowadził pana Krzepińskiego do stołowego pokoju i usadowiwszy go przy stole, sam poszedł do kuchni zadysponować herbatę.

Osman zaś, jak zwykle, gdy ktoś obcy przyszedł, obwąchał go ze wszech stron i powalił się na podłogę nieopodal drzwi. A gdy pan Wiktor wyszedł do kuchni, to pies nie spuszczał swych ócz z pana Krzepińskiego.

Potem potoczyła się między panami rozmowa o stosunkach biurowych, a przedewszystkiem o rozmaitych nikczemnych sprawkach Poplina, w zarodku likwidowanych przez dawnego prezesa. Następnie Krzepiński zwrócił się do pana Wiktora ze słowami:

— Panie Kolego! Przyszedłem do was z wielką prośbą w nadziei, że mi nie odmówicie. Oto muszę koniecznie odwieźć żonę na kurację do Warszawy, a potem zapewne gdzieś do sanatorjum, a nie mam żadnych zasobów, ani też nikogo takiego, ktoby mi mógł pożyczyć. Znając też dobrze waszą życzliwość i ofiarną gotowość przyjścia z pomocą w potrzebie, zwracam się do was z prośbą o pożyczenie mi 500 złotych.

— Kochany Kolego! Chciałbym naprawdę spełnić waszą prośbę, tembardziej że idzie tu o ratowanie zdrowia waszej małżonki, a matki kilkorga dzieci, lecz Bóg świadkiem, że nie posiadam żadnej gotówki. Oszczędności, jakie miałem, rozeszły mi się na kurację w Druskienikach i na kupno niektórych przedmiotów, potrzebnych mi do odpowiedniego wyekwipowania skromnego mieszkanka.

— Wiem, że kilku naszych kolegów w nagłej potrzebie korzystało z waszej pomocy, więc też i ja pozwoliłem sobie zwrócić się do was, za co serdecznie Was przepraszam — odrzekł pan Krzepiński, ściskając rękę, pana Wiktora.

— Ach to nic nie szkodzi. Przykro mi tylko bardzo, że nie mogę spełnić waszej prośby — sumitował się szczerze pan Karyński.

— Mam tu panie kolego inny sposób, tylko nie wiem, czy chcielibyście mi wygodzić?

— Jeżeli tylko jest to możliwe, to z największą chęcią.

— Mam właściwie jednego kredytora, który zgadza się mi pożyczyć 500 złotych na weksel, z tem, że będę mu spłacać w przeciągu roku po 50 złotych miesięcznie. Czybyście nie mogli mi łaskawie zażyrować takiego weksla na 600 złotych, kochany panie Wiktorze? — zapytał, spojrzawszy błagalnym wzrokiem na pana Wiktora.

— No w takim wypadku, nie mogę Wam odmówić! — odrzekł pan Karyński i podpisał podany mu przez Krzepińskiego weksel.

Po uczęstowaniu swego kolegi aromatyczną herbatką z dobrem domowem ciastem, nad którem Agatka wysilała swą mózgownicę, aby swemu panu dogodzić, pan Wiktor pożegnał go i sam, według zwyczaju, poszedł z Osmanem do pani Naczyńskiej, skąd wszyscy razem powędrowali w pole na przechadzkę.

Idąc tam przemyśliwał, czy dobrze jest komu weksle na długi zaciągane od lichwiarzy żyrować? I czy z tego nie wykluje się jakaś przykra sytuacja? Lecz gdy uzmysłowił sobie katastrofalne położenie Krzepińskiego, obarczonego czworgiem drobnych dzieci, matką staruszką i chorą żoną, zapytał się w duchu, czy uczciwy człowiek może odmówić w tym wypadku swej pomocy? Nie! Stokroć razy nie! Choćby nawet w przyszłości miał zapła-

cić ten dług. Niechżeż takie nieszczęście nie pada na jednego człowieka. Tak rozumując, zadowolony z dobrego uczynku, przepędził ten wieczór w doskonałym humorze.

IX

AMORY POPLINA Z PANIĄ NACZYŃSKĄ

W tym roku wrzesień wynagradzał piękną pogodą za zimną i mokrą wiosnę. Korzystając więc z tego ludność znanego nam miasta gremjalnie zbierała się w miejskim ogrodzie, lub w oddalonym parku. Pewnego słonecznego popołudnia znalazł się w ogrodzie pan Poplin z nieodstępnym papierosem w zębach i trzcinką o złotej gałce w ręku.

Szedł dosyć prędko snując kiełkujące myśli w swej zarozumiałej głowie, i oglądając się na wszystkie ławki i zakątki ogrodu, jakby kogoś upatrywał. W ogrodzie, choć był to powszedni dzień, przygrywała wojskowa muzyka, więc też zgromadziło się dosyć publiczności, rozsianej po wszystkich alejkach i zakątkach.

Pan Poplin widocznie wiedział, że spotka tu panią Naczyńską, do której czuł dziwny jakiś pociąg. Pani Naczyńska oczywiście niebardzo na to reagowała, a tylko czasem pozornie dąsała się za jego niby ustawiczne prześladowanie, lecz pozostawała mimo to w jego towarzystwie. Poplin zaś tłumaczył się tem, że jest w niej strasznie zakochany i dlatego nie może powstrzymać swej chęci jaknajczęstszego widzenia jej. Taka wymiana słów

była zazwyczaj obracana w żart i w dalszym ciągu kontynuowano flircik.

Żona pana Poplina, rosjanka, ogromnej tuszy niewiasta, pochodząca z kupieckiej, zamożnej rodziny, w gruncie rzeczy kobieta dobra, o bardzo łagodnym charakterze, prawie że nie udzielała się nigdzie, zajmując się tylko gospodarstwem i wychowaniem dzieci. W szczęśliwy jakiś sposób potrafiła przemycić z Rosji część zasobów ulokowawszy je w dobrem miejscu i miała nieduży procencik, który wraz z pensją męża, pozwalał na przyzwoite utrzymanie domu i wykształcenie dzieci.

Zasklepienie się jej w życiu domowem powodowane było tem, że bardzo kiepsko władała językiem polskim, i że tusza nie pozwalała jej na elastyczne poruszanie się, co ją bardzo krępowało. Czasem więc tylko bywała w towarzystwie męża w teatrze, a bardzo rzadko na spacerze dorożką. Wycieczki te dla świeżego powietrza urządzała wraz z dziećmi, wybierając się do parku, oddalonego o parę kilometrów od miasta.

Poplin też w całem słowa tego znaczeniu używał swobody, nie będąc niczem krępowany. W domu był spokojny, gdyż wszystkiego miał poddostatkiem. Dzieci grzeczne i dobrze wychowane, starały się nie przeszkadzać ojcu, który rzekomo zawsze był przepracowany i przez stosunki z „nienawistnym“ elementem mocno zdenerwowany. I tak życie swe domowe ułożył jak dawny basza turecki, którego hanem*) miała za zadanie tylko

*) Pierwsza główna żona i gospodyni.

domu pilnować i dzieci wychowywać, a broń Boże do niczego się nie wtrącać.

Dla świętego spokoju zawsze się przed żoną wyłgiwał. To niby gdzieś szedł na posiedzenie, to na jakieś zebranie. To znów niby do klubu, żeby nie posądzili go o nielojalność i unikanie polskiego towarzystwa. Ona zaś sama go namawiała, żeby nie stronił od niczego co polskie. Wiedziała bowiem, że Polska jest jedynem miejscem, gdzie mogli sobie wcale dobrze urządzić życie. Poplin zaś, lowelas z natury, korzystał z tej sposobności często, zdradzając i zaniedbując swą poczciwą żonę, której zawdzięczał wyrwanie się z piekła sowieckiego.

Rozporządzając zawsze gotówką i mając pewien tupet, cieszył się powodzeniem u tych pań, które były wrażliwe, nietyle na jego wdzięki, co na pieniądze.

Z panią Naczyńską szło mu trudniej, niż z innemi, jej bowiem nie mógł niczem zaimponować, gdyż wszystko traktowała z kpinkami i to go właśnie jeszcze więcej do niej ciągnęło. A że nigdy kategorycznie nie odepchnęła go od siebie, a tylko żarcikami zbywała, jakby bawiąc się jego natręctwem, więc nie tracił nadziei zdobycia jej w jakikolwiek sposób.

Jej nieprzeciętna inteligencja, uroda i wykształcenie, a przytem trudny do niej dostęp, coraz więcej zaostrzały jego pożądanie. Wiadomość zaś, że jest po słowie z Karyńskim, która pomimo tajemnicy jakoś dostała się do niego, podziałała na niego piorunująco. Chciał się natychmiast dowiedzieć od niej, czy to prawda. Gdyby zaś wieść okazała się prawdziwą, poprzysiągł sobie tak zgnębić Karyńskiego, żeby mu pokrzyżować wszelkie projekty.

Czuł się obecnie na to dość silnym, gdyż umiał zahypnotyzować niedoświadczonego prezesa i wszystkiem rządził bez żadnej kontroli nad sobą. Odezwała się w nim moskiewska, niewolnicza dusza, wszczepiona przez cara Iwana-Groźnego nahają, która długo pokutowała w tym narodzie. Poplin bowiem choć pochodził z polskiej rodziny, wzrósł i wychował się w tej kulturze, bez której życia sobie nie wyobrażał.

Maszerował więc po ogrodzie wypatrując panny Naczyńskiej, a gdy nareszcie ją ujrzał siedzącą w bocznej alei z książką, pośpieszył do niej ze słowami:

— No, ot, a ja wraz tak szukam pani! — i zdjąwszy swą panamę, ucałował jej rękę i usiadł obok na ławeczce.

— A czyż pan ma tak ważny do mnie interes? — zapytała panna Naczyńska śmiejąc się.

— O tak, nawet bardzo ważny.

— Ciekawam bardzo, co takiego?

— Niech pani mi nie weźmie za złe, że wtrącam się w jej intymne sprawy, lecz robię to powodowany wielką dla pani życzliwością.

— Dobrze, dobrze, ale o co panu właściwie chodzi?

— Chciałem się dowiedzieć, czy to prawda, że pani jest po słowie z Karyńskim i że wkrótce ma się odbyć państwa ślub?

— A co panu zależy na takiej wiadomości?

— Zależy mi bardzo! Najsampierw chciałem uprzedzić panią, że Karyński nie ma zbyt wielkiej przyszłości materjalnej. Po pierwsze jest goły, jak bizun, powtóre zaś w perspektywie niema nadziei na wysłużenie pełnej eme-

rytury, gdyż tu ma zaledwie parę lat służby, a z Rosji nie może zaświadczeń wydobyć. A przytem, jak pani już nieraz mówiłem, jest to formalny idjota i zarozumiały dureń.

— Ciągle mi pan jedno i to samo powtarza. Ja zaś muszę panu jeszcze raz powiedzieć, że mam go za zupełnie inteligentnego i kulturalnego człowieka. Uważam, że pan pała do niego jakąś niezrozumiałą dla mnie złością.

— Złość moja do niego pochodzi stąd, że on, jako mój podwładny jest krnąbrny, nieposłuszny i zarozumiały. A teraz jeszcze ośmielił się wyciągnąć rękę po panią.

— A cóż to pana obchodzi? Wszak nie jest pan opiekunem, ani moim, ani jego?

— Tak! Nie jestem opiekunem, ale kocham panią! Kocham i nie pozwolę jemu zabrać panią! Dlatego też przedstawiam pani jej przyszłość za nim. Boć jak pani za niego wyjdzie, to przestanie pani pracować w swym zawodzie, a on nie zdąży wysłużyć pełnej emerytury. I co panią czeka w przyszłości, co? Nędza, proszę pani! Formalna nędza! I dlatego ja na to nie mogę pozwolić. Zabardzo panią kocham — wyrzekł pośpiesznie, pokrywając jej ręce namiętnemi pocałunkami.

Pani Naczyńska długo zastanawiała się nad tem, aż spojrzawszy mu głęboko w oczy zapytała:

— Czy pan zamyśla wydać mnie zamąż za kogo innego, czy też samemu pojąć mnie jako drugą żonę? Wszak nie jest pan mahometaninem?

— Nie! Myślę usunąć wszelkie przeszkody i pojąć panią jako legalną i najukochańszą swą żonę — odrzekł przybliżając się do niej.

— O panie, to są mrzonki niedoścignione — odpowiedziała mu, odsuwając się od niego.

— Dlaczego? Człowiek, który kocha potrafi pokonać wszystkie przeszkody.

— Nie panie, nie jesteśmy przecież dziećmi i musimy poważnie traktować tę sprawę.

— Właśnie, że ja bardzo poważnie o tem myślę i mówię.

— Mając żonę i dzieci, jakżeż pan wybrnie z tej sytuacji?

— Dam sobie jakoś radę, tembardziej, że żona moja jest zamożną kobietą i śmiało może bez mej pomocy utrzymać się i dzieci wychować. Niech pani lepiej powie mi, czy pani bardzo kocha tego idjotę?

— Może go nie kocham nawet wcale, ale przywiązałam się do niego ogromnie i wiem doskonale, że to jest zacny i szlachetny człowiek. A to jest największa gwarancja dla kobiety, któraby chciała mieć dobrego męża.

— Et, proszę pani, to jest tylko fantazja romantyczna, nic więcej. Bo co pani z takim jegomościem będzie robić, jak pani nie da na eleganckie buciki i na przyzwoity kawałek mięsa?

— Jak zajdzie tego potrzeba, będziemy oboje pracować.

— Nie pani, to są tylko mrzonki. Gdzie jest bieda i niedostatek, tam nie może być miłości — dowodził usilnie Poplin.

— A skądżeż pan przewiduje, że czeka nas taka nędza?

— A ot proszę pani wyliczę pani prostym rachunkiem! Naprawdę serdecznie pani radzę puścić go w trąbę.

— No i co, zapewne oddać się panu! Czy tak pan myśli?

— Tak! Byłoby to najlepsze i najpraktyczniejsze — odrzekł znów obcałowując jej ręce.

— Nie panie! Nie mam przyczyny porzucić tego człowieka, który mi tyle okazał życzliwości i dobrego serca.

— Małoż to spotykamy dobrych i życzliwych nam ludzi? Czyż za to mamy im całe swe życie, całą swą przyszłość poświęcić?

— Życzliwym nam ludziom, którzy nie zawahaliby się za nas życie oddać, powinniśmy wszystko poświęcić.

— Ot frazesy proszę pani! Gołe frazesy, w rzeczywistości zwykle bywa inaczej. Mam nadzieję, że w krótkim czasie i pani na tę sprawę będzie inaczej patrzeć. W każdym razie proszę pamiętać, że ja jestem gotów do wszelkich usług dla pani.

Na tem przerwali rozmowę. Po przechadzce wstąpili na smaczne lody, które panna Naczyńska bardzo lubiła. Poczem Poplin, odprowadziwszy pannę Naczyńską do domu, dyskretnie pożegnał się, ucałowawszy obydwie jej rączki.

W domu panna Naczyńska długo rozmyślała nad słowami Poplina, który zaszczepił w niej jakąś niepewność, niewiarę w dobrą przyszłość, o jakiej często marzyli z Karyńskim, snując perspektywę swego życia po pobraniu się. Wszak panna Naczyńska od najmłodszych lat była przyzwyczajona do wygód. Nigdy nie umiała sobie niczego odmówić. A kilkanaście miesięcy bolszewickiej nie-

doli nie potrafiło jej zmienić, i nie zahartowało jej rozpieszczonego i rozkapryszonego ducha. Tu w poczciwej Polsce zdobyła dobry kęs chleba i urządziła sobie wygodne życie. Więc też na żadną degradację dla jakichbądź celów nie mogłaby się zdecydować. W jej przekonaniu należało od życia brać wszystko, co tylko można. Samej zaś broń Boże nic nie dawać i na nic się nie poświęcać. To też słowa zasiane przez Poplina zaczęły w jej głowie kiełkować.

Zamąż wyjść chciałaby bardzo, gdyż już przekroczyła trzydziestkę. Trzeba więc było myśleć o stworzeniu sobie pozycji i gniazdka rodzinnego, do którego każda niewiasta wzdycha. Tu zaś, pomimo jej nieprzeciętnej urody, i wielu natrętnych nawet wielbicieli, nikt jej swego nazwiska nie zaofiarował. Jeden tylko Karyński tę sprawę inaczej postawił. I jak on się różnił od tych innych, którzy tylko flirt z nią chcieli uprawiać! I dlatego też, choć nie pałała do niego płomienną miłością, szanowała go bardzo, i instynktownie bała się go utracić.

Więc też w jej duszy teraz toczyła się walka: instynkt i względy etyczne przemawiały za Karyńskim, wprost siłą przyciągając ją do niego. Z drugiej zaś strony drętwiała na myśl o niedostatku, jaki mógłby według dowodzeń Poplina, zapanować u niej, gdyby wyszła za mąż za Karyńskiego.

Ważąc przez parę dni te myśli, postanowiła przy sposobności wysondować Karyńskiego, jaką on ma pewność egzystencji na przyszłość.

X

W SIECI INTRYG

W urzędzie, w którym pracował Karyński, coraz więcej stosunki się psuły. Poplin opanował całą Dyrekcję nic sobie z żadnych przepisów nie robiąc i niczem się nie krępując. System też, jaki tam zapanował, przypominał najcięższą reakcję rosyjskiej biurokracji. Urzędnicy pokrzywdzeni, którzy nie mogli dłużej znieść takiego stanu i zwracali się ze skargą do prezesa, nietylko że nic nie uzyskali, lecz sami ponieśli porażkę. Jedni w formie napomnienia, że sami wywołują nieporozumienia, inni zaś surowo ukarani za rzekomy bunt przeciwko zwierzchnikowi. Wszyscy więc skonsternowani taką niesprawiedliwością, wprost bezbronni, opuścili głowy i oczekiwali skądciś jakiegoś wybawienia. Kiedy zaś ono nadejdzie i w jakiej postaci? Tego nikt nie mógł przewidzieć.

Taki stan rzeczy bardzo ujemnie wpływał na zdrowie pana Karyńskiego. W resorcie jego bowiem, który dotychczas najwzorowiej był prowadzony, zaczęło się coś psuć. Pomoc Soczyka, którego mu narzucił Poplin, była bardzo problematyczna, gdyż ten jako próżniak, nietylko nie wykańczał odpowiednio referatów, lecz ufny w faworyzm Poplina, był krnąbrnym i często wywoływał nieporozumienia. Karyński, by uniknąć nieprzyjemnych

scysyj, nieraz musiał sam wiele rzeczy odrabiać. Będąc więc ciągle zdenerwowany i podniecony, coraz częściej zaczął na zdrowiu zapadać. A gdy spowodu choroby musiał czasem parę dni zostać w domu, zastawał w swym referacie takie nieporządki z niechlujstwa Soczyka, że dużo zdrowia i czasu musiał zmarnować na uporządkowanie tych niedokładności. Zastanawiał się więc nad tem, jak ma postąpić. Wiedział aż nadto dobrze, że wszelka interpelacja w tej sprawie nie odniesie żadnego skutku. Pozostawić zaś to wszystko biegowi sprawy również nie można było, gdyż referat się opuszczał, a to wywoływało reklamację i skargi od interesantów. Musiał więc sam wieczorami pracować, by choć jako tako utrzymać wszystko w ładzie.

Koledzy pana Karyńskiego, zwłaszcza starsi wiekiem i służbą, będąc również steroryzowani postępowaniem Poplina, zwracali się do Karyńskiego z projektem napisania zbiorowej skargi do ministerjum. Lecz pan Wiktor w tem kategorycznie swego udziału odmówił. Dowodził bowiem, że to nie poprawi ich stosunków, lecz wywoła jeszcze większą reakcję i zemstę ze strony Poplina. Radził więc cierpliwie czekać aż władza sama się zorjentuje w swej omyłce. Nie przekonało to jego kolegów, którzy, jak widać, nie mieli już cierpliwości dłużej znosić tych przykrości, i bez udziału Karyńskiego napisali skargę do ministra. Ze skargą tą wydelegowali jednego z kolegów, który miał osobiście wręczyć ją ministrowi. Lecz tu spotkało ich wielkie fiasco, gdyż minister tylko dwa razy na tydzień po jednej godzinie przyjmował interesantów. Urzędnikom zaś w żadnych sprawach nie udzielał

audjencji. Na przedstawienie zaś delegata, że to sprawa, na której może ministerstwu bardzo zależeć, odpowiedziano mu, że minister absolutnie żadnych urzędników do siebie nie dopuszcza. Jeżeli zaś mają jakiś interes lub podanie, to powinni to przesłać drogą urzędową, to jest przez swego zwierzchnika. Zupełnie jak w bajce o wilku i jagnięciu. I delegat z niczem powrócił. Więc uchwalili również bez udziału pana Karyńskiego skargę wysłać pocztą.

W takich warunkach urzędowanie p. Karyńskiego było bardzo trudne; co dzień wracał do domu zdenerwowany i rozgoryczony. Tu trochę odpoczywał, obcując ze swym ukochanym psem. Zjadał obiad i szedł do p. Naczyńskiej, z którą, gdy pogoda dopisywała, szli na spacer, lub też gwarzyli sobie i wybierali się do kina lub do teatru.

Pewnego dnia, gdy popijali herbatkę u p. Naczyńskiej, ta zapytała:

— Czy to prawda Wiktorze, że ty nie masz zaliczonej służby w Rosji i że to ogromnie wpływa w Polsce na prawa emerytalne?

— Jeszcze nie mam, gdyż nie mogłem wydobyć potrzebnych zaświadczeń z Rosji. Lecz teraz napisałem do Rosji przez ministerstwo spraw zagranicznych i mam nadzieję papiery odzyskać. A skąd ty wiesz o tem? — zapytywał zaintrygowany p. Karyński.

— Mówił o tem mi Poplin.

— Poplin? A cóż jego interesują moje osobiste sprawy?

— Ot, tak, mówiło się coś o sprawach emerytalnych w Polsce — odpowiadała wykrętnie p. Naczyńska.

— Nawet nie wiedziałem, że się widujesz z Poplinem — zauważył p. Karyński.

— Wcale się nie widuję, lecz jak czasem spotkam go na ulicy lub w ogrodzie i on podejdzie do mnie, to przecież nie mogę go odegnać — tłumaczyła się p. Naczyńska.

— No, nie mówię, żeby odegnać, lecz można go zachowaniem się odstręczyć od wtrącania się do nieswoich spraw.

— A czy ty widzisz w tem co złego? — zapytywała podrażniona p. Naczyńska.

— Rozumie się, że tak, gdyż nie życzę sobie wtrącania się jego do mych osobistych interesów.

— Mój kochany! On to powiedział nie przez złą wolę, lecz przez życzliwość.

— Doskonale znam jego dla mnie życzliwość, i nie pragnę jej doświadczać.

— Z tego widzę, że między wami zapanował jakiś antagonizm, a tyś mi o tem nigdy nic nie mówił?

— Nie lubię roztrząsać poza biurem powstałych tam spraw. Tembardziej zaś tobie nie chciałbym zwiastować nieprzyjemnych nowin.

— W każdym bądź razie sprawa emerytury jest bardzo ważna i nie można jej bagatelizować — dodała p. Naczyńska.

— Wszystko co tylko trzeba było zrobić w tej sprawie to załatwiłem, a teraz tylko czekam odpowiedzi z Rosji sowieckiej.

— A powiedz mi Wiktorze kochany, jakieś ty poczynił zakupy, związane z projektem naszego przyszłego mieszkania? Obawiam się, żebyśmy oboje jednych i tych samych przedmiotów nie kupili.

— Obstalowałem u Ormana miękkie meble do bawialnego pokoju i dużą szafę lustrzaną, razem za 1800 złotych. Część dałem gotówką, a resztę na raty.

— A gdzie to tymczasem ulokujesz?

— Tymczasem rozmieszczę to w swem mieszkaniu.

— Doskonale, ja zaś wezmę pianino i będę spłacała miesięcznemi ratami.

Poczem znów w dobrych humorach, jakby zapominając o przykrych epizodach, w jakie życie obfituje, podążyli do kina.

W biurze narazie wszystko przycichło. P. Karyński konferując codzień z Poplinem w sprawach służbowych, omijał wszelkie sprawy drastyczne, zaczynając audjencję grzecznym ukłonem i takimże kończąc.

Z kolegami i współpracownikami swymi był bardzo grzeczny lecz również powściągliwy.

Soczyk, z którym najwięcej miał do czynienia, a który był pupilem Poplina, również nie mógł p. Karyńskiego na żadne rozmowy wyciągnąć, gdyż ten ograniczał się tylko do spraw służbowych. Na inne pytania albo nie odpowiadał, albo dawał wymijające odpowiedzi.

Taki właśnie sposób postępowania, w tym wypadku zdawałoby się bardzo odpowiedni, otoczył Karyńskiego jakąś tajemnicą. Wszyscy bowiem wiedzieli, że jest najwięcej prześladowany przez Poplina, więc trudno im było uwierzyć, że Karyński mógłby poświęcić swą osobę na

ofiarę całopalenia. Bo niby dla kogo i w jakim celu? Przeczuwali więc w tem tylko jakiś fortel.

Aż wreszcie bomba pękła.

Pewnego bowiem dnia nadszedł z ministerstwa list do prezesa, opieczętowany lakiem i ministerjalną pieczątką, dosyć dużego formatu. Korespondencja ta zaintrygowała wszystkich w biurze. Urzędnik bowiem, który prowadził dziennik, zwracał się do niektórych kolegów z tajemniczą miną, pokazując ten list jako coś niezwykłego. A ponieważ całe biuro przez postępowanie Poplina było podminowane i żądne jakichkolwiek wydarzeń i zmian, więc też wszyscy w tym liście wyczuwali coś nadzwyczajnego.

Pan prezes był tego dnia mocno zmęczony, gdyż dopiero nad ranem opuścił klub. Rozebrawszy się w swym gabinecie z zwierzchniej szaty, zasiadł w fotelu przy biurku, ziewnął kilka razy i przeciągnął się dobrze. Poczem zaczął urzędowanie: a więc najsampierw obejrzał ze wszystkich stron list. Niezwykły format listu zaintrygował go ogromnie. Przeciął więc nożyczkami kopertę i wyjął z niej dużego formatu papier, który zawierał skargę podwładnych mu urzędników do ministra na wyczyny Poplina i na to, że prezes nic nie reaguje. Na marginesie tej skargi zaś widniała odręczna rezolucja któregoś z dygnitarzy ministerjalnych z napisem „przesłać odnośnemu prezesowi do rozpatrzenia".

Pan prezes też stosownie do tej rezolucji rozpatrywał sprawę. Przeczytał więc raz tę skargę, opisane esencjonalne wyczyny Poplina popodkreślał czerwonym ołówkiem. Potem odczytał jeszcze raz i położywszy na biurku, przy-

glądał się podpisom skarżących się, wśród których figurowały nazwiska poważniejszych urzędników. Tu już nie wytrzymał i sam do siebie wykrzyknął:

— A psiakrew! Co za śmiałość!

I przeszedł się kilka razy po gabinecie. Poczem zapaliwszy papierosa, obciągnął się nim i zadzwoniwszy na woźnego, kazał mu poprosić do siebie p. Poplina.

A gdy ten wszedł i przywitał się z nim, prezes odezwał się do niego:

— Widzi pan, jaki tu nam przysłali pasztet? — i pokazał tę skargę Poplinowi.

Poplin usiadłszy na kanapce obok prezesa, jął szczegółowo wertować ową skargę i na wszystkie robione mu zarzuty tylko uśmiechał się ironicznie. Potem uważnie przejrzał wszystkie podpisy i rezolucję, poczem zwracając prezesowi ten papier powiedział:

— Zwykła rzecz panie prezesie! Są niezadowoleni, że ich się pilnuje i nie pobłaża.

— Ależ oni zarzucają panu, że pan odnosi się do nich ordynarnie i niesprawiedliwie.

— A jakżeż będę z nimi postępować, może tak, jak kawaler ze swoją narzeczoną? Ha! ha! wtenczas dopiero zaczęłoby się tu urzędowanie, no! no!

— No a cóż my teraz zrobimy z tą korespondencją?

— Schowamy ją do biurka, a z nimi wszystkimi pomału zrobimy porządek.

— A co odpowiemy ministerstwu?

— Nic panie prezesie. Wszak nam przysłano do rozpatrzenia, rozumie się i do uregulowania tej sprawy. Otóż

my ją uregulejemy, aż im ciarki przejdą po skórze. Odechce się im na przyszłość takich skarg.

— A czy nie będziemy mieli z tego jakiej nieprzyjemności?

— Niech pan będzie spokojny, panie prezesie! Znam się ja dobrze na takich sprawach. U nas w Rosji nie takich upokarzałem buntowników, za co otrzymywałem od rządu ordery i awanse — dowodził pewny siebie Poplin.

— Więc dobrze. Niech pan to zabierze do siebie i oględnie zrobi z nimi porządek. Ale żeby wszystko było przeprowadzone prawnie podług przepisów — odpowiedział prezes, wręczając Poplinowi przesłaną skargę.

— Może być pan pewny, że ja to załatwię gładko i dyskretnie.

Idąc potem do swego gabinetu przemyśliwał nad tem, co to się znaczy, że na tej skardze niema podpisu Karyńskiego, którego miał za nienawistnego sobie pracownika. Od woźnego dowiedział się, że Karyński poszedł w sprawach służbowych do województwa, wezwał więc do siebie zaufanego Soczyka, chcąc się czegoś dowiedzieć od niego.

Soczyk, ryżawy blondyn lat około 30, skromnie ubrany, wszedłszy do pokoju Poplina ukłonił się nisko i patrząc mu w oczy swemi przebiegłemi oczyma odezwał się:

— Słucham pana naczelnika!

Poplin odkłoniwszy mu się, podał mu dwa palce swej ręki i powstawszy zagadnął go:

— Panie Soczyk! Czy mogę na to liczyć, że spełni pan

moje polecenie tak, żeby było dobrze zrobione i nikt o tem nic nie wiedział?

— O tak, panie naczelniku! Wszystko tak jak zawsze, co pan każe, to załatwię.

— A więc dobrze. Tu przyszła z ministerstwa na mnie skarga, podpisana przez tych oto panów — tu mu wskazał wszystkie podpisy. — Brak tylko podpisu Karyńskiego. Trzeba więc koniecznie dowiedzieć się, dlaczego to tak stało się i kto właściwie był reżyserem całej tej sprawy. Rozumie pan?

— Tak jest panie naczelniku, rozumiem.

— Tylko musi pan to wybadać bardzo delikatnie, żeby się nikt nie domyślił o co panu chodzi i dla kogo to jest potrzebne.

— Doskonale panie naczelniku! W kilka dni o wszystkiem będę wiedział i zdam panu dokładną relację.

— Ciekawy jestem jak pan to przeprowadzi?

— A ot, przyklajstruję się do nich. To znaczy zacznę narzekać na pana naczelnika, rzekomo stanowiąc jeden front z nimi. Wówczas będę mógł wszystko wybadać.

— A jak pan podejdzie do Karyńskiego?

— O ten jest ostrożny! Ale ja i jego obejdę i o wszystkiem się dowiem.

— Niechżeż pan pamięta, że pan jest jedynym kandydatem na jego miejsce. Trzeba tylko dobrze obznajomić się z jego referatem. A pan wie, jaki to dla pana wielki awans. Musi pan wszystko to sprytnie i mądrze przeprowadzić — pouczał go Poplin, narzucając mu nikczemną intrygę w obietnicy awansu.

Podły z natury Soczyk z wielkiem zadowoleniem wyszedł z gabinetu Poplina, postanawiając tak przeprowadzić tę grę, żeby skorzystać z awansu, któryby mu w dwójnasób zwiększył pensję. Więc też bez żadnych skrupułów, nie szczędząc nic i nikogo, zabrał się do tej niecnej roboty.

Przedewszystkiem w całem biurze zaczął sarkać i narzekać na niesprawiedliwość i podłość Poplina. Uskarżał się przed wszystkimi, że Poplin czepia się i bez przyczyny robi mu rozmaite uwagi i wymówki. Dla przekonania zaś całego biura, że stosunek jego z Poplinem tak się zaostrzył, zwrócił się ze skargą do prezesa w obecności innych urzędników. Prezes zaś rzekomo zainteresowany tą sprawą, zaraz zwrócił się o wyjaśnienie do Poplina. Poplin znów przy wszystkich obwiniał Soczyka, że się opuszcza w sprawach służbowych, na co się niejednokrotnie skarżył p. Karyński, jako najbliższy zwierzchnik. Zapytany zaś przez prezesa Karyński objaśnił, że rzeczywiście przed kilkoma miesiącami, kiedy Soczyka otrzymał do pomocy, zmuszony był kilka razy zwrócić się ze skargą do p. Poplina, gdyż opuszczał się cały referat. Lecz widząc, że to nie odnosi żadnego skutku, zaprzestał tych skarg i sam wieczorami odrabia wszelkie zaległości. Takie i tym podobne sprawy, roztrząsane wobec wszystkich pracowników, przekonały całe biuro, że Soczyk stracił łaskę u Poplina, przestał być jego pupilem, a więc został wciągnięty w krąg ich sprawy i rzekomo zaczął z nimi prowadzić grę przeciw Poplinowi.

Jeden tylko Karyński nie dał się zwieść Soczykowi i

jakby przeczuwając w nim ukrytego i zamaskowanego szpiega Poplina, trzymał się od niego jaknajdalej. Na wszelkie zaś jego narzekania przed nim na Poplina, wcale nie potakiwał, a nawet wprost zażądał zaprzestania podobnych rozmów.

Po upływie paru tygodni od powyższych wydarzeń, powierzono jednemu z najstarszych wiekiem i stanowiskiem urzędników, p. radcy Alkowskiemu, przeprowadzenie dochodzeń w tej sprawie, rzekomo dla przedstawienia ministerstwu.

Radca Alkowski, dawnego typu urzędnik, bezwzględnej uczciwości i prawości charakteru, szczegółowo przeprowadził dochodzenie z wnioskiem, że podłożem całej tej sprawy jest ogólne zdenerwowanie, jako powojenna psychoza. I że postępowanie p. Poplina, aczkolwiek bardzo racjonalne i dla dobra służby, lecz jest zanadto autokratyczne i za surowe, co spowodowało ogólne niezadowolenie i skargę.

Prezes, gdy mu radca Alkowski przedłożył wyniki dochodzenia, długo debatował nad tą sprawą, aż potem zaprosił Poplina i we trzech radzili jak mają postąpić w tym wypadku. Poplin zaś zapytał radcę Alkowskiego:

— A jak w tej całej sprawie zachowywał się Karyński? Bo z nim zawsze miałem największe nieporozumienia?

— Wszak Karyński nie podpisał tej skargi, więc i nie występuje z żadną pretensją — odpowiedział radca Alkowski.

— A czy pan badał go i jakie dał zeznanie? — dalej zapytywał Poplin.

— Badałem wszystkich, więc i jego i on mi dał bardzo powściągliwe zeznanie, nie zaznaczając żadnych do pana pretensji.

— No, no, to dziwne, wprost nie do uwierzenia — odpowiedział Poplin.

A gdy wyszedł z gabinetu radca Alkowski, to Poplin przedstawił prezesowi tę sprawę w ten sposób: Soczykowi rzekomo udało się pozyskać zaufanie kolegów i od nich dowiedział się, że reżyserem całej tej sprawy był Karyński, a nie podpisał skargi tylko dlatego, że działać chciał w ukryciu. Na co prezes odezwał się:

— No więc, co pan myśli z tą sprawą zrobić?

— Sprawę odłożyć do akt, gdyż ministerstwo nie zastrzegło zwrotu. Karyńskiego zaś za wszelką cenę pozbyć się z biura.

— Doskonale! Ale jak go się pozbyć?

— Możemy go „dla dobra służby“ przedstawić ministerstwu do translokacji. W ostateczności zaś, gdyby się to nie udało, to na zasadzie złego stanu jego zdrowia, możemy go przedstawić na komisję, celem zemerytowania.

— Czy nie zrobilibyśmy mu w ten sposób krzywdy? — zauważył prezes, człowiek z natury uczciwy.

— Ależ panie prezesie! Wszak dostanie emeryturę! A u nas wówczas zapanuje spokój w biurze — dowodził Poplin.

— Wie pan, ja myślę go wezwać i sam wybadać, czy rzeczywiście on wyreżyserował tę skargę.

— On się napewno wyprze i zrobi minę Bogu Ducha

winnego. Bo ja go właśnie znam bardzo dobrze — twierdził Poplin.

— Zobaczymy jak on się zachowa w tej sprawie u mnie — odpowiedział prezes.

XI

NIESPODZIEWANY CIOS

Poplin wyszedł z gabinetu prezesa i aż zacierał ręce z radości, że nareszcie może w ten sposób pozbędzie się rywala i jedynego człowieka w biurze, którego nie mógł przełamać i urobić na swoje kopyto. Liczył też na to, że Karyński straciwszy pozycję materjalną przestanie się zajmować p. Naczyńską, a więc i jemu nie będzie przeszkadzać w amorach, gdyż ustawicznie go coś ciągnęło do niej. Ona zaś była nieczuła na jego zalecanki i jak widać poważnie myślała o Karyńskim. W biurze stosunki trochę się poprawiły, gdyż Poplin stał się powściągliwszym i grzeczniejszym. Wszystkim prawie na przywitanie rękę podawał i obdarzał słodkim przymuszonym uśmiechem, czego dawniej nigdy nie robił. Większość też urzędników zadowolona z takiej zmiany rokowała sobie spokój i niczem już niezamącony bieg pracy. Jeden tylko Karyński nie dowierzał tej zmianie, dowodząc, że tacy jak Poplin do śmierci są niepoprawni, stanowiąc zawsze plagę dla otoczenia. Służbę swoją pełnił akuratnie, z Poplinem był bardzo grzecznym, lecz powściągliwy, zachowując się z godnością. Z kolegami również żadnych rozmów o skardze na Poplina i o dochodzeniu nie prowadził. Znał doskonale nastrój ogólny i charaktery

ludzkie, a przedewszystkiem egoizm każdego, przepojony żądzą zysku, choćby z krzywdą bliźniego. Starał się więc omijać wszelkie rozmowy i zetknięcia z kolegami w tej sprawie. Koledzy zaś, którzy nigdy nie starali się poznać i zrozumieć jego najszlachetniejszego i najuczciwszego charakteru, kładli to na karb starokawalerskich dziwactw. Tymczasem Poplin, pragnąc się pozbyć Karyńskiego, namówił prezesa, by napisał konfidencjonalny list do dyrektora wydziału personalnego w ministerstwie w sprawie przeniesienia Karyńskiego do innej jakiej dyrekcji. Na to otrzymali odpowiedź odmowną, umotywowaną tem, że ministerstwo nie widzi przyczyny podobnej translokacji. Poplin więc zaczął się głowić nad tem, jakby się uwolnić od Karyńskiego.

Z panią Naczyńską starał się spotykać się jaknajczęściej, a że znów nastała wiosna, podczas której p. Naczyńska lubiła w wolną chwilę odbywać spacery w ogrodzie, więc nie sprawiało mu to wielkiej trudności. A gdy ją spotykał nie przestawał zasypywać ją komplementami. Karyńskiego zaś nazywał wobec niej intrygantem, który wyreżyserował skargę na niego i na prezesa, zamykając sobie w ten sposób drogę do dalszej karjery. Taki manewr Poplina znakomicie podziałał na bezwolną p. Naczyńską, której na projekt małżeństwa z Karyńskim nie wpływała żadna miłość ani przywiązanie, lecz tylko chęć zbudowania sobie trwałego gniazdka rodzinnego pod opieką szlachetnego człowieka. Postarała się więc wysondować Karyńskiego co do owej skargi na Poplina. Nie wierząc zaś zapewnieniom Karyńskiego, że on do tej skargi ręki nie przykładał, trzymała się ze swemi uczu-

ciami względem niego w pewnej rezerwie, jakby oczekując co z tego wszystkiego wyniknie. Oczywiście narazie nie zrywała z Karyńskim stosunków, maskując udatnie swą oziębłość. Naprężone stosunki w biurze tak odbiły się na zdrowiu pana Wiktora, że znów musiał parę tygodni w łóżku pozostać. Z tego oczywiście najwięcej korzystał Poplin, gdyż codzień spotykał się z p. Naczyńską, prowadząc z nią już flirt bez żadnej przeszkody. To nie przeszkadzało p. Naczyńskiej dosyć często odwiedzać chorego narzeczonego.

Gdy Karyński po wyzdrowieniu przyszedł do biura, wezwał go do siebie prezes i po przywitaniu się, odezwał się w te słowa:

— Panie Karyński! Ze smutkiem muszę panu oświadczyć, że pańska choroba narusza zaprowadzony porządek w pańskim resorcie i powoduje niepożądane reklamacje od interesantów.

— Rozumiem panie prezesie, lecz przecież nie jestem winien temu, że zapadam na zdrowiu, ani temu, że p. Poplin zabrał mi Wiśniewskiego, który jest doskonale obznajmiony z mym referatem i nieraz po parę miesięcy zastępował mnie z doskonałym wynikiem.

— Według mego pojęcia tak odpowiedzialny referat, jak pański, powinien być prowadzony tylko przez starszych rutynowanych urzędników.

— Cóż mogę na to poradzić panie prezesie? — odpowiedział Karyński, skłaniając głowę.

— Chciałem właśnie tylko panu powiedzieć, że wobec tego zmuszony jestem wysłać pana na komisję.

— Trudno, jeżeli pan prezes uważa mnie za niezdolnego do pracy.

— Nie za niezdolnego, lecz często chorującego i przez to opuszczającego pracę. Gdyż tu mam oto wykaz, że w przeciągu ostatnich dwóch lat wskutek choroby przez 92 dni opuścił pan pracę.

— Tak, panie prezesie! W przeciągu tych dwóch lat rzeczywiście kilka razy zapadałem na zdrowiu. Ale od 1919 do 1922 roku w przeciągu czterech lat nie opuściłem ani jednego dnia służby, gdyż nawet nie miałem czasu z urlopu skorzystać.

— To wcale nie wpływa na bieg sprawy, najwyżej przy wymiarze emerytury postaramy się to panu zaznaczyć — odrzekł, obleśnie uśmiechnięty prezes.

— Panie prezesie, nieszczęście chciało, że nie mam żadnych świadectw z Rosji, gdzie służyłem, a na wysłane przezemnie podanie przez ministerstwo spraw zagranicznych, jeszcze nie mam odpowiedzi.

— No to wyznaczą panu tymczasem tę emeryturę, jaką pan tu wysłużył; oczywiście postaramy się zwiększyć ją wskutek stanu pańskiego zdrowia. Potem zaś, gdy nadejdą papiery z Rosji, to wyrównają panu do całości — pocieszał go prezes.

— Więc pan prezes każe mi wstąpić na służbę, czy też pójść na komisję?

— Ależ tak, objąć swój referat i pracować dopóki pan nie otrzyma emerytalnego dekretu.

Na tem się audjencja skończyła i p. Karyński wyszedł z gabinetu prezesa przygnębiony i zdenerwowany.

W biurze prawdopodobnie wszyscy koledzy o tem wię-

dzieli, gdyż jakiemś dziwnem okiem na niego spoglądali, jakby chcąc się dowiedzieć, co on teraz myśli, co się w nim dokonywa? I tylko między sobą porozumiewali się wzrokiem, unikając jego spojrzenia.

Karyński zaś doskonale znając słabość ludzką, która nieraz niezłych ludzi w walce o kęs chleba, w najgorsze hjeny przemienia, do nikogo się nie zbliżał, nikomu się nie skarżył i nic nie opowiadał, a tylko zamknąwszy się w sobie, służbę swą spełniał.

W domu dopiero dał ujście swym rozprzężonym nerwom, ze łzami w oczach uskarżając się na swój los przed wiernym swym przyjacielem:

— Osmanku kochany! Nie mamy pewności, czy długo jeszcze będziemy mieli ten skromny kawałek chleba i dach na głową — biadał, tuląc jego płowy łeb, okraszony pięknemi szafirowemi ślepiami do swego łona.

Czworonożny zaś przyjaciel, jakby czując ciężki nastrój zmartwionego p. Wiktora, skomlał i mruczał, układając swą głowę na kolanach pana.

Potem zaś, gdy Karyński zebrał cały zasób swej energji, jakim jeszcze organizm jego rozporządzał, zerwał się z krzesła i jakby otrząsnąwszy się z przykrego koszmaru, wykrzyknął:

— Eet, głupstwo! Wszak uczciwie spełniłem swe obywatelskie zadanie. I chociaż wyrosłem i dojrzałem w innym kraju, ojczyźnie dałem pracę swą wówczas, kiedy ona najwięcej jej potrzebowała. Gdyby mnie chciano pokrzywdzić, znajdą się niewątpliwie tacy, że do tego nie dopuszczą — i zaczął pospiesznie spacerować po pokoju.

Osman zaś krok za krokiem chodził za nim, mając ciągle swe poczciwe ślepia skierowane w jego oczy.

W parę dni po przytoczonym wypadku, p. Naczyńska odwiedziła narzeczonego, który przy herbacie opowiedział jej swą rozmowę z prezesem.

— A dlaczegoś się w tej sprawie potem nie zwrócił do Poplina, jako do najbliższego ci naczelnika? — zapytała podniesionym głosem p. Naczyńska.

— Bo uważałem to za zbyteczne z dwóch przyczyn: po pierwsze dlatego, że właśnie Poplin sam wyreżyserował całą tę sprawę, po wtóre zaś dlatego, że prezes jest wyższą istancją, a więc na niego mogą skargę wnieść tylko do ministra.

— Ja nie mówię, żeby skarżyć się na prezesa, lecz radzę udać się wprost do Poplina, jako do tyloletniego naczelnika i prosić o jego wstawiennictwo u prezesa — dowodziła p. Naczyńska.

— Nie, kochana Maniu! To odniosłoby tylko taki skutek, że Poplin tryumfowałby nademną, lecz nicby dla mnie nie zdziałał, gdyż prezes właśnie spełnia w tym wypadku jego zachcianki.

— A cóż szkodzi spróbować?

— Moja kochana, gdybym go kiedy w czemkolwiek zadrasnął lub obraził, to uważałbym to za konieczne, lecz że zawsze względem niego byłem nie tylko grzeczny, a wprost ustępliwy, znosząc od niego rozmaite przykrości, więc nie widzę potrzeby takiego płaszczenia się.

— Ja uważam, że pomimo twej grzeczności zawsze byłeś z nim na ostrzu noża, i to właśnie doprowadziło do takiej katastrofy.

— Więc według twego przekonania sam sobie jestem winien?

— Po części tak, bo powinieneś był znaleźć sposób zgodnej i milszej współpracy ze swoim zwierzchnikiem.

— U tego pana tylko łotry i kanalje obdarzone są uznaniem i sympatją. Ja zaś niestety w takiego pupila przedzierzgnąć się nie mogę.

— No a cóż poczniesz, gdy cię zemerytują?

— Najsamprzód będę szukał sprawiedliwości, a jeżeli nie znajdę to będę szukał jakiejkolwiek bądź pracy.

— No, no, to przyznam ci się, że nie wesoła byłaby perspektywa dla nas, gdybyśmy się pobrali — odpaliła mu p. Naczyńska ironicznie się uśmiechając.

Na to Karyński zamilkł, długo przesiedział w skupieniu ducha, przeżuwając cały ten temat w swym mózgu i sercu. Nagle uczuł, że spadła mu zasłona z jego oczów. Że poznał małoduszność tej kobiety, w której gnieździła się tylko rozkapryszona samica, żądna rozkoszy i wygody, lecz nie mogąca nikomu nic dać z siebie. Aż otrząsnął się ze swego złudzenia, jak z paroletniego letargu i powstawszy, odpowiedział jej.

— Pani Marjo! Nie śmiem pani wciągać w orbitę mych zadań życiowych i pozbawiać panią rozkoszy i wygody, do jakiej pani przywykła od dziecka. Ja jestem człowiekiem mozołu i obowiązku, więc mnie ani praca ani bieda doczesna nie przeraża, i z pomocą Bożą zniosę wszystko to, co mi los przeznaczył. Więc od dziś dnia proszę się nie krępować niczem i postąpić tak, jak pani uzna za właściwe.

— No przecież to byłoby szaleństwo, gdybyśmy się w takich warunkach pobrali.

— Tak, ma pani rację, my do takiego szaleństwa dopuścić nie możemy! — wykrzyknął p. Karyński i począł spacerować po pokoju. Osman zaś, który najspokojniej leżał na swem miejscu, usłyszawszy trochę podniecony głos swego pana i ujrzawszy go kroczącego po pokoju, zerwał się ze swego posłania i nie spuszczając oczu z p. Karyńskiego, chodził za nim.

W pokoju zapanowała dłuższa cisza, przerywana tylko cichem stąpaniem p. Karyńskiego i człapaniem Osmana. Pani Naczyńska oparłszy się łokciem o stół, a dłonią o głowę, siedziała jakby skonsternowana. Jak widać nie spodziewała się takiej odpowiedzi od p. Karyńskiego, a więc i tak łatwego rozwiązania stosunku jaki ją z nim łączył, a który po uprzedniem opowiedzeniu jej przez Poplina o całym stanie rzeczy, ciężył jej strasznie. Więc też pragnęła jaknajprędzej uwolnić się od słowa danego Karyńskiemu.

Tak łatwe rozwiązanie tej sprawy odbiło się na uśmiechniętej i zadowolonej twarzy p. Naczyńskiej, lecz potem przeleciał jakby promyk jakiegoś szlachetnego uczucia, które jeszcze gdzieś tkwiło w tej kobiecie. I znów zasępiło się jej lico. Przeczuwała, że w tej chwili traci może jedynego i najlepszego przyjaciela w świecie. Pomyślała więc chwilę, i podszedłszy ku Karyńskiemu, chwyciła go za rękę ze słowami.

— Panie Wiktorze! Ale chyba zostaniemy dla siebie życzliwymi przyjaciółmi?

— Czyżbym mógł być czyim wrogiem, a tembardziej pani?

— Więc pan nie bierze mi za złe, że to się tak stało? — dopytywała się, trzymając go za rękę i wpatrując się w jego oczy.

— Ależ zaręczam pani, że nie. Czyż śmiałbym nawet żądać od pani takiego poświęcenia, żeby łączyć jej osobę z człowiekiem, który nie może zagwarantować jej wygody? Jak sobie uprzytomnię to wszystko, uważam za szaleństwo z mej strony to, że wogóle śmiałem zajmować pani czas swą osobą, narzucając się może za natrętnie nieraz ze swem uczuciem. Więc dziś przepraszam panią bardzo za to — odpowiedział jej, całując ją jakby z uszanowaniem w rękę.

Na tem oczywiście wizyta pani Naczyńskiej skończyła się. Pan Karyński pomógł jej włożyć płaszczyk, a na pożegnanie złożywszy jej ceremonjalny ukłon i takiż pocałunek ręki, odprowadził obleśnie uśmiechniętą aż do drzwi.

Dopiero gdy zamknęły się drzwi za tą panią, która tu bywała przez parę lat, czując się mile i dobrze , p. Wiktor dał ujście swym naprężonym i nadwyrężonym nerwom. Usiadł w kącie bawialnego pokoju przy maleńkim stoliku, i oparłszy głowę na dłoniach skierował wzrok w jeden punkt ściany i jakby zamarł sam w sobie. To co się przed chwilą stało, a czego się wcale nie spodziewał, uderzyło go jakby obuchem po głowie. Uderzenie to było tak silne, nie spodziewane, że stłumiło w nim wszelkie myśli. Zabiło w nim wszelką energję życiową. Został jakby rażony piorunem, złamany jakimś rozszalałym

kataklizmem. Długi czas przesiedział tak, a wierny Osman, ułożywszy się u stóp jego, oparł swój łeb na nogach pana, zachowując największy spokój, jakby nie chcąc przeszkadzać swemu panu w kontemplacji, w jaką popadł, a która sama musi minąć.

P. Karyński ocknął się nareszcie, a z oczu jego pełnym strumieniem łzy się polały. Nie były to łzy rozkochanego młodzieńca za oddalającą się od niego bohdanką, ani też rozleniwiałego i rozkapryszonego sybaryty, który stracił dobrobyt i wygody. Były to łzy żalu i zawodu człowieka wielkich poświęceń i wielkiego serca, którego nigdzie, na żadnem polu nie uznano. Za swą uczciwą pracę i za swe ofiarne serce bezkrytycznie oddane opuszczonej, zdawałoby się bezradnej kobiecie, nie tylko nie zdobył wdzięczności i uznania, lecz został wręcz najboleśniej skrzywdzony. Tak się jakoś składało w jego życiu, że ciągle tylko ktoś z niego korzystał, że zawsze tylko komuś coś robił, czy dawał, nieraz z wielkiemi stratami i przykrościami dla siebie. A miał takiego pecha, że za dobre złem mu odpłacono. Pociechą dla jego zbolałej duszy była tylko świadomość, że ziściły się jego tyloletnie marzenia, że znalazł się choć na schyłku życia w wolnej, wydobytej z pęt zaborców, Polsce. Że tu choćby z nędzy i głodu umarł, legnie w wolnej ukochanej swej ziemi. Że w przyszłości, kiedy się tu wszystko przemiele, skoncentruje i ustali, młodsze pokolenie nie będzie potrzebowało takich katastrof życiowych przechodzić.

W takiej kontemplacji przeszło Karyńskiemu wiele czasu. W pokoju zapanował już półmrok, aż uczuł psi łeb

na swych kolanach. Objął go więc swemi rękoma i przemówił do niego.

— Tak Osmanku! Odchodzą od nas wszyscy pomału, niedługo zapewne zostaniemy sami, lecz jak nam będzie? To Bóg raczy wiedzieć. Tymczasem weszła Agatka i zapaliwszy światło oddała p. Wiktorowi list przyniesiony przez listonosza.

List ten był z Ameryki, więc p. Wiktor domyślił się, że jest on od Czeskiego. Rozpieczętował go i pośpiesznie w skupieniu począł czytać.

Pan Czeski stanowił unikat między młodzieżą obecną, był bowiem bardzo wdzięczny p. Karyńskiemu za okazanie mu tyle serca i życzliwości, i regularnie, co miesiąc donosił mu o sobie. Pisał o serdecznem przyjęciu przez stryja, znajdującego się w bardzo już podeszłym wieku. Potem o swej pracy w tak dużem przedsiębiorstwie, w którem po jakimś czasie zajął stanowisko dyrektora. W dzisiejszym zaś liście p. Wiktor dowiedział się, że stryj Czeskiego, mając już przeszło 80 lat rozstał się z tym światem, pozostawiwszy mu cały swój majątek. Na barki Czeskiego spadło więc pomimo bogactwa dużo trosk, zobowiązań i pracy. Znając pracowitość i sprężystość Czeskiego, p. Wiktor wiedział, że on znakomicie da sobie rady.

Potem długo, długo, spacerował po stołowym pokoju, przetrawiając raz jeszcze w myślach wszystko, co go spotkało. Osman zaś leżąc na swem posłaniu, jak zawsze w takich wypadkach, nie spuszczał wzroku ze swego pana. — Otóż p. Wiktor w sprawie zakwalifikowania go przez prezesa do emerytury, postanowił zwrócić się do

dawnego prezesa, który obecnie zajmował jedno z wyższych stanowisk w ministerstwie, a który najwyraźniej polecił w razie potrzeby zwrócić się do niego. Miał więc zaraz nazajutrz poprosić o 3-dniowy urlop, i wyjechać w tej sprawie do stolicy. Usłyszawszy, że zegar, który w każdym przypadku jednakowo każdemu wymierza czas, wybił godzinę drugą po północy, położył się do łóżka, choć sen się go jakoś nie imał.

Nazajutrz, gdy zwrócił się do Poplina z prośbą o udzielenie mu 3-dniowego urlopu, ten przyjąwszy od niego raport, odpowiedział, że sprawę tę musi przedstawić prezesowi, gdyż sam nie może decydować. Karyński doskonale zrozumiał tę szykanę, lecz nie dając po sobie tego poznać, odpowiedział, że parę dni poczeka na rezultat, lecz o ile potem nie otrzyma urlopu, to będzie zmuszony osobiście zainterpelować u prezesa.

I znów jął się pracy biurowej, która ze względu na wytworzone stosunki nie tylko, że go nie pociągała, lecz mu obrzydła. Pełnił ją jednak automatycznie.

Trzeciego dnia, gdy z rana zajęty był w biurze wertowaniem jakiegoś referatu, wpadł do niego jeden z kolegów z gazetą w ręku i wykrzyknął:

— Posłuchajcie kolego! Dawny nasz prezes, pan Wysocki zginął pod Poznaniem w katastrofie samochodowej.

Karyński przeczytawszy wzmiankę w gazecie raz i drugi, długo myślał nad tym wypadkiem. Wobec tego nieszczęścia, które spotkało tak zacnego człowieka, jakim był prezes Wysocki, zapomniał o swej niedoli. Zapomniał o tem, że p. Wysocki był jedyną deską wybawienia go z obecnej toni, w jaką pogrążył go Poplin. Żałował tylko

serdecznie szlachetnego człowieka, który odszedł na zawsze. Oddając koledze gazetę wykrzyknął:

— Nie tu widać było miejsce tego zacnego człowieka!

Tymczasem wszedł woźny z rewersałem i wręczył Karyńskiemu karteczkę prezesa, opiewającą na zezwolenie trzydniowego urlopu. Karyński przeczytawszy ją odezwał się: —

— O ironjo losu! Z tego urlopu skorzystam, wyjeżdżając na pogrzeb zacnego Człowieka.

Po upływie paru tygodni Karyński został wezwany na komisję lekarską, która się odbyła przy udziale dwuch lekarzy i przedstawiciela dyrekcji, w osobie radcy dyrekcji, w której urzędował.

Pomimo stanu nerwowego, w jakim się znajdował Karyński, nie mógł się powstrzymać od ironicznego śmiechu, obserwując przebieg komisji, w której największy udział oprócz niego mieli lekarze. Jeden bowiem z nich, zbadawszy Karyńskiego i wypytawszy się o jego samopoczucie, uznał go za zupełnie zdolnego do pracy umysłowej. Drugi zaś, dokonawszy również takich samych badań, uznał go za niezdolnego do służby, wskutek miażdżycy tętnic i mocno posuniętej sklerozy. Na tem tle wywiązała się wprost zaciekła sprzeczka między lekarzami, gdyż jeden dowodził, że z takiemi objawami choroby pracuje 50% starszych urzędników w całym świecie. I że taki stan nie przeszkadza spełniać obowiązków. Drugi zaś twierdził, że w takim stanie mogą nastąpić zamroczenia mózgowe, a ponieważ petent często podupada na zdrowiu, iż musi opuszczać służbę, więc uważa za konieczne zwolnienie go od obowiązków służbowych. Radca zaś,

który delegowany był na tę komisję, jakoś nic nie radził, tylko palił papierosa jednego za drugim, a gdy skończyła się komisja, schował protokoły do teczki, zapalił świeżego papierosa, podał rękę lekarzom, skłonił się Karyńskiemu, i poszedł. W dyrekcji zaś zdał relację prezesowi i Poplinowi, którzy znów uradzili, żeby wobec nie zgodności tej komisji, naznaczyć inną, złożoną z innych lekarzy.

Po upływie więc paru tygodni, Karyński został powtórnie, powołany na komisję. Ta zaś, doskonale zharmonizowana, solidarnie orzekła niezdolność jego do pracy, a zatem i zwolnienie w stan spoczynku.

I tak pan Karyński od 1-go września tegoż roku otrzymał dekret o zwolnieniu go w stan spoczynku z poborami aż 92 złotych miesięcznie.

Zrozumiał więc doskonale w jak rozpaczliwem położeniu się znalazł. Gdyby nie zakupy poczynione na raty, w zamiarze ożenku z panią Naczyńską, i inne zobowiązania za kolegów, za których ręczył, mógłby jakiś czas skromnie utrzymać się z tej pensji, dopóki nie nadejdą papiery z Rosji. Obecnie zaś pensji tej nie wystarczyło nawet na spłacanie samych rat.

Czuł więc straszne swe załamanie się. Zrozumiał, że będzie zmuszony zlikwidować obecne mieszkanie, zwolnić służącą i przenieść się gdzieś z Osmanem do maleńkiego pokoiku choćby na strychu jakim. Jednakowoż nie tracił nadziei, że niedługo otrzyma odpowiedź z Rosji, dokąd jeszcze raz posłał podanie, i że wówczas gdy zwiększą się trzykrotnie jego pobory, będzie mógł skromnie egzystować.

XII

POPLIN W ROLI POCIESZYCIELA

Pan Poplin był zadowolony, że pozbył się w osobie Karyńskiego rywala i podwładnego mu urzędnika, którego nie mógł urobić na swego satelitę.

W biurze wszyscy zostali skonsternowani zwolnieniem Karyńskiego. Koledzy jego chociaż niektórzy płaszczyli się przed Poplinem, jednogłośnie przyznali, że Karyńskiemu stała się krzywda. Każdy z nich miał go za zdolnego i pracowitego urzędnika, i za dobrego uczynnego kolegę i szlachetnego człowieka, więc żałowali go ogromnie.

Z inicjatywy też starszych urzędników wyłonił się komitet który chciał urządzić pożegnanie zasłużonemu i dobremu koledze.

Postanowiono więc w resurcie miejskiej urządzić pożegnalny bankiet Karyńskiemu, podczas którego miano mu wręczyć jakiś cenny upominek od kolegów.

W tej też sprawie wydelegowano do pana Karyńskiego dwuch najstarszych wiekiem pracowników biurowych, którzy mieli zaprosić go na umówiony dzień na ową uroczystość.

Pan Karyński przyjął tych gości bardzo serdecznie, lecz kategorycznie odmówił swego udziału tak w przybyciu na bankiet, jak i w przyjęciu prezentu. Motywował to

tem, że ani nie czuje się tak zasłużonym na takie względy, ani też nie chce narażać kolegów na jakiekolwiek koszta dla swej osoby.

Odpowiedź taka była bardzo przykrą ogółowi pracowników, którzy czuli dobrze, że swoim postępowaniem względem zacnego kolegi nie zasłużyli na inną. Nie poprzestali jednak na tem, i jeszcze raz powtórzyli swą prośbę do niego, zaręczając mu, że zawsze byli mu życzliwi i wdzięczni za jego dla nich dobroć i koleżeńską ofiarność. Stanęło więc na tem, że pan Karyński złożone na ten cel 560 złotych przekazał seminarjum pedagogicznemu, które właśnie w tym czasie przechodziło kryzys, grożący zamknięciem stołówki niezamożnych uczni. A w ten sposób dźwignięto choć częściowo tę zbożną i tak pożyteczną placówkę.

W biurze wszystko niby szło po dawnemu. Poplin przez ten wyczyn znów okrzepł, i stał się groźnym dla wszystkich tych, którzy nie chcieli czy nie mogli stać się jego kreaturami. Przy każdej więc sposobności, jak tylko miał jakieś porachunki z takimi osobnikami, straszył ich słowami. „No! Niech no pan uważa, żebyśmy nie byli zmuszeni poprosić go o przejście do spoczynku". Sterroryzowani też urzędnicy zamknięci w sobie, ze zgrzytem i bólem serca, zmuszeni byli wszelkie przykrości znosić od tego sadysty, aby tylko nie stracić kawałka chleba dla swej rodziny.

Soczyk, największy pupil Poplina ślepo spełniający jego wszelkie polecenia i zarządzenia, które nieraz nosiły cechy nieetyczne, a nawet karygodne, stracił nagle do niego afekt i stał się wprost jego zaciekłym wrogiem. A

stało się to dlatego, że na miejsce po Karyńskim, które mu solennie przyrzekł Poplin, został mianowany kto inny. Zamęt i nieporządek, jaki tam wprowadził po ustąpieniu Karyńskiego, zmusił Poplina naznaczyć tam zdolniejszego referenta i dodać mu jeszcze do pomocy Wiśniewskiego, którego zawsze wyróżniał Karyński. Referat chromał jednak coraz bardziej. Wówczas dopiero prezes spostrzegł jaką omyłkę popełnił usuwając zdolnego i uczciwego urzędnika. Zrozumiał też jak strasznie skrzywdził Karyńskiego, stawiając go w tak ciężkie położenie materjalne. A że był to człowiek w gruncie rzeczy uczciwy tylko nie wyrobiony życiowo i zupełnie bez charakteru, więc też cierpiał bardzo z tego powodu. Kiedy zaś przypomniał sobie wszelkie nieporozumienia Poplina prawie ze wszystkimi urzędnikami, doszedł do przekonania, że Karyński został przez niego bezwzględnie skrzywdzony. Gdy więc znów otrzymał z ministerstwa jakieś cierpkie pismo, wywołane ciągłemi nieporządkami, to już dobrze zdenerwowany wezwał do siebie Poplina. A gdy ten wszedł do gabinetu, odezwał się do niego, dosyć podniesionym głosem.

— Nie panie, tak być nie może, żebym ja ciągle takie nieprzyjemne pigułki przez pana dostawał — i tu mu pokazał otrzymaną korespondencję z ministerstwa.

Poplin przeczytał raz i drugi, i kładąc ten nieprzyjemny papierek na biurku, spojrzał na prezesa i odpowiedział lakonicznie.

— A cóż ja temu jestem winien, że nie można znaleźć odpowiedniego referenta.

— Więc poco żeś pan usunął Karyńskiego?

— Wszak nie ja go usunąłem, a pan prezes kazał go przedstawić do zwolnienia.—

— Tak, ale na pańskie żądanie!

— Ja tylko służbowo wykazałem ilość dni, opuszczonych przez niego wskutek choroby. No i przedstawiłem go jako niespokojnego człowieka, który ferment wytwarzał w naszej dyrekcji.

— Otóż to właśnie jest złe, że posłuchałem pana, zapominając o tem, że nieboszczyk pan Wysocki przedstawił mi go jako uczciwego i bardzo zdolnego urzędnika.

Poplin z całym tupetem, który go nigdy nie opuszczał wykrzyknął:

— Co pan prezes takie rzeczy mówi! Karyński ciągle tu wszystkich tylko buntował przeciwko mnie i panu prezesowi. Wysockiego zaś umiał swym fałszem i intrygami zjednać. Usunięcie więc jego było konieczne.

— Nie panie! Widzę, że pan się grubo myli, bo intrygi u nas nie ustały, chociaż już od kilku miesięcy nie pracuje tu Karyński. Natomiast zwiększył się u nas bałagan i nieporządki, jakich nie było za jego urzędowania — odpowiedział ze złością prezes.

— Więc pocóż pan prezes podpisał przedstawienie Karyńskiego do emerytury?

— Ach więc pan tak mówi?

— No przecież. Wszak nie mogę za każdego i za wszystkich brać na siebie odpowiedzialności.

— Doskonale! W przyszłości ja sam będę o wszystkiem decydować — wykrzyknął prezes zdenerwowany. Na tem skończyła się ich rozmowa.

Od tej pory stosunek między prezesem a Poplinem zaostrzał się coraz bardziej. Z tego oczywiście najwięcej korzystali urzędnicy, gdyż Poplin znacznie przycichł i stał się o wiele delikatniejszym.

Pozatem jednak Poplin nie zmienił dawnego trybu życia. Często wychodził z domu, rzekomo do biura, lub na jakieś posiedzenie, a w rzeczywistości do pani Naczyńskiej na flircik, który już teraz mogli uprawiać bez żadnych skrupułów i przeszkód.

Pewnego też razu, kiedy zastawszy panią Naczyńską nie w humorze, jakby podniecong, zapytał ją o przyczynę tego, ta mu odpowiedziała.

— Wie pan, znów o nas nieprzyjemne plotki krążą po mieście.

— Ciekawy jestem bardzo, co o nas mogą mówić?

— Mówią naprzykład, że pan stale u mnie przesiaduje nieraz do samego rana.

— A gdyby nawet tak było, to co to kogo obchodzi, jeżeli ja panią kocham?

— Ależ niech pan zrozumie, jak mnie to opinję psuje! Od pewnego czasu widzę, że przełożona patrzy na mnie jakimś dziwnym wzrokiem.

— Sądzi pani, że ona panią zwolni? Niech tylko spróbuje! Zaraz postaram się o to, żeby jej gimnazjum zamknęli!

— Czyż ma pan takie tu wpływy? — zapytywała pani Naczyńska, patrząc z niedowierzaniem na niego.

— Kochana pani Marjo! Jak człowiek chce, to wszystko pokona tembardziej dla niewiasty, którą się tak kocha, jak ja panią — tu objął ją wpół i jakby na pod-

twierdzenie swych słów wycisnął na jej ustach namiętny pocałunek.

Pani Naczyńska zaś opanowawszy się po tem wszystkiem, rzekła do niego:

— W każdym bądź razie mogą z tych plotek wyniknąć bardzo nieprzyjemne konsekwencje. Tembardziej, że wszyscy tu twierdzą, iż Karyński stał się ofiarą pańskiej sympatji do mnie.

— A cóż panią może obchodzić teraz ten idjota?

— Wszak on chciał się ze mną żenić, i żeby nie ta jego dymisja, to już bylibyśmy po ślubie.

— Nic pani na tem nie straciła, i nie ma pani co żałować.

— Ha stało się! Ale żal mi go, bo jest to naprawdę bardzo zacny i szlachetny człowiek.

— Niech że pani da spokój z tą jego szlachetnością. Ciekawym bardzo, czy onby nią panią nakarmił i przyodział?

— A cóż mam teraz, gdy z nim zerwałam?

— Ma pani mnie! Ja zaś, jak powiedziałem pokonam wszelkie przeszkody, żeby się z panią połączyć na wieki. Wówczas już nikt i nic nam nie przeszkodzi żyć tylko dla siebie, i być szczęśliwymi.

Tak więc przeżywali swoją sielankę, nie przewidując tego, że chochlik życiowy i ich nie oszczędzi, że i im zgotuje psikusa, aczkolwiek w tym wypadku zupełnie przez nich zasłużonego.

W partykularzu tym, gdzie prawie wszyscy znali się osobiście, doskonale wiedziano o intrydze, której ofiarą padł Karyński. To właśnie szalenie nadszarpnęło opinję

pani Naczyńskiej i poderwało resztę szacunku dla Poplina.

W rodzinach zaś urzędniczych, a nawet i kołach miejscowej ogólnej inteligencji bardzo często poruszano ten temat. Roztrząsano krzywdę wyrządzoną porządnemu i zacnemu człowiekowi, za jakiego był uważany Karyński. Panie zaś, które w osądzaniu swych siostrzyc są zawsze bezwzględne i okrutne, nie biorąc nigdy pod uwagę swych osobistych grzechów, bezapelacyjnie potępiały panią Naczyńską. Jej wykształcenie, stanowisko, a przedewszystkiem elegancki jej wygląd, kładły na szalę jej grzechów głównych, podpisując na nią wyrok banicji.

Wiadomość taka dotarła i do właścicielki, a zarazem dyrektorki i przełożonej pensji, na której pracowała pani Naczyńska. Owa pani, osoba bardzo zacna i szlachetna, otoczona tu była wielką powagą i uznaniem. Znana była z wielkiej swej dobroci i wprost gołębiego serca. Panią Naczyńską dosyć lubiła i miała ją za zdolną nauczycielkę, lecz że wiadomości, jakie do niej dochodziły nosiły cechy bardzo drastyczne, postanowiła wymówić jej miejsce. Pewnego też dnia po lekcjach, zaprosiwszy ją do swego gabinetu, powiedziała jej wprost bez żadnych ogródek.

— Pani Marjo! Z bólem serca muszę pani zakomunikować, że plotki i wersje, jakie tu w mieście o pani krążą, zmuszają mnie zwolnić panią z obowiązków nauczycielki na mej pensji.

Pani Naczyńska, chociaż przeczuwała, że taka katastrofa nastąpić może, stanęła jak rażona piorunem, wprost nie wiedząc jak ma na to zareagować. Po upływie

więc paru minut milczenia, poczerwieniawszy na twarzy, jak piwonja, odpowiedziała.

— Ja nie wiem proszę pani, czego ludzie chcą odemnie? Zaręczam pani, że jestem zupełnie niewinną. Bo czyż można mi wziąć za złe, że zerwałam z człowiekiem, który nie nadawał się na mego małżonka? — I tu chciała wyłuszczyć resztę szczegółów, lecz przełożona, ująwszy ją bardzo delikatnie za rękę odezwała się:

— Pani Marjo! Niech pani lepiej nie porusza tych bolesnych kwestyj, które mnie nie będą mogły przekonać. Według mego bowiem zdania każda nauczycielka jest kapłanką swego zawodu. Powinna w każdym calu swego jestestwa służyć przykładem młodszemu pokoleniu, które wychowuje. Jeżeli zaś nasunie się choć maleńki cień na jej opinji, powinna z tej drogi ustąpić.

— Ależ pani przełożono! Ja nie czuję się w niczem winna! I nie mogę przecież tak zostać bez kawałka chleba!

— Przewidziałam i to proszę pani, chociaż powinnam w tym wypadku wypłacić pani tylko 3 miesięczną pensję, zwiększamy ten ekwiwalent do 6 miesięcy. Uważam, że przez ten czas pani jako bezwzględnie zdolna nauczycielka, z mojem pod tym względem jaknajlepszem świadectwem, znajdzie nową posadę. Oczywiście tylko radziłabym nie w naszem mieście.

Na takie dictum acerbum, pani Naczyńska nie mogła reagować i pomimo usilnych starań Poplina, który nie zawahał się w tej sprawie osobiście interwenjować u przełożonej pani Naczyńska została zwolniona z posady.

Oczywiście wskutek pogróżek Poplina odbyła się re-

wizja na owej pensji, i inne jakieś nieprzyjemne dochodzenia. Wszystkie nieuzasadnione zarzuty zostały jednak odparte. A ta cała sprawa wpłynęła bardzo ujemnie na opinję pani Naczyńskiej, która teraz bezapelacyjnie całą winę swego niepowodzenia przypisywała Poplinowi, robiąc mu wymówki, że przez niego straciła pracę i opinję w tem mieście, z którego będzie musiała się usunąć. To oczywiście wpłynęło na przyśpieszenie jego projektu rozwiedzenia się z żoną i pobrania się z panią Naczyńską, gdyż tak zakochał się w niej, że wprost nie wyobrażał sobie bez niej życia. Zapomniał o tem, że tylko swej żonie zawdzięczał wyrwanie się z piekła bolszewickiego, gdzie życie jego wisiało na włosku.

I tam bowiem w Rosji, gdzie zajmował jedno z czołowych stanowisk, charakterem swym narobił sobie pełno wrogów, którzy tylko czyhali na to, żeby zemścić się za wszelkiego rodzaju przykrości, doznane od niego.

Żona zaś jego, w gruncie rzeczy poczciwa kobieta, pochodząca z bogatej rodziny, datkami i rozmaitego rodzaju poparciem wpływowych ludzi z wielką trudnością wyrwała go z „czerezwyczajki“ i wywiozła do Polski.

Nie przywiązał się też i do dzieci, które były bardzo miłe, kochały ojca i doskonale się uczyły.

Stosunek jego obecnie do rodziny był wogóle bardzo przykry. Z żoną był ciągle w nieporozumieniu. Dzieci zaś unikał, starając się jaknajmniej z niemi rozmawiać.

Pomału też poczynił już kroki rozwodowe, oczywiście w sekrecie przed żoną. Adwokat zaś, który podjął się tej sprawy, zaręczał mu w prędkim czasie dodatni rezultat. Największą przyczyną do rozwodu miała być prawosław-

na religja Poplinowej i dzieci chrzczonych w cerkwi prawosławnej.

Wiadomość ta dostała się do całego społeczeństwa owego miasta, i będąc przez wszystkich komentowana na rozmaity sposób, tylko zwiększyła liczbę nieprzyjaciół Poplina. Niektórzy bowiem niedwuznacznie dawali mu do zrozumienia, co o nim myślą.

W dyrekcji też, w której pracował Poplin, zmieniły się warunki do niepoznania. Ministerstwo, widząc, że sprawy służbowe prowadzone są wadliwie, i że na częste uwagi i notacje nic się nie poprawia, zmuszone było naznaczyć nowego prezesa.

Nowy zaś prezes, po objęciu dyrekcji nadzwyczaj szybko zorjentował się gdzie znajduje się cały ciężar niedomagania tego ogromnego aparatu, i wziąwszy w swe własne ręce cały bieg sprawy, uregulował wszystko.

Urzędnicy teraz dopiero odetchnęli po kilkunastomiesięcznej walce z sadystą i brutalnością, i jakby przebudzeni po koszmarnym ciężkim śnie, poczuli się spokojnie i dobrze.

Gorzej przedstawiała się sprawa Poplina i jego adherentów. Poplinowi bowiem, którego przeniesiono do innego wydziału, odebrano prawie zupełnie władzę. Ulubieńcy zaś jego, stracili swój grunt pod nogami, i stali się maluczcy i cisi, siedząc spokojnie jak myszy pod miotłą. Inaczej mówiąc stało się sprawiedliwości zadość. Szkoda tylko, że pokrzywdzonych nie nagrodzono.

XIII

NA DNIE ŻYCIA

Pan Karyński pogodziwszy się z losem, ograniczył wydatki do minimum, lecz mieszkania swego nie likwidował, nie chcąc pozbawiać chleba Agatki, która już tyle lat u niego gospodarowała.

Uważał też, że trudno byłoby mu z Osmanem pomieścić się gdzieś w jednym pokoju, co narazie zamierzał uczynić. Spodziewał się, że niedługo już nadejdzie odpowiedź z Rosji sowieckiej, w sprawie jego dawnych dowodów służbowych, o co powtórnie napisał. Wówczas zaś otrzymać taką emeryturę, z której będzie mógł skromnie się utrzymać, nie zmieniając dotychczasowego sposobu życia.

Obecnie głowił się tylko nad tem, jak wybrnąć z tych zobowiązań, które zadeklarował, zakupując meble i rozmaite rzeczy w perspektywie swego ożenku. Na spłacanie ratami tych zobowiązań potrzeba mu było około 300 złotych miesięcznie, a tu pobory jego emerytalne, nie dochodzące do całej setki, nie wystarczały nawet na najskromniejsze utrzymanie domu. Ratował się więc tem, że pozwracał zakupione i nieużywane meble i inne przedmioty kupcom za połowę ceny. Resztę wypłat sprolongo-

wali mu wierzyciele w oczekiwaniu przerachunku poborów.

Tymczasem pan Wiktor czując swą krzywdę i niedolę wprost wstydził się ludzi. Nie bywał nigdzie, przesiadywał tylko w domu, dopiero późnym wieczorem wychodził z Osmanem na przechadzkę w pole, lub mniej ludne ulice, starając się z nikim nie spotkać.

Wielu jego dobrych i życzliwych znajomych, wiedząc o jego kłopotach materjalnych z chęcią przyszłoby mu z pomocą, choćby w charakterze pożyczki, lecz wiedząc o tem, jak Karyński był wrażliwy na punkcie materjalnym, nie ośmielili się nawet robić mu takiej propozycji.

A tu czas ubiegał i nastawała ciężka zima, która każdego naraża na większe wydatki. Na domiar złego spadł na pana Wiktora wyrok sądowy na mocy którego zapłacić miał przeszło 1000 złotych za kolegów, za których poręczył.

To zmusiło go do zlikwidowania mieszkania, zwolnienia Agatki, sprzedania za bezcen cenniejszych przedmiotów, i przeniesienia się do jednego pokoiku na facjatce w niedużym domku na przedmieściu.

Poczciwy Osman, obecnie jedyny kompan jego niedoli, doskonale wyczuwał zmartwienie swego pana. Widząc jak pan Wiktor boryka się z swym losem, jak cierpi nie mogąc zaspokoić ciągle go nachodzących wierzycieli, tylko skomlał, łasił się i lizał pana po rękach. W ten też sposób nieraz dodawał mu bodźca do znoszenia niedoli, która go ciągle na rozmaite sposoby prześladowała i zniechęcała do życia.

Dla siebie był bardzo mało wymagającym. Kącik na

strychu z ogrzanym piecem, szklanka mleka lub herbaty z kawałkiem suchego chleba, wystarczały mu aż nadto. Żałował tylko swego jedynego przyjaciela, który przyzwyczajony był do krupniku na ochłapach. Teraz zaś nie miał mu ani gdzie, ani za co ugotować. Więc też i Osman musiał poprzestać na chlebie, zalanym ciepłem mlekiem. Obaj też przy takiem życiu wyglądali mizernie. Karyńskiemu ściągnęła się ogromnie twarz, którą zdobiła dobrze już osrebrzona bródka i szpakowate wąsy. Osman zaś maskował dużą płową sierścią i chwaścistym ogonem swe zapadłe boki.

Gospodarz, u którego wynajął pan Wiktor pokoik, z powołania ogrodnik, żądał za tę dziurę 25 złotych miesięcznie, dowodząc, że trzeszczące schody na strych i sklecona klitka z wyrzniętym w dachu oknem, kosztowały go bardzo drogo. Wreszcie dodawał lakonicznie, że choć tam jest nieelegancko, lecz za to wygodnie.

I tak znów życie biegło temu rzeczywiście szaremu już człowiekowi, który chodząc po skrzypiącej podłodze swej klitki, przemyśliwał nad tym problemem:

— Dlaczego ta kapryśna dola przerzuca tylu ludzi w szare kąty, i zmusza ich tak ciężko wegetować? Dlaczego wielu niezasłużonych cieszy się dobrobytem, a nieraz i zbytkiem? Dlaczego został przez złego człowieka wytrącony z karjery urzędniczej, a przez to i z orbity życiowej? Czyż swą starannością, wprost pedanterją służbową, i lojalnością, zasłużył na te zepchnięcie go w ten szary kąt życia? I cóż na tem zyska instytucja w której tyle lat uczciwie pracował?

Osman, leżąc pod stołem, jakby wyczuwał myśli swe-

go pana, gdyż w tej klitce nie miał już swego kąta, łypał ślepiami za chodzącym panem Wiktorem, od czasu do czasu pomrukując coś pod swym czarnym nosem.

Pan Wiktor jeszcze raz napisał podanie do Rosji, powołując się na poprzednie i prosząc o wysłanie żądanych dokumentów, i czekał cierpliwie, znosząc wszelkie dolegliwości, związane z niedostatkiem.

Pewnego dnia otrzymał list z Ameryki od pana Czeskiego, w którym tenże donosił, że już uporał się z interesami spadkowemi, pospłacał pewne legaty, i że cały interes prowadzi z doskonałym wynikiem. Przy tem zwracał się do pana Karyńskiego z prośbą o radę, gdyż poznawszy w Kurytybie córkę wychodźca naszego, niejaką pannę Malwinę, bardzo miłą, dobrze wychowaną i wykształconą Polkę, zamierza wstąpić z nią w związek małżeński. Że panna Malwina, jest niezamożna, lecz bogobojna i dobra Polka, z daleka gorąco kochająca swą macierzystą ojczyznę, którą opuściła będąc jeszcze niemowlęciem. Że interes jego koniecznie wymaga dobrej gospodyni. I że swatają go z paru ładnemi bogatemi Amerykankami. Serce zaś jego i uczucie patrjotyczne skłaniają się ku skromnej i miłej pannie Malwinie, lecz doradcy namawiają go, by poszedł tam gdzie, jest lepszy interes. Prosi więc pana Karyńskiego, jak ojca rodzonego o wyrażenie swego zdania, do którego on się zastosuje.

Pan Wiktor natychmiast odpisał mu, żeby bezwzględnie poszedł za głosem serca. Że bogactwo nikomu szczęścia nie przynosi. Że otrzymawszy spadek po stryju, jest zamożnym człowiekiem, więc gdy spotkał szlachetną i dobrą Polkę, niech ją poślubi, a Bóg napewno im po-

błogosławi. Że małżeństwo jest wówczas tylko szczęśliwe, gdy miłość i wzajemna życzliwość stanowi jego spójnię. Z takiego tylko stadła rodzi się szlachetne i pożyteczne pokolenie.

O swem wyjściu ze służby nic nie wspominał. Jakby wstydził się za tych, którzy z nim tak postąpili. Wreszcie nie chciał, żeby tam za oceanem Polacy dowiadywali się o tego rodzaju stosunkach w Ojczyźnie.

Chwilowo błysnęła myśl panu Wiktorowi, czyby nie poprosić o pożyczkę pana Czeskiego, którą by natychmiast zwrócił po nadejściu papierów z Rosji. Długo nad tem myślał, lecz nie odważył się tego zrobić. Uważał, że toby wyglądało tak jakby kazał sobie zapłacić za uczynione mu w swoim czasie usługi. Postanowił więc o swem położeniu nic absolutnie nie pisać. Kiedyś tylko napomknął, że z panią Naczyńską stosunki się zerwały, więc też ukłonów od niej nie przesyłał. Natomiast w każdym liście słał serdeczne pozdrowienia od ich czworonożnego przyjaciela, co zawsze Osmanowi tłumaczył. I teraz też po napisaniu i zaklejeniu koperty, co Osman doskonale obserwował odezwał się do niego:

— No Osmanku! przesłałem i od ciebie ukłony naszemu przyjacielowi z za Oceanu. A teraz pójdziemy na spacer.

Dzień styczniowy choć mroźny, piękny był i słoneczny. Gdy więc pan Wiktor wyszedł w pole, gdzie w promieniach słońca szkliły się miljardy kryształków śniegu na gałęziach przydrożnego jałowca i innych krzewów, Osman zaczął wyprawiać swe harce. To skakał przez rowy, to obwąchiwał jakąś skibę podorywy, to pędził za wroną,

która żerując w polu, podrywała się z miejsca na miejsce, i znów na chwilę powracał do nóg swego pana. Patrzał mu w oczy, szczeknął parę razy, a gdy ujrzał jego pobłażliwy wzrok, i usłyszał zwykłe w takich razach słowa:

— No! lataj, lataj Osmanku, kiedy słonko przygrzewa i niema błota — całym pędem puszczał się przed siebie w pole, i po kilku minutach powracał. Aż zmachawszy się dobrze, kroczył za nogami pana do domu, by z wielkim apetytem spożyć skromny posiłek, jakim obecnie odżywiali się obydwaj.

Pan Wiktor bowiem z otrzymanych poborów po zapłaceniu komornego i opału, pozostawał z tak małą ilością gotówki na cały miesiąc, że na nic więcej nie mógł sobie pozwolić. Kontent był bardzo z tego, że nie posiadał żadnych nałogów i że miał maleńki zapas bielizny i garderoby, co mu dawało pewność, że nie będzie chociaż gołem ciałem po ulicy świecić.

W takich warunkach zeszła zima, a odpowiedzi z Rosji ani słychu. Natomiast spotkała go inna nieoczekiwana siurpryza, oto kwietniowe pobory, za które postanowił choć na wielkanocne święta kupić kawałek mięsa, okrojono mu o 20 złotych. A gdy zwrócił się do dyrekcji z reklamacją, spotkał się z odpowiedzią, że pobory wszystkim, tak czynnym jak i w stanie spoczynku urzędnikom zostały o piętnaście procent zmniejszone. Jemu zaś do tego doszło jeszcze jakieś przerachowanie. Wiadomość ta uderzyła go jak obuchem po głowie, lecz nic nie odpowiedział na to. Nikomu się nie użalał i nikomu nie otwierał swego skrwawionego serca. Ból i jakiś żal zaprowadziły go na ten stryszek, który nazywał się jego pokojem.

Wezbrane już i długo tłumione uczucie żalu tak osłabiło jego nerwy, że usiadłszy w kącie swej klitki, zapłakał gorzko. Tu w ukryciu przed okiem ludzkiem dał ujście swej goryczy, która przepoiła cały jego organizm, całe jego jestestwo. Chwilowo błysnęła mu myśl poco przyjechał do kraju? Czy nie byłoby lepiej, gdyby go bolszewicy wykończyli „pod ścianką“?

Długo siedział w zamyśleniu i skupieniu ducha, przeżuwając wszystko to, co już przecierpiał i ze strachem myśląc o tem, co mu dola gotuje w przyszłości. Pozostało mu bowiem 60 złotych miesięcznej gaży, a więc za mało, żeby opędzić najskromniejsze wydatki, ale za dużo, by skończyć śmiercią głodową.

Czując jeszcze siłę i chęć do pracy, starał się gdzieś ulokować, choćby na najmniejszem stanowisku, lecz cóż? Wszystko nadaremnie. Wszyscy bowiem pomimo iż znali jego zdolności i nieskazitelny charakter, odmawiali mu przyjęcia na jakąbądź posadę. W rządowych bowiem i komunalnych instytucjach niewolno było przyjmować żadnych emerytów. W prywatnych zaś ze względów czysto dyplomatycznych, gdyż albo nie chciano się narazić na nieżyczliwość pana Poplina, który znany był ze swej mściwości, lub też krępowano się byłego starszego urzędnika przyjąć na podrzędne stanowisko. Nigdzie więc nic nie mógł dostać, a wszędzie go zbywano tylko obietnicami i zaręczeniem o wielkiej dla niego życzliwości.

O ironjo losu! Wszak największa życzliwość obecnie polega na tem, żeby żadnego najszlachetniejszego uczynku nie okazać bliźniemu, o ile ten uczynek nie podobałby się osobie takiej, na której nam coś zależy! Więc też

pan Karyński doskonale zrozumiał jaką go tu życzliwością otaczają, i doszedł do przekonania, że tu nie uda mu się żadnej pracy otrzymać.

Postanowił więc czekać jeszcze jakiś czas, a ostatecznie pojechać do Warszawy i wnieść podanie do ministerstwa.

I znów biegły coraz już dłuższe i cieplejsze dnie, które pana Wiktora wraz z Osmanem wyganiały w pole lub do lasu, żeby choć nacieszyć się piękną przyrodą i odetchnąć balsamicznem powietrzem. Tego już nikt nie mógł pozbawić biednego człowieka. Tę łaskę przyrody z woli Bożej największy nędzarz mógł bezpłatnie czerpać. Korzystał też z niej i Karyński ze swym jedynym przyjacielem, nieraz po całych dniach o suchym kawałku chleba przesiadując w polu.

Wygląd już tego człowieka, choć szaty jego jeszcze całe były, był bardzo mizerny. W całym swym majątku, oprócz zniszczonego ubrania, posiadał jedną cenniejszą rzecz w postaci złotego zegarka. Skarb ten jego jedyny stanowił cenną dla niego pamiątkę. Zegarek ten bowiem kupił sobie przed kilku laty, za jedną jedyną remunarację, jaką wówczas otrzymał za swą wydajną pracę, dzięki sprawiedliwości ówczesnego prezesa św. p. Wysockiego. Pamiątkę tę zachował z pietyzmem gdyż ona przypominała mu lepsze czasy i szlachetnego zwierzchnika.

W takim stanie rzeczy czas szybko przechodził i zbliżała się ciężka jesień bardzo uciążliwa dla biednych ludzi.

Tak jakby skamieniały siedział na taborecie około okna pan Wiktor, u nóg zaś jego leżał nieodstępny towarzysz niedoli Osman.

Dziś bowiem spotkał go nieoczekiwany bolesny cios.

Znów otrzymał o piętnaście złotych okrojoną pensję. A gdy poszedł do dyrekcji dowiedzieć się przyczyny, wyjaśniono mu, że wszystkim czynnym i emerytowanym funkcjonarjuszom zmniejszono pobory. Pocieszono go tylko tem, że już więcej obniżek nie będzie.

Powracając do domu, przytłoczony nowym ciosem, zwiastującym niedostatek, widział widmo zbliżającej się, strasznej nędzy. Zrozumiał, że już z tych kilkunastu złotych miesięcznie, jakie ma w perspektywie otrzymywać nie będzie mógł opłacać klitki na strychu. Że będzie musiał się rozstać ze swym najbliższym przyjacielem. Ten cios był dla niego największy. To zwierzę bowiem było najwierniejszym powiernikiem jego wszelkich przeżyć.

Wszystko więc to, co przeżył pan Wiktor w ostatnich latach, bardzo sceptycznie usposobiło go do ludzi, bardzo rzadko bowiem pomiędzy nimi spotykał prawdziwego Człowieka. W tym więc tylko czworonożnem zwierzęciu wyczuł bliskie, przywiązane do siebie stworzenie i strasznie bolał nad koniecznością rozstania się z niem.

Ten cios poderwał i tak już sterany organizm pana Karyńskiego i powalił go na łóżko.

Jedynym opiekunem stał się Osman, który dzięki swej wrodzonej zmyślności i inteligencji, potrafił czynić wszelkie niezbędne posługi swemu panu. Chodził bowiem z koszykiem i pieniędzmi po chleb, otwierał drzwi mleczarce i t.d. A kiedy pan Wiktor zapadł na gorączkę z maligną, to Osman wyciem i skowytem sprowadził gospodarza.

Gospodarz zaś nie tyle z litości, ile z obawy, by nie mieć kłopotu w razie śmierci pana Karyńskiego, dowiedziawszy się, że kiedyś leczył go doktór Siemaszko, które-

go tu wszyscy znali i poważali, dał mu znać o stanie pana Karyńskiego.

Doktór Siemaszko natychmiast odwiedził chorego, a gdy ujrzał taką nędzę, zimno i głód, nadesłał paliwo, prowjanty, i kazał na swój koszt doprowadzić tę klitkę do możliwego porządku.

Codzień regularnie go odwiedzał. Dostarczył lekarstw. A miła i szlachetna pani Siemaszkowa przysłała choremu doskonały rosół lub buljonu, a potem już i kawałek kury w potrawce.

Oczywiście, że na tej akcji ratunkowej korzystał i jego dotychczasowy czteronożny opiekun, gdyż jemu zwiększyła się codzienna racja, i zaczęły się zaokrąglać zapadłe boki.

Po upływie kilku tygodni chory zaczął przychodzić do zdrowia. A gdy rekonwalescenta odwiedził doktór Siemaszko, pan Wiktor ze łzami odezwał się do niego: — Panie doktorze! Jakże się odwdzięczę panu za tyle dobroci i łaski?

— Et głupstwa pan mówi! Żadnej łaski panu nie zrobiłem, spełniłem tylko swój obowiązek, wszak pan jest moim pacjentem — odpowiedział zacny lekarz i szlachetny człowiek, w jednej osobie.

— Przecież tyle mi pan dobrego wyświadczył i naraził się na takie koszta!

— Węgiel, który panu przysłałem bardzo niewiele kosztuje, gdyż sprowadziłem sobie cały wagon po zniżonej cenie. Talerz rosołu zaś, który żona panu przysłała, również nie robi nam żadnej różnicy ani kłopotu, natomiast sprawia jej wielką przyjemność, że panu smakuje

i służy na pożytek — dawał mu wykrętną odpowiedź ten szlachetny człowiek.

— Od kogo innego byłoby mi bardzo trudno cośkolwiek przyjąć, lecz od państwa biorę to, gdyż wiem od jak zacnych ludzi to pochodzi — odpowiedział pan Wiktor, ściskając prawicę doktora Siemaszki.

Potem pan Wiktor powiedział mu, że zmuszony jest wyjechać do Warszawy celem podjęcia starań o przyśpieszenie przerachunku jego emerytury, względnie złożenia osobiście prośby ministrowi o ponowne przyjęcie go na służbę. Że z tego powodu zmuszony jest zlikwidować swe mieszkanie i ma straszny kłopot z Osmanem, którego nie ma gdzie umieścić.

Na to doktór Siemaszko zgłosił chęć wzięcia Osmana do siebie, dopóki pan Wiktor odpowiednio się nie urządzi i zaręczył mu, że pies będzie miał wszelkie wygody, gdyż oboje z żoną bardzo lubią zwierzęta.

Ostatnie chwile Osmana spędzone wspólnie z panem Karyńskim były dla obu bardzo ciężkie. Pan Wiktor bowiem nie tyle myślał o swojej wycieczce do Warszawy i w perspektywie o doli jaka go tam czeka, chociaż przeczuwał, że będzie musiał zwalczać wiele przeszkód i przeciwności, piętrzących się na jego drodze, ile o rozstaniu się z tym poczciwym psem. Osman zaś swym psim instynktem przeczuwał, że coś tu musi się dokonywać. Że spotka go coś nieoczekiwanego. Coś co wstrząśnie całem jego psim jestestwem. Przez ostatnie więc dnie nieodstępował swego pana ani na chwilę. Krok w krok włóczył się za nim, zaglądając mu ciągle w oczy i od czasu do czasu pomrukując coś pod nosem.

Najcięższe były ostatnie chwile ich rozstania się. Kiedy bowiem wszystkie graty z facjatki powynoszono i pan Wiktor usiadł jeszcze na jedynym w tej rezydencji taburecie i odezwał się do Osmana:

— No drogi i jedyny przyjacielu! Musimy się rozstać. Widzisz sam, że niema innego wyjścia. Lecz idziesz do dobrych ludzi, gdzie nie będziesz miał żadnej krzywdy. Ja zaś o tobie nigdy nie zapomnę i podejmę wszelkie starania byśmy mogli choćby najskromniej z tobą razem wegetować.

Tu Osman jakby rozumiejąc wszystko, wzniósł się na swych łapach do twarzy pana, i liżąc go, coś pomrukiwał. Pan Wiktor zaś siłą woli wstrzymywał łzy z żalu i przywiązania do tego stworzenia.

XIV

PAN KARYŃSKI W STOLICY

I tak pan Karyński znalazł się na bruku warszawskim. Warszawa bardzo się zmieniła po wojnie światowej. Z niedużego zapuszczonego przez moskali miasta wprost w mgnieniu oka przeobraziła się w stolicę jednego z europejskich państw, przybierając od dawna jej należne szaty. Pan Wiktor po powrocie z Rosji w końcu 1919 roku mieszkał w Warszawie parę tygodni. Stąd bowiem był wydelegowany na placówkę, którą zajmował do wyjścia na emeryturę. Brak środków materjalnych nie pozwolił mu wówczas zwiedzić wielu osobliwości kulturalnych i historycznych. Wiele ciekawych placówek, które pomimo prześladowań i ucisku moskali z mozołem udało nam się utrzymać oglądał wówczas tylko pobieżnie. Dopiero potem, podczas urlopów odwiedzał muzea, pałace, i inne ośrodki historyczne, tak sromotnie ogołocone przez barbarzyńców, którzy wszystkie cenne rzeczy i pamiątki historyczne wywozili do swoich stolic. Wszystko to jednakowoż co widział zrobiło na nim ogromne wrażenie i dopowiadało mu to, czego niedomówili mu jego dziadkowie, którzy dawno w Rosji opowiadali mu o tej Polsce potężnej, z którą liczyły się narody świata.

Pan Karyński w Warszawie nie był parę lat, gdyż brak

czasu, potem stan narzeczeństwa, nakoniec zwolnienie go ze służby w tem mu przeszkadzały. Obecnie zaś wprost nie poznawał tego miasta. Przedewszystkiem oszołomił go ogromny ruch jaki ujrzał na ulicy Marszałkowskiej. Następnie wspaniałe witryny ogromnych sklepów i magazynów. Na placu Napoleona zadziwił go drapacz podniebny, a gdy mu powiedziano, że takich w Warszawie przybyło już kilkanaście, poszedł oglądać i tamte. Zachwycał się nowemi gmachami ministerstw, Dyrekcji Kolejowej i Banku Gospodarstwa Krajowego. Odwiedził też i nowopowstałe dzielnice na pustkowiach warszawskich, gdzie nie tak dawno tylko wichry szalały, lub męty wielkomicjskie szukały schroniska. Dziś zaś ujrzał prześliczną willę, wygodne domy, piękne ogrody i obszerne, ładnie urządzone publiczne parki. To mu najbardziej uzmysłowiło prace naszego rządu. Doskonale zrozumiał, że nareszcie znów jesteśmy narodem, z którym liczyć się trzeba. Że stolica nasza przybiera szaty godne macierzy trzydziestopięciomiljonowego narodu. Zrozumiał, że dzieło odbudowy, tak imponującej zawdzięczamy tylko jednemu człowiekowi, który nietylko wyrwał nas z pęt niewoli, lecz potrafił silnie ocementować budowany przez siebie gmach by stał się wieczną naszą fortecą. Pomyślał więc sobie: — Cóż znaczy moja niedola wobec tego, co tu dokonano! Czyż w zakresie tak wielkiej pracy można uniknąć jakichkolwiek uchybień! Niech że ta moja niedola będzie ofiarą na ten spiżowy gmach naszej Macierzy!

Pan Wiktor mając bardzo skromne fundusze, gdyż nie całą setkę za sprzedany pamiątkowy zegarek, musiał się z groszem ogromnie liczyć. W żydowskiej więc dziel-

nicy w maleńkim hoteliku zajął ciemny pokoik za 2 złote na dobę, i odżywiając się w najskromniejszych jadłodajniach, w dalszym ciągu zwiedzał miasto, gdyż dopiero na środę uzyskał audjencję u pana ministra.

Z tą audjencją również nie było tak łatwo, jak się komu zdaje. Panowie ministrowie nie mają czasu ani chęci przyjmować wszystkich petentów, nieraz nudnych i nieodpowiednio do nich skierowanych. Takich więc kwalifikował specjalnie na to naznaczony urzędnik. I albo naznaczał petentowi dzień audjencji, co się zdarzało bardzo rzadko, lub też kategorycznie odmawiał dopuszczenia go do ministra, radząc złożyć podanie w biurze podaniowem.

I panu Karyńskiemu tłumaczył urzędnik, że wystarczy wyłuszczyć swą prośbę w podaniu i czekać na odpowiedź.

Gdy jednak pan Karyński stanowczo domagał się dopuszczenia do ministra, urzędnik ten, aczkolwiek z miną zdetronizowanego króla, naznaczył audjencję na przyszłą środę, gdyż tylko w tym dniu pan minister petentów przyjmował.

Pan Karyński zjawił się też we środę w ministerstwie uzbroiwszy się w podanie, w którem szczegółowo opisał swe przejścia służbowe, obecne swe rozpaczliwe położenie, i prosił o powtórne przyjęcie go na służbę.

Poznany przezeń urzędnik przyjął go dzisiaj dosyć grzecznie, chociaż bardzo powściągliwie, i wskazał mu elegancko urządzoną poczekalnię, mówiąc:

— O godzinie 11 pan minister zacznie przyjmować.

W sali czekało już sporo osób rozmaitej kategorji, i tak: jakaś elegancko ubrana, średnich lat pani w żałobie. Kil-

ku starszych panów z wyglądu obywateli ziemskich. Kilku kupców izraelitów, zapewne handlarzy drzewem, i kilku młodych ludzi, najprawdopodobniej kandydatów na posady biurowe.

Obszerna sala z ciemnem obiciem w dębowy deseń, z pięknemi widokami rozmaitych okolic Polski w ciemnych dębowych ramach na ścianach, robiła wrażenie oficjalnej rezydencji.

Pan Karyński usiadłszy w kąciku na wygodnem krześle, przemyśliwał, jak go też pan minister przyjmie? Ciekaw był, jak ten pan wygląda. Czy stary, czy młody? Czy sympatyczny i uprzejmy, czy też szorstki w obejściu. Nie znał go bowiem.

Na tych myślach, które się snuły po jego głowie czas mu ubiegał, aż na zegarze, stojącym w kącie pokoju na marmurowej podstawie wskazówka stanęła na godzinie 12. Pana ministra wciąż jeszcze nie było.

A kiedy dochodziła godzina 14 i oczekujący dobrze już zdenerwowani zwrócili się po wyjaśnienia do urzędnika, ten oznajmił, że pan minister dziś nie może nikogo przyjąć, gdyż jest na bardzo ważnem posiedzeniu. Natomiast tych petentów, którzy mają pilne sprawy przyjmie pan dyrektor departamentu. Innym zaś zaproponował przybycie w przyszłą środę o godzinie 11 rano.

Pan Karyński, niemniej rozgoryczony jak inni, opuścił poczekalnię i zmierzając na ubogi obiad rozmyślał, ile dni jeszcze będzie czekać na tę audjencję i czy ona mu co pomoże w jego sprawie.

W przyszłą środę zjawił się wcześniej i najpierwszy zo-

stał do poczekalni wpuszczony. Potem dopiero zaczęli się zjawiać inni, aż znów wypełniła się sala oczekującymi.

O wpół do dwunastej otworzyły się drzwi w przeciwległym końcu sali, i w nich zjawił się ten sam urzędnik, który zapisywał petentów, i wypowiedziawszy głośno nazwisko pana Wiktora, wpuścił go przed oblicze pana ministra.

Tu w obszernym gabinecie, obitym ciemnozielonemi tapetami i umeblowanym sprzętami, obitemi takiegoż koloru pluszem, za obszernym biurkiem, zawalonym papierami, siedział pan lat około 50, o miłej twarzy, trochę łysawy, z przystrzyżonemi wąsami, w ciemnym marynarkowym garniturze. Pan ten nieznacznie obejrzawszy Karyńskiego, zmarszczył trochę brwi i oczy, jakby sobie coś przypominając i wskazując krzesło, odezwał się:

— Proszę niech pan siada i wyłuszczy swoją prośbę.

Tak wygląd, jak i zachowanie się tego pana zrobiły na panu Karyńskim bardzo dodatnie wrażenie, więc też wręczając mu przygotowane podanie w krótkich słowach opisał swą straszną krzywdę i nieszczęśliwe położenie, dodając:

— Panie ministrze! Nigdybym nie ośmielił się swą osobą zajmować czas panu, lecz nie mam innego wyjścia. Tu bowiem tylko może znajdę sprawiedliwość. Nic nie chcę za krzywdę jaką mi wyrządzono, a tylko proszę o jaką taką pracę, żeby w ostatnią nędzę nie popaść. Choćby tylko do czasu, nim me papiery z Rosji nie nadejdą.

— Dobrze, rozpatrzę to wszystko, i dam panu odpowiedź. Czy w podaniu wskazał pan swój adres? — zapytał minister oglądając złożone mu podanie.

— Tak jest panie ministrze! lecz wobec tak ważnej i pilnej dla mnie sprawy, pragnąłbym zgłosić się po odpowiedź osobiście.

— A czy pan mieszka stale w Warszawie?

— Nie, lecz specjalnie w tej sprawie tu przyjechałem.

— Więc dobrze, proszę przyjść od dziś za dwa tygodnie, we środę. Wówczas może będę już mógł coś konkretnego panu powiedzieć — odpowiedział minister szczerze i serdecznie podawszy mu rękę na pożegnanie.

Karyński wyszedł z ministerstwa z wielką otuchą. Według jego zdania minister był szlachetnym i uczciwym człowiekiem, który napewno zrozumie jak wielką mu krzywdę zrobiono i postara się ją naprawić. Postanowił więc czekać.

Gorsza sprawa była z gotówką, która pomimo jego wielkiej oszczędności, znacznie mu topniała. Obliczył więc, że przez kilkanaście dni pobytu w Warszawie wydał już przeszło pięćdziesiąt złotych i niewiele mu już zostało na powrót do domu. A tu trzeba jeszcze 14 dni żyć i mieć jaki taki dach nad głową. Przemyśliwał więc nad tem, jak wybrnąć z tego położenia? O życie się nic nie troszczył, parę bułek i szklanka mleka dziennie, w zupełności wystarczały dla jego ściśniętego żołądka. Najtrudniej było o nocleg, który zawsze w miastach największe koszta pochłania.

Myślał więc, czyby nie spróbować nocować na dworcach kolejowych, których jest kilka w Warszawie, i postanowił ten projekt w czyn obrócić. Uregulował więc zapłatę w hoteliku, i wziąwszy swoją maleńką walizeczkę, powędrował na miasto. Łaził tak bez celu, odpoczywając w

ogrodach i na skwerach gdzie znalazł wolną ławkę, aż do późnej nocy. Potem powlókł się na Dworzec główny. Tam, w ciągłym zgiełku, ścisku, pełnym chaosie, przeszła mu noc, podczas której pomimo znużenia ani oka nie zmrużył. Nietylko że nie miał się gdzie położyć, ale wprost nie miał miejsca, żeby wygodnie usiąść. Kiedy więc zaczęli o piątej rano zamiatać salę i sprzątać, poszedł znów na miasto, by się gdzieś przy jakiej studni umyć, i choć na ławce nogi wyprostować. Ze znużenia odczuwał ból głowy i oczy miał jakby piaskiem zasypane. Wlókł się tak po ulicach długo, szukając gdzieby mógł dokonać toalety.

Miasto zaś budziło się po nocnym spoczynku. Pogoda wiosenna zapowiadała się piękna. Pod promieniami słońca ustępował chłód i wiał wiosenny wietrzyk. Na ulicach jeszcze nie było tłumu, pojawiali się tylko jacyś tragarze z koszami jarzyn i włoszczyzny na plecach, wieśniaczki ze swemi tłumokami, dostarczające nabiał i inne produkty z okolicznych wsi do stolicy. Gdzie niegdzie śpieszył się jakiś rzemieślnik, lub robotnik do roboty. A od czasu do czasu przelatywał tramwaj, wypełniony robociarzami, śpieszącymi do fabryki na ranną zmianę, lub dorożka wioząca pasażera mocno sfatygowanego po nocnej libacji. Wśród tego tłumu wynędzniałe pacholę z pełną paczką gazet pod pachą wykrzykiwało: „Ekspres poranny", „Ponura zbrodnia szantażysty" lub też „Głodowa śmierć bezdomnego".

Pan Wiktor wysupłał ze swej maleńkiej kasy dziesiątkę i kupił dziennik z myślą, że może to i o nim dzienniki wkrótce taką samą wiadomość podadzą.

Za Żelazną-Bramą znalazł na placyku studnię, gdzie pojono konie przybyłych na targ włościan, i przemywano zieleninę i włoszczyznę. Tu więc mógł śmiało choć trochę się orzeźwić po ciężkiej nocy. Potem na ławce skwerka placu Bankowego, spożył parę bułek i jął wertować ciekawy dziennik, doskonale zaanonsowany przez małego kolportera.

Resztę dnia przewałęsał się po ulicach i skwerach a na noc poszedł na dworzec Wschodni. Miejsce noclegu chciał zmienić, żeby w jednym miejscu nie wzbudzać ciekawości, lub jakiego podejrzenia. Sądził, że na tym dworcu nie ma takiego ogromnego rozgardjaszu, więc lepiej sobie odpocznie. Ale i tutaj zawiódł się, do godziny drugiej bowiem, to jest do ostatniego pociągu panował zgiełk i chaos niemniejszy, jak na głównym dworcu, a potem wszystką publiczność usunięto i dworzec zamknięto. Biedny nasz tułacz wyszedł też ze swą walizkę na ulicę Pragi, chodząc bez celu aż do rana. Potem znów gdzieś na peryferjach umył się, zjadł parę świeżych bułek i wlokąc się już ku mostowi Kierbedzia, spostrzegł otwarty kościół św. Florjana. Wszedł do niego, czując potrzebę ukorzenia się przed majestatem Boskim i uproszenia siły i cierpliwości. Usiadłszy tu w kąciku ławki obok niszy zatopił się w gorącej modlitwie. Karyński nie był bigotem, lecz wierzył w Boga i jego sprawiedliwość i to mu dodawało siły do znoszenia wszelkich dolegliwości życiowych.

Niedługo też w kościele zaczęła się odprawiać primarja. Potem kilka mszy przy rozmaitych ołtarzach. P. Wiktor pomodliwszy się myślał, o życiu doczesnem i o znikomości

człowieka. Zastanawiał się nad tem, poco podejmujemy tyle zabiegów, nieraz nawet zbrodniczych dla zdobycia jakiegoś bogactwa, majątku, choćby nawet bytu wygodnego, kiedy nic nie ma trwałego. Wszak przychodzi jedna chwila, która przecina pasmo życia naszego, pozostawiając po nas tylko garść prochu? Ale pozostaje po nas wspomnienie, długie nieraz lata zachowane przez nasze pokolenie. Wspomnienie, które potem przechodzi w historję i żyje wieki całe.

A nad tem wszystkiem od wieków króluje nad nami dotąd niezbadana tajemnica duszy naszej.

Wszechmoc Boska pozostawiła bowiem nierozwiązaną przed nami tę zagadkę, widocznie potrzebną dla egzystencji doczesnej, i nie dosięgłą krytyce człowieka.

Wśród takich rozmyślań znużony p. Wiktor popadł w stan jakiejś kontemplacji i usnął mocno, obudził się dopiero gdy miano zamykać kościół. Dowiedział się, że jest już po 12.

A więc w domu Bożym w spokoju i chłódku przespał pare godzin. Sen ten pokrzepił go ogromnie. Orzeźwiony wyszedł z kościoła i przez most poszedł ku starej Warszawie.

Na Piwnej ulicy wstąpił do jakiejś kawiarenki, pożywił się szklanką gorącej kawy i kromką chleba z masłem i poszedł obejrzeć rynek starego miasta, upiększony już malowniczą ornamentacją i polichromją. Najdłużej zatrzymał się koło kamienicy Baryczków i winiarni Fukiera. Bolał nad tem, że nie mógł wnętrza tych zabytków zwiedzić, lecz oglądając po kilkanaście minut każdy z tych

domów myślą przenosił się do tych czasów, które znał z historji.

Potem znów spacer po skwerach i Saskim ogrodzie i nocleg na dworcu Gdańskim.

Tu w ogólnej poczekalni upatrzył sobie jakiś kącik na ławce, na której się nieźle ulokował i podłożywszy sobie swą walizeczkę pod głowę zasnął dosyć smacznie.

Już było dobrze po piątej, gdy go obudził posługacz kolejowy, robiący porządki w sali. Zerwał się też na równe nogi i zauważył, że z pod głowy ktoś mu zabrał walizkę.

Zmartwił się tem ogromnie, gdyż w walizce miał parę zmian bielizny i potrzebne drobiazgi, na których kupno obecnie nie miał pieniędzy. I ten tak dotkliwy wypadek ofiarował Panu Bogu, rozumując, że może ten, kto przyczynił mu tę szkodę był jeszcze biedniejszym od niego. Wszak on miał nadzieję jeszcze coś otrzymać, choćby w postaci należnej mu emerytury po nadejściu oczekiwanych papierów. A może z powrotem zostanie przyjęty na służbę. A iluż jest takich nieszczęśników, którzy już nic się nie spodziewają, nic nie oczekują, chyba tylko śmierci gdzieś w rynsztoku, a w najlepszym razie pod bramą jakiego domu?

Tak tułał się nasz bohater po Warszawie ze stoicyzmem i cierpliwością, znosząc wszelkie niewygody i głód w oczekiwaniu owej środy. Ten dzień, o którym ciągle myślał, stanowił jego „być albo nie być“. Od rezolucji bowiem jaką miał usłyszeć od p. ministra, zależała cała jego przyszłość. Parę słów tego człowieka miało rozstrzygnąć jego losy. Wszak obecnie był nietylko maleńkim pyłkiem, zni-

komym atomem wszechświata, lecz chorym atomem bez należnej mu podstawy. Był jak ten pyłek, który niema nawet gdzie osiąść, a w powietrzu utrzymać się nie może.

Tego dnia więc czekał niecierpliwie, jak skazaniec oczekujący łaski zmiłowania. Z tą tylko różnicą, że skazaniec dożywotnio zamknięty w więzieniu, ma zapewnione nędzne bodaj utrzymanie. Pan Karyński zaś nawet i tej gwarancji nie posiadał. To go strasznie gnębiło i przerażało, że pozostaje prawie bez środków do utrzymania. Że nie będzie mógł zabrać do siebie Osmana, do którego ogromnie tęsknił.

Nareszcie nastał upragniony dzień dla p. Karyńskiego. O oznaczonej godzinie poszedł do ministerstwa i tu oczekiwał swojej kolejki na audjencję.

Pan minister przyjąwszy go bardzo grzecznie, odezwał się do niego:

— Panie Karyński! Pomimo mej najszczerszej chęci, przyjąć pana z powrotem na służbę nie możemy, ponieważ został pan zpensjonowany. To byłoby bardzo trudne, wprost niemożliwe. Wchodząc jednak w pańskie położenie i chcąc przyjść panu z pomocą, zarządziłem, by nasze ministerstwo zajęło się odszukaniem pańskich dowodów w Rosji. Według zrobionego tu obrachunku pobierałby pan wówczas przeszło 300 złotych pensji miesięcznie. Zdaje się, że to będzie najlepsze wyjście z całej tej sytuacji.

Pan Karyński spoczątku przeraził się odmową przyjęcia go z powrotem na służbę, lecz widząc życzliwe ustosunkowanie się do jego sprawy, uspokoił się i odpowiedział:

— Panie ministrze! najserdeczniej dziękuję za zajęcie się moją sprawą, lecz nim nadejdą papiery czeka mnie straszna nędza, gdyż obecnie nic nie posiadam, prócz tego, co mam na sobie.

Na te słowa odpowiedział minister po pewnem zastanowieniu:

— Wyasygnujemy panu tymczasem wsparcie, które panu cokolwiek ulży materialnie. Mam wrażenie, że wnet nadejdą pańskie papiery i że otrzyma pan cały przerachunek.

Na tem audjencja się skończyła i pan Karyński jeszcze raz podziękowawszy, wyszedł chwiejnym krokiem z gabinetu ministra.

Wychodząc z ministerstwa poinformował się u dyżurnego urzędnika, kiedy ma się zgłosić po obiecane mu wsparcie. Kazano mu przyjść za dwa tygodnie.

Na tem więc skończyły się jego starania i zabiegi w stolicy.

XV

„W CYRKU".

Pan Wiktor zgnębiony i zdenerwowany wyszedł z ministerstwa na ulicę. Idąc ulicami, złamany na duchu czuł się jakimś dziwnym przeżytkiem, jakimś niepotrzebnym przedmiotem, ciążącym sobie samemu i całemu otoczeniu. Jakimś destruktem, zabierającym tu tylko miejsce szczęśliwszym i młodszym, którzy z natury mają większe prawo do życia. Rozmyślał więc nad tem, dlaczego to obecnie tak się dzieje? Dlaczego niejeden szkodnik państwowy ukryty pod pancerzem stosunków i protekcji, nietylko że utrzymuje się na powierzchni, lecz awansuje i nieraz dochodzi do wysokiego stanowiska? A on, tak uczciwy, tak rozmiłowany w swym kraju, i w majestacie jego włodarzy, zostaje wyrzucony poza krąg tego, co nazywamy, najskromniejszą egzystencją. Jest już dziś najmarniejszym nędzarzem, bez jutra, bez dachu nad głową, bez kromki chleba.

Dlaczego stał się takim wykolejeńcem? Wszak żadnym słabostkom nigdy nie podlegał. Nie pił, w karty nie grał, narkotyków nie używał, żadnych nadużyć nie popełniał. Dewizą jego była uczciwa i szczera praca dla społeczeństwa, dla ojczyzny. I cóż się z nim teraz stało? Czem teraz jest, i zaco go tak strasznie Bóg ukarał?

Cóż miał obecnie począć? W kieszeni posiadał zaledwie kilka złotych. A gdzież dach nad głową? Wszak kilkanaście złotych miesięcznej emerytury nie wystarczy mu na najnędzniejsze utrzymanie, dopóki nie nadejdą dowody. A nikt mu przecież złamanego grosza nie pożyczy.

Tak rozmyślając szedł ze spuszczoną głową po ulicach gwarnej Warszawy. Szedł bez żadnego celu, bo gdzież i pocóż miał się śpieszyć? Wszak nikt go nie oczekiwał, nie miał z kim się spotykać, i nie miał komu na swą dolę się uskarżyć. Jedno słońce lipcowe doń się uśmiechało jakby chcąc swemi promieniami jego smutną stroskaną pochyloną głowę ugłaskać. Tak więc bezwiednie doszedł do alej Ujazdowskich i upatrzywszy wolną ławkę usiadł na niej, dalej snując swe zrozpaczone myśli.

Potem poderwało go coś i znów powlókł się dalej w stronę łazienek Królewskich. A gdy ujrzał rozwartą bramę wszedł i za innymi podążył ku pałacowi. Tu na placyku usypanym żwirem koło stawu bawiło się kilkanaścioro dzieci. Piękne ich pucułowate, rozróżowione buzie, beztroski szczebiot i nawoływania się przy zabawie, zwróciły uwagę biednego wykolejeńca. Gdy stanąwszy na mostku, obok ciemnego buka jął się przyglądać pięknym anielskim twarzyczkom, nietkniętym jeszcze zgnilizną życia i pożądań, przypomniały mu się jego dziecinne lata. Wszak i on był kiedyś tak beztrosko-szczęśliwym, ukochanym jedynakiem. Wspomniał tę chwilę, porównał z obecnym swem położeniem i mimowoli ze zmęczonych, niebieskich oczu jego potoczyły się ciężkie łzy żalu.

Długo tak stał wpatrzony w te ziemskie cherubinki, a

szczebiot ich i wesoły śmiech wchłaniał w siebie, jak balsam na największe cierpienia, myśląc: Kochane wy, drogie dzieci! Aby Bóg was ustrzegł od złej doli na tym padole. Abyście nigdy w swem życiu nie zboczyły na manowce i nie przyczyniały ludziom zła.

Tak myślał, stojąc w cieniu brunatnego buka, a potem automatycznie posunął się przed siebie. Doszedł do pięknego klombu obsadzonego ładnym, wonnym kwieciem, pośród którego fijoletowy heljotrop swym zapachem wprost odurzał spacerowiczów. Tu znów przystanął, spozierając na taflę mieniącej się w świetle słońca wody, na której wspaniale pływały piękne łabędzie. Tu też spostrzegł mitologiczne figury, stojące nad stawem i takież same na dachu pałacu Łazienkowskiego. To przypomniało mu dawny majestat Królewski. Tego ostatniego Króla, który taki wielki miał zasób wiedzy, kultury i smaku estetycznego i tyle tego dał swemu państwu. Nie mógł tylko na ówczesnym naszym wulkanie zabezpieczyć spokoju, i zagwarantować państwu wolności. I to go nieszczęśliwego wykoleiło. Myślał więc Karyński. — Czy ten wielki człowiek, ówczesny magnat i arystokrata był szczęśliwszym niż on obecnie? Nie! Stokroć razy nie. Gdyż on ma przeświadczenie, że Ojczyzna wyrwawszy się ze szponów siepaczy, zakwitła cudnym kwiatem wolności, i staje w należnym jej ordynku mocarstw Europy. Ten wielki wygnaniec zaś, do ostatnich dni swego życia cierpiał spowodu upadku swego państwa.

Tak myśląc przeszedł na prawą stronę stawu, zmierzając za pałac w stronę Agrikoli, i przechodząc około dawnej Podchorążówki, wspomniał tych młodych dawnego

pokolenia, którzy nie mając w sercu ani źdźbła niewolnictwa, nie znieśli tego poniżenia, w kilkudziesięciu porwali się na ciemięzcę, i wykurzyli go z nieprawnie zajętego gniazda. A chociaż wówczas sił i jedności brakło, jednak czynem swym stwierdzili że Polska żyje. Że Polak nie spocznie póki wolności nie odzyska. I oto te bohaterskie czyny nie poszły na marne. Z krwi i niedoli, z mąk i cierpień powstał Człowiek, wskrzesiciel naszego państwa, Marszałek Piłsudski.

Przenosząc się myślą do tej przeszłości, i porównując z nią obecny nasz stan, usiadł niedaleko pomnika Sobieskiego, tego wielkiego króla i obrońcy chrześcijaństwa od najazdów hord Otomańskich, i już zupełnie zrównoważony i uspokojony rozmyślał o dawnych i obecnych dziejach naszego kraju.

Długo tak przesiedział zatopiony w przeszłości, jakby chcąc wywołać wizję tych dwuch duchów dawnych wielkich ludzi i zapytać ich, jaką przyszłość rokują naszemu narodowi?

Gdy ocknął się z tej kontemplacji duchowej, ujrzał że obok niego na ławce siedzi jakiś jegomość, którego poprzednio nie dostrzegł. Zaintrygowany tem, skąd on się tu wziął, obejrzał go dyskretnie, stwierdzając iż jest to średnich lat mężczyzna, o ziemistej szarej cerze, z krótką przystrzyżoną, trochę już szpakowatą bródką, w bronzowym podniszczonym miękkim kapeluszu, w szarym płóciennym płaszczu i w czarnych sztylpach do kolan. Obok zaś niego leżała nieduża paczka, zawinięta w starą gazetę i obwiązana sznurkiem. Człowiek ten siedział, jak auto-

mat, nie poruszając się, wpatrzony w taflę zielonkawej wody stawu.

Pan Wiktor, zaintrygowany osobą tego osobliwego jegomościa jął rozmyślać, kto to może być? Musiał to być bezwzględnie inteligentny człowiek, twarz jego na to wskazywała. Pan Wiktor więc pomyślał sobie, iż zapewne jest to taki sam biedak jak i on.

Po pewnym czasie Karyński zwrócił się do sąsiada z zapytaniem:

— Czy nie może mi pan powiedzieć, która teraz jest godzina?

— Niestety panie, dawno już nie posiadam zegarka, lecz sądząc po słońcu, będzie chyba już około czwartej.

Miłe brzmienie głosu i delikatna odpowiedź więcej jeszcze zaintrygowały p. Wiktora, więc też skłoniwszy się odpowiedział:

— Dziękuję panu bardzo. Ja również niedawno musiałem rozstać się z pamiątkowym zegarkiem.

— Ach, panie! Więcej jest takich, lecz to jeszcze w wielkiej nędzy nie jest nieszczęście. Gorsza sprawa, jak ktoś nie ma obuwia na nogi, kapoty na bary, lub kawałka chleba w pustym żołądku. Człowiek w skrajnej biedzie zwykle robi się filozofem i na takie drobiazgi jak czasomierz, powóz, a nawet tramwaj, nie zwraca uwagi. Bo właśnie na co mu ten czas jest potrzebny? Wszak swego czasu w żadnej postaci nikomu nie daje, bo nikt od niego tego nie żąda i nie chce. Inna sprawa z głodnym żołądkiem i zimnem. To najwięcej biedacy odczuwają.

Po tej wymianie słów wywiązała się między nimi rozmowa, z której p. Wiktor dowiedział się, że ten pan jest

z zawodu agronomem, i na bruku warszawskim identycznie w takich samych jak on warunkach już od kilku miesięcy się znajduje. Że również przez los i przez złych ludzi został sromotnie skrzywdzony, i dla szukania sprawiedliwości oraz jakiegokolwiekbądź zajęcia, przyjechał do Warszawy, gdzie tylko powiększył grono nieszczęśliwych wykolejeńców, od których prawie wszyscy stronią.

Szczere i serdeczne opowiadanie tego biedaka tak usposobiło p. Wiktora, że i on coś-niecoś opowiedział o swem nieszczęśliwem położeniu, i między tymi dwoma towarzyszami niedoli zawiązała się jakaś życzliwa sympatja. To też gdy p. Wiktor użalił się na największe obecne swe zmartwienie, na brak dachu nad głową, to jegomość ten odpowiedział:

— Mój panie! Kolejno przeszedłem wszystkie etapy, dopóki nie stoczyłem się na dno nędzy ostatniej. Wówczas, kiedy znalazłem się w takiem samem jak pan dzisiaj położeniu, zmuszony byłem szukać w przytułku schronienia. I znalazłem je w osławionym „Cyrku“, o którym pan zapewne słyszał.

— Owszem słyszałem, że tam podobno najostatniejsze męty przytułek znajdują.

— Nie, panie, ktoś pana bardzo źle poinformował, tam bowiem dużo najnieszczęśliwszych wykolejeńców przytułku szuka, zapomnianych i zaniedbanych przez tych, którzy umieli się na powierzchni utrzymać.

— A więc to nieprawda, że tam tylko kryminaliści i rozmaite wielkomiejskie męty się gromadzą? — zapytywał z zaciekawieniem p. Karyński.

— Schronisko to jest pod opieką braci Albertynów,

których dewizą jest dać przytułek bezdomnemu człowiekowi, nie dochodząc tego, co go w tą nędzę wtłoczyło. Dlatego też trafiają się tam ludzie rozmaitej konduity i wszelakiego autoramentu. Jednakowoż każdy z tych nieszczęśliwych otoczony tam jest serdeczną opieką ze strony tych pełnych poświęcenia ludzi.

— Więc pan mówi, że tam trafiają się i ludzie uczciwi i inteligentni?

— Tak panie, bracia Albertyni każdego nieszczęśliwca przygarniają do siebie, a inteligentni mają nawet oddzielną salę. Więc radziłbym i panu zrzucić pychę z serca i skorzystać z tego dobrodziejstwa — dodał wykolejony agronom.

— Chyba, że trzeba ten kielich goryczy, który mi przygotowała nieszczęśliwa ma dola wychylić do dna — odrzekł p. Wiktor.

Potem wyszli już razem z Łazienek i powlekli się w biedniejszą dzielnicę, by tam za parę groszy zaspokoić dokuczliwy głód. A gdy już zaczęło się ściemniać podążyli ku sławetnemu schronisku, znajdującemu się przy ulicy Dzikiej pod Nr. 4. A gdy stanęli przed dużym drewnianym parterowym budynkiem, od ulicy okolonym sztachetkami za którymi rosły krzewy akacji, agronom odezwał się:

— No już jesteśmy u celu. Przedstawię pana bratu Józefowi, który jest tu przełożonym, i każdemu jak tylko może pomóc świadczy, pragnąc ulżyć jego nieszczęśliwej doli. Po czem zadzwoniwszy głośno rozbrzmiewającym dzwonkiem, zostali wpuszczeni do dużego ciemnego ko-

rytarza, do którego dolatywał szum i rozgardjasz z obszernych sal, znajdujących się wewnątrz budynku.

Z korytarza weszli na lewo do obszernej kancelarji, w której za stołem siedział dość młody jeszcze sekretarz, koło niego zaś, z boku na krześle w ciemnoszarym habicie średnich lat, miłej powierzchowności o łagodnych lecz przenikliwych oczach Albertyn, bratem Józefem zwany. Do niego to poszedł agronom i przywitawszy się z nim powiedział:

— Ojcze Józefie! Przyprowadziłem Wam tu jeszcze jednego lokatora, który zmuszony jest korzystać z Waszej dobroci. — Tu wskazał ręką na stojącego obok p. Karyńskiego, który ujrzawszy miłe oblicze człowieka w habicie, skłonił się, i spuścił oczy, jakby wstydząc się o coś prosić.

Brat Józef, jak widać, doskonale orjentujący się w takich razach, ośmielił go paru serdecznemi słowami:

— Bardzo prosimy!

Potem sekretarz zapisał do książki personalja pana Karyńskiego. A gdy następnie zaproponował mu złożenie w kancelarji swych dowodów i wszelkiej gotówki, jaką posiadał, p. Wiktor ponsowy ze wstydu, wysupłał całe osiem złotych, i oddał je na przechowanie.

Brat Józef, widząc jego zakłopotanie, odezwał się serdecznie:

— Niech pan się rozgości u nas. O tu proszę pana bony na dzisiejszą kolację i jutrzejszą herbatę z chlebem. Jeżeli ktoś może, to płaci nam za nocleg 5 gr., za kolację 15 gr. a rano za śniadanie 8 gr. Jeżeli zaś kto nie

posiada gotówki, to otrzymuje to bezpłatnie — powiedział brat Józef, spoglądając życzliwie na przybysza.

Na co Karyński wręczając sekretarzowi należne pieniądze, odezwał się:

— Bardzo dziękuję, lecz czy nie będę tu zawadą i ciężarem?

— Znajdziemy tu i dla pana miejsce. Właściwie nasz przytułek jest przygotowany na 250 osób, a przeciętnie nocuje u nas do 500. W zimie zaś nieraz frekwencja dochodzi do 700.

W trakcie tej rozmowy zauważył p. Karyński, jak nowi noclegowcy zgłaszając się do kancelarji, podawali do książki meldunkowej swe personalja. Pomiędzy nimi najwięcej było podupadłych rzemieślników i robociarzy. Po tych następowali drobni kupcy, handlowcy, oraz nieduży procent podupadłej lub wykolejonej inteligencji. Z tych niektórzy rekrutowali się z wolnych zawodów, lecz przeważali ilościowo zredukowani urzędnicy i oficerowie dawnych armij, a nawet i policji.

P. Karyński spostrzegłszy to, wykrzyknął głośno:

— Mój Boże! Wszak to nietylko mnie spotyka taka ciężka dola — potem zaś zwróciwszy się do brata Józefa zapytał: — Bracie kochany! Czemu należy przypisać, że tylu nieszczęśliwych szuka tu przytułku?

— Najliczniejsza rzesza naszych gości to ludzie psychicznie nienormalni, którzy nie mogli opanować steru życiowego i wykoleili się, pogłębiając się w coraz większe męty. Z nich niektórzy zatracili już wstyd i wszelką etykę, schodząc na najniższy szczebel, i nie przebierają w środkach zdobycia pieniędzy na gorzałkę, a nieraz i na nar-

kotyki, którymi chcą zagłuszyć swe cierpienia. Są to poprostu chorzy, niebardzo bezpieczni dla otoczenia i traktować ich trzeba jak dzieci. Bywa też u nas dużo zredukowanych urzędników, lub pracowników umysłowych, dawniej zatrudnionych w fabrykach i biurach przemysłowych, obecnie zamkniętych. Jest też sporo reemigrantów, którzy bez żadnych materjalnych środków powrócili z zagranicy. A nie brak i takich, którzy chwilowo znajdują się w kłopotach materjalnych. Ci ostatni są tylko przejściowymi pensjonarjuszami naszego schroniska, z którego korzystają po parę dni a najwyżej po kilka tygodni. Potem zaś wkolejają się znów w normalne życie. Najważniejszą zaś przyczynę tego wszystkiego, przypisałbym psychozie i warunkom powojennym, które wielu wyprowadziły z równowagi — dokończył brat Józef.

Potem, przeprowadziwszy p. Wiktora przez kilka ogromnych noclegowych sal, przepełnionych nocującymi, którzy zgiełkliwie i głośno rozmawiali z sobą, skierował się do jednej z mniejszych sal, w której nocowali przeważnie ludzie inteligentni. Tu zwróciwszy się do znanego nam już agronoma, odezwał się:

— Niech żeż się pan zajmie panem Karyńskim, zapozna go z obecnymi tu, zaprowadzi do sali jadalnej na kolację, a potem wskaże mu miejsce do spania. Tymczasem żegnam panów i proszę rozgościć się w tej naszej ciasnocie — poczem, podawszy im rękę, odszedł.

W sali, w której przeznaczono nocleg p. Wiktorowi, znajdowało się kilkudziesięciu jegomości w rozmaitym wieku. Wszyscy oni byli skromnie, lecz czysto ubrani. Twarze ich o inteligentnym wyglądzie, wskazywały lep-

śże pochodzenie. Każdy był czemś zajęty: jedni układali swe rzeczy w maleńkich walizeczkach, drudzy na pryczach robili papierosy, niektórzy zaś siedząc przy ustawionym na środku sali stole, czytali pisma i gazety. Na wchodzącego nocnego przybysza zbytnio nie zwracali uwagi, jakby apatycznie przyjmując nowicjusza do swego grona.

Agronom podprowadziwszy p. Wiktora do znajdujących się pod ścianą prycz, objaśnił mu:

— O tu widzi pan na tych pryczach śpimy po dwuch w takiej kratce. Ja śpię na dolnych pryczach, nademną zaś są dwa rzędy, na których sypiają przeważnie młodsi. Jest tu coprawda twardo i nie bardzo wygodnie, gdyż niema żadnej pościeli, lecz zato czysto, bo żadne insekta nie mają tu oparcia. Przy tem codzień rano zmuszeni jesteśmy opuszczać przytułek, gdyż tu codzień jest wszystko myte strumieniami wody z kranów.

Potem przedstawił p. Karyńskiego najbliższym swym sąsiadom. Byli to przeważnie starsi wiekiem urzędnicy zredukowani. Prowadząc zaś p. Wiktora na kolację do sali jadalnej, odezwał się jeszcze:

— Panie Karyński, gdyby pan chciał, to mógłby pan spać ze mną na jednej pryczy?

— Ależ owszem, będzie mi bardzo miło i będę panu za to bardzo obowiązany.

W sali jadalnej, znajdującej się w drugim budynku obok kuchni, przy kilkunastu stołach, okrążonych ławkami, siedziało kilkudziesięciu noclegowców, z apetytem pałaszując smakowity kapuśniak z chlebem sitkowym. A zapach tego jadła, jak widać smacznie i zdrowo przygo-

towanego, pobudzał apetyt tych bezdomnych ludzi, którzy już dawno przy swem własnem ognisku tego dobra nie zażywali.

A kiedy obydwaj zajęli miejsce w końcu jednego stołu i gdy podano im dwie czyste miseczki tego kapuśniaku, w którym pływały kawałki miękko ugotowanych skórek słoniny, i dwie potężne kromki pachnącego chleba sitkowego, agronom odezwał się:

— Niech no pan spróbuje tego jadła i powie mi szczerze, jak panu to smakuje?

Pan Wiktor, zjadłszy tej zupy parę łyżek, odpowiedział:

— Mnie wydaje się to tak smaczne, jakbym nigdy nic lepszego od tego nie jadł i zaczął z wielkim apetytem spożywać swą porcję.

Na to mu agronom odpowiedział:

— My tu wszyscy jesteśmy głodni i odzwyczajeni od smacznych domowych, choć prostych potraw.

Po kolacji nastąpiło w salach noclegowych odczytywanie przez braci Albertynów wieczornych modlitw.

Poczem wszyscy udali się na spoczynek.

Pan Wiktor pod głową ułożył swą marynarkę i tak pierwszą noc przepędził w sławetnym „Cyrku“.

XVI

W OCZEKIWANIU ZAŁATWIENIA SPRAWY

Nazajutrz p. Wiktor, choć dobrze wyprostował swe kości i nieco się przespał po kilku niewyspanych nocach, obudził się bardzo wcześnie, skoro tylko słonko zajrzało w okno. Odczuł przedewszystkiem powietrze zgęszczone przesycone potem i rozmaitemi wyziewami, gdyż na taką ilość nocujących w stosunkowo niedużej sali, nie wiele pomagały wentylatory, urządzone u góry okien. Nadto twarda prycza nie bardzo była wygodna dla wychudłych jego żeber. Bolały go kości, więc też spokojnie, żeby poruszeniem się nie obudzić leżącego obok niego agronoma, wstał, poszedł do okna i oparłszy się o framugę, wdychał świeże powietrze, napływające przez wentylatory. Długo tak stał na wpół omdlały i zmęczony, aż przyszedł do równowagi, i po kilkunastu minutach położył się lekko na pryczy, oczekując pory kiedy już będzie mógł wstać i umyć się.

Myślą też przeniósł się w niedawno odległe czasy. Wspomniał swych kolegów z biura, stosunek ze zwierzchnikami. Nieudolność prezesa i nikczemność Poplina, którzy przyczynili się do jego dzisiejszej nędzy i ruiny. Stanęła mu przed oczyma jak żywa i p. Naczyńska, dla której parę lat życia swego ofiarował. Te parę lat, w których

po za nią nic innego na świecie nie widział. Prócz niej nikt i nic go nie interesowało. Dla której wszystko co posiadał, wszystko, co najdroższe mu było, byłby ofiarował. I cóż za to otrzymał? Straszne rozczarowanie. Nie dziwiło go to wcale, że mogła go nie kochać i niewdzięczna była za jego przywiązanie do niej, gdyż pewna różnica w ich wieku i może jej przyzwyczajenie do wygód i komfortu stały tu na przeszkodzie. Ale ten straszny fałsz i obłuda z jej strony, kiedy to udając życzliwą mu narzeczoną spotykała się z Poplinem i wraz z nim knuła zgubę dla niego, dla swego przyszłego niby męża. I tu porównał te dwie kobiety, które stanęły na drodze jego życia. Tamta w głębokiej Rosji, której piękność, zdawałoby się dobroć, tak na niego wówczas, młodzieńca podziałały, że wprost świata po za nią nie widział. A teraz ta, która ratując swe życie przed bolszewickimi siepaczami, znalazła wygodny azyl w Polsce, i potrafiła wzniecić w jego wrażliwem sercu tak gorące uczucie, a potem tak straszne rozczarowanie. Myślał więc teraz o tem, która z nich była więcej wyrafinowaną?

Zrozumiał aż nadto, że los nie pozwolił mu zakosztować szczęścia edenu i na tem już dziś krzyżyk postawił, lecz bolał nad tem, dlaczego tak dotkliwie musiał tego doświadczać? Dlaczego nigdy nie dane mu było zbliżyć się do dobrego człowieka? Jeden tylko pies był mu najwierniejszym przyjacielem.

Bo czyż okazał mu kto w życiu tyle serca i przywiązania, jak Osman? Ten nieodstępny w jego najcięższej niedoli towarzysz. I myśląc o tem, jak się piesek czuje i czy nie zapomniał o swym panu, postanowił choćby kores-

pondentkę napisać do doktorostwa Siemaszków. Chciał podziękować za opiekę w czasie choroby i przesłać pozdrowienia dla Osmana.

Na takich myślach przeleciało mu parę godzin, aż słońce już dobrze zaczęło dogrzewać.

Gdy w jakiś czas potem Karyński z agronomem spożywali śniadanie do ich stołu przysiadło się kilku zredukowanych urzędników i zawiązała się rozmowa, w której każdy opowiadał coś ze swych przeżyć i utrapień. A gdy p. Wiktor mniej więcej wyłuszczył historję zemerytowania go i złożenia podania do ministerstwa, jeden z obecnych odezwał się:

— Szkoda pańskich zachodów, na pańskie miejsce upatrzony już był ktoś inny. W biurze, w którym pracowałem, zredukowano 6 urzędników, a w trzy miesiące potem przyjęto 3 innych.

— Tak samo postąpili i w tej dykasterji, w której ja pracowałem — dodał drugi dosyć młody człowiek.

— Tak, proszę panów, straszne się wytworzyły u nas stosunki i ci, co pozostali, nie są pewni jutra, — odezwał się jeszcze jeden.

— Widzi pan ja na tę sprawę nie patrzę takiem krytycznem okiem jak panowie — odpowiedział im p. Wiktor.

— Ciekaw jestem, jak pan rozumie tę sprawę, — zapytał agronom, który dotychczas nic się nie odzywał.

— Badzo ciekawi jesteśmy, jak się pan na to zapatruje, — dodał jeszcze jeden z obecnych.

— Według mego przekonania dostała się do naszych urzędów spora ilość ludzi nieodpowiednich. Wielu też

urzędników bawiło się w niezdrową, przeciwną rządowi politykę. A tacy stawali się wprost szkodnikami państwowymi, więc trzeba było przeprowadzić selekcję. A że państwo nasze okrążone jest takimi sąsiadami, na których polegać ani liczyć nie można, uważam za bardzo właściwe obsadzenie urzędów ludźmi młodymi i wyćwiczonymi w wojskowym fachu. Bo naprawdę wszyscy powinniśmy być żołnierzami naszej Rzeczypospolitej, żeby już nigdy nie oddać Jej w niewolę.

— Ślicznie pan mówi! Widzę, że pan jest wielkim patrjotą i lojalnym zwolennikiem rządu, więc dlaczegoż pana zemerytowali niemal bez chleba pozostawiając? — zapytywał jeden z obecnych.

Pan Karyński uśmiechnął się pobłażliwie i odpowiedział:

— Proszę panów, za krzywdę swoją nie mogę mieć pretensji do rządu, który nie jest w stanie we wszystko wniknąć. Omyłki zdarzają się wszędzie. Wszak znacie panowie przysłowie: — Gdzie drzewo rąbią, tam wióry lecą.

— Moi panowie po tak długiej niewoli w jakiejśmy byli, nie tak łatwo uruchomić cały aparat bez jakichkolwiek bądź uchybień. Zwłaszcza, gdy najsampierw trzeba staczać boje z zachłannymi sąsiadami i swe granice umacniać. Lecz mam nadzieję, że w krótkim czasie wszystko się u nas wyrówna i wyklaruje, — dowodził p. Karyński.

— A czy pan ze swą skargą zwracał się do dyrektora departamentu administracyjnego? To jest jeszcze młody

człowiek, były legjonista i mówią, że jest bardzo sprawiedliwy i przystępny. Radziłbym panu spróbować pójść jeszcze do niego — odezwał się jeden ze starszych panów.

— O tak trzeba wszystkich środków wypróbować. Tembardziej, że takie sprawy ściśle odnoszą się do jego departamentu — dodał agronom.

P. Karyński po długim namyśle odpowiedział:

— Za parę dni będę w ministerstwie, więc postaram się zobaczyć z tym panem.

Po śniadaniu, kiedy wszyscy opuszczali schronisko, wyszedł i p. Wiktor razem z agronomem, lecz ku ich zmartwieniu dzień był słotny, i deszcz kroplisty wystraszał ludzi z ulicy, co spostrzegłszy p. Wiktor zapytał:

— Gdzież my teraz pójdziemy, żeby schronić się przed deszczem?

— Cóż robić, taka nasza dola! Jesteśmy jak te psy bezdomne, które nigdzie przytułku nie mają. Pójdziemy w stronę któregokolwiek dworca, gdyż tam tylko możemy schronić się przed deszczem i cokolwiek osuszyć — odpowiedział agronom.

I tak biedacy powlekli się w stronę dworca Gdańskiego. A gdy ich zaczął większy deszcz smagać, zatrzymywali się w bramach, stojąc w nich i bezmyślnie przyglądając się jak woda rozbryzguje się po kamieniach obrukowanej jezdni, lub jak przechodnie podkasawszy ubrania przebiegają, śpiesząc do własnych mieszkań. Oni zaś oprócz tej bramy i w perspektywie dworca kolejowego, z którego często policjanci bezdomnych wyganiają, nie mieli innego schroniska.

Szli wcale się nie śpiesząc i zachodząc coraz to do innej bramy, aż zaszli na dworzec, w którego sali zegar dopiero drugą godzinę wskazywał. Spostrzegłszy to p. Wiktor zapytał:

— Co my tyle godzin będziemy robić?

— Studjując rozkłady jazdy, których tu cała kupa wisi, przeschniemy trochę, a może i deszcz przestanie padać. Koło czwartej zaś pójdziemy na plac Muranowski do taniej herbaciarni. Tam się pożywimy, trochę posiedzimy, może jaką gazetę przeczytamy, a potem wrócimy do naszego Cyrku — odpowiedział agronom.

W ten sposób przewałęsali ten dzień, który więcej ich zmęczył i zdenerwował niż najciężej pracującego człowieka.

P. Karyński też myślał nad tem, co to będzie jak nastaną jesienne słotne dnie, a on jeszcze swej sprawy nie załatwi. Gdzie on się wówczas podzieje? Bo w lecie jeszcze pół biedy. Pójdzie do ogrodu, do łazienek. Wreszcie na Powiśle, gdzie również jest ładnie i uroczo. I tak mu jakoś dzień przeminie. Ale co będzie w jesieni? Żeby sobie wynająć tu w Warszawie jakiś kąt, potrzeba obecnie najmniej 25 złotych miesięcznie, a przecież on mało co więcej pobiera emerytury. Nic wystarczyłoby mu nawet na suchy chleb. Nie było więc innego wyjścia tylko trzeba było trzymać się Cyrku.

Wspomniał o obiecanym wsparciu. Sądził, że może to da mu możliwość opłacenia jakiegoś lepszego przytułku. Ale przypomniał sobie, że musi kupić choć jedną zmianę bielizny, buty i jakiekolwiek palto. Wszystko to bowiem, co przywiózł ze sobą na zapas, zostało mu skra-

dzione. I tak myślami o swej biedzie gryzł się od rana do wieczora.

W Cyrku prawie ze wszystkimi już poznał się. Znane mu były niedole i dolegliwości wszystkich, gdyż zawsze sobie wspólnie je opowiadali. Spotkał tam takich, którym już nic ani pomóc ani ulżyć nie mogło. On zaś jeszcze miał nadzieję, że mu krzywdę wynagrodzą. I ta nadzieja dodawała mu wiele otuchy i cierpliwości, dzięki niej optymistyczniej patrzał na całą przyszłość.

W kilka dni potem p. Karyński poszedł do ministerstwa po obiecane mu wsparcie. W biurze podawczem zawiadomili go, że mu wyasygnowano 100 złotych, tytułem zapomogi bezzwrotnej, i że do Rosji sowieckiej wysłano już pilny papier z prośbą o jaknajprędsze nadesłanie danych i dowodów potrzebnych do jego emerytury.

Po długiem wyczekiwaniu został też wpuszczony przed oblicze dyrektora departamentu administracyjnego.

Ten ostatni, młody człowiek o sympatycznej powierzchowności, przyjął go serdecznie, chociaż bardzo powściągliwie.

Na prośbę zaś jego o przyjęcie go chociażby na dziennie płatnego pisarza do czasu przerachowania emerytury —odpowiedział mu kategorycznie.

— Nie, panie! Emerytów my przyjmować nie możemy, gdyż z tego tytułu robią nam zarzuty w Sejmie. Nadto nie mamy wolnych stanowisk odpowiednich dla pana. Na niższe zaś stanowiska przyjmujemy młodzież zasłużoną.

Na takie dictum Karyński nie miał odpowiedzi, spuścił

więc tylko głowę, zamyślony i przesiedziawszy długą chwilę w skupieniu, odrzekł:

— Tak, panie dyrektorze, ma pan świętą rację, lecz i ja coś niecoś pracowałem dla ojczyzny, choć prawda nie w okopach i nie z bronią w ręku. Ale i na tych tyłach praca była konieczna! A za moją uczciwą pracę tak sromotnie zostałem skrzywdzony.

— Znam całą pańską sprawę, gdyż ją szczegółowo przewertowałem, i dla tego też przyśpieszyłem drogą dyplomatyczną żądanie od sowietów wysłania pańskich papierów. Mam nadzieję, że w kilka tygodni sprawa pańska już będzie załatwiona, zaś ci którzy wyrządzili panu tak straszną krzywdę zostaną surowo ukarani.

— Panie dyrektorze! Nie jestem mściwy i nic mi na tem nie zależy, żeby ci ludzie mieli ponieść karę!

Słowa te wypowiedział pan Karyński, nie wiedząc, że Najwyższa Sprawiedliwość wymierzyła już śmiertelnemu jego wrogowi zasłużoną karę. Poplin otrzymawszy rozwód, ożenił się z p. Naczyńską. Niedługo jednak cieszył się szczęściem małżeńskiem, został bowiem sparaliżowany, a co zatem poszło — zwolniony ze służby. I jakby na urągowisko, emerytura jaką mu wyznaczono mało co się różniła od pensji Karyńskiego. —

Dyrektor powstał z fotelu, dając do zrozumienia, że audjencja skończona, i podawszy Karyńskiemu rękę dodał:

— Niech pan będzie dobrej myśli, pańska sprawa będzie prędko i pomyślnie załatwiona.

Pan Wiktor, wychodząc z gabinetu dyrektora, uśmiechnął się ironicznie, przypomniał bowiem sobie nasze nie-

śmiertelne przysłowie: „Wśród najlepszych przyjaciół, psy zająca zjadły“.

Następnie poszedł do miasta, by za otrzymane pieniądze porobić sobie nieodzowne sprawunki, jak bielizna i inne potrzeby. Przy tem postanowił sobie choć raz jeden pójść do jakiejś choćby taniej jadłodajni i zjeść talerz dobrego rosołu, do którego zatęsknił.

Pragnął bardzo spotkać agronoma, by go uczęstować tym wymarzonym dla nich przysmakiem i poszedł szukać go do Łazienek.

XVII

ROZPACZLIWE ZAMIARY

I znów czas płynął swoim trybem. Warszawa, jak zwykle, w upalne letnie dnie wyludniła się. Pracownicy umysłowi wyjechali na świeże powietrze, by odpocząć i nabrać sił do dalszej pracy. Wielu też cierpiących wyjechało na kurację do uzdrowisk. Bogatsi zaś zagranicę dla wrażeń i przyjemności. Wszystkie więc parki i ogrody świeciły pustkami, chyba tylko w dnie świąteczne średnio zaludnione. Tylko mniejsze skwerki są całe lato przepełnione biedniejszą publicznością. To żony rzemieślników i robociarzy z niemowlętami na ręku i nieraz jeszcze dwojgiem maleństw przy sobie, w czas wolny od uciążliwej pracy przy swem maleńkiem gospodarstwie zażywają powietrza nieco zdrowszego, niż w suterynach.

Mieszkańcy Cyrku, którzy rano zmuszeni byli opuszczać ten jedyny swój przytułek, rozsypywali się na wsze strony po całem mieście. Każdy z nich myślał o przewałęsaniu gdzieś całego dnia. Ci zaś, którzy nie mieli ani grosza na kupienie bodajby kromki chleba na obiad, wysilali nad tem mózgownice jakby coś zarobić. Wielu więc z nich wprost żebrało na ulicy, lecz w jak największem oddaleniu od schroniska. To miejsce bowiem, jako jedyną swą ostoję szanowali bardzo i według swych zasad nie chcieli

go nigdy sprofanować. Nie było nigdy wypadku, żeby zrobili jakąś awanturę w tym przytułku, albo żeby wykazali jakąś krnąbrność lub nieposłuszeństwo względem administracji schroniska. Niech Bóg broni, samiby sromotnie się ukarali. A porządek ten i rygor umieli swą dobrocią i taktem wprowadzić bracia Albertyni. Jednakowoż jeść biedakom się chciało, więc też musieli w jakikolwiek bądź sposób zdobywać pożywienie. I tak rozprószywszy się po ulicy jedni sprzedawali na ulicach grzebienie, sznurowadła, lustereczka, zabawki, spinki, krawaty i t. d. Drudzy kleili szkło, porcelanę. To znów na targowiskach sprzedawali niewybrednej klienteli senniki, piosenki i wzorki do listów miłosnych. A byli i tacy, którzy urządzali loterję na cukierki lub rozmaitą drobną galanterję, a nawet i hazardzik w trzy karty. Ci po największej części nieźle wychodzili na swym przemyśle i już po południu posilali się w jakimś szyneczku, zakrapiając zdobyty grosz gorzałką. Biedniejsi zaś przemysłowcy z tej branży, byli zadowoleni gdy zarobili na ubogi obiad w jakiejś jadłodajni.

Wszyscy ci biedacy na noc ściągali o pewnej godzinie do swego Cyrku.

Pan Karyński, wstępował do którego z kościołów na mszę świętą. Potem zaś zwiedzał w towarzystwie agronoma świątynie warszawskie, oglądając i podziwiając w nich rzeźby, obrazy, mozaiki, polichromje i witraże. To zajmowało im wiele czasu i dzień tak się nie dłużył.

Co parę tygodni p. Wiktor dowiadywał się w ministerstwie czy nie nadeszła odpowiedź z Rosji i ciągle odchodził zmartwiony, gdyż tracił już wprost cierpliwość.

Tak przeszło kilka miesięcy i nastała przykra szara jesień. Jesień w stolicy w zachmurzone rozchlapane dni, gdy tylko wichry po ulicach hulają, rozpryskując po chodnikach ulewne strugi, nikomu nie jest miła. Wszyscy więc przelatują przez ulice, śpiesząc do biur, fabryk, sklepów i rozmaitych przedsiębiorstw. Niezależni materjalnie szczęśliwcy w takie dnie do południa nie wychodzą ze swych łóżek. Potem gorąca doskonała kawka, gazetka, pasjansik dla zabicia czasu. Paniusiom kominek sąsiedzki z jakąś poufną nowinką a potem smakowity obiadek z lampką wina dla konkokcji żołądka. Wieczorem zaś partyjka brydża lub pokera, albo seansik w bliskim kinie, lub taksówką do teatru. I tak ten szary dzionek przelatuje. Ale dla biedaków z cyrku, taki dzień jest straszny. To też bracia Albertyni w takie pogody, odstępują od zasady i pozwalają im pozostawać w przytułku. I tam w zaduchu, w zgiełku i rozgardjaszu, biedacy, jak mogą, tak sobie czas skrócają. Jedni przybliżywszy się do okna czytają jakąś gazetę lub broszurę. Niektórzy grają w warcaby, w woza lub durnia, gdyż hazardowe gry są zabronione. Inni zaś zgrupowawszy się w kupkę coś rozprawiają.

Bracia Albertyni w takie dnie nieodstępnie znajdują się w salach, zwracając uwagę na wszystko.

Pan Karyński wskutek swych przeżyć, a zwłaszcza obecnego upadku materjalnego, który doprowadził go do takiej nędzy, popadł w ogromną depresję. W ostatnich czasach zachowywał się jakoś dziwnie. To całemi godzinami przesiadywał jak automat wpatrzony apatycznie w jeden przedmiot. To zaś z wypiekami na twarzy

i z fosforycznie świecącym wzrokiem, przerzucał swe oczy z miejsca na miejsce, nie słysząc co kto do niego mówi.

Brat Józef, który na wszystkich zwracał baczną uwagę, a Karyńskiego bardzo polubił, spostrzegłszy to, wciągnął go nieznacznie do rozmowy i pocieszał go, że napewno niedługo już skończą się jego cierpienia. Radził mu tylko prosić Boga o cierpliwość, i zająć się jakąś lekturą, obiecując mu książki dostarczyć.

W taki słotny, zimny i ulewny dzień, w którym pozwolono pozostać noclegowiczom w schronisku, pan Wiktor, jakby bezmyślnie poszedł do największej sali, w której panował rozgardjasz między kilkudziesięcioma rozmawiającymi ze sobą ludźmi. Stanął na uboczu i obserwował ten dotąd mu jeszcze nieznany świat. Świat pełen mroków i cieni. Pełen niepowodzeń i rozmaitych nieszczęść. Świat, w którym kończy się szlachetność, etyka i uczciwość. Gdy więc pomimo swego zmartwienia przyglądał się ciekawie tym ludziom, do których go los zbliżył, podszedł do niego w lansadach niemłody już jegomość, o gładko wygolonej twarzy, niezgorzej ubrany i ogarnąwszy go swym wzrokiem, odezwał się:

— Co pan radca nam się tak przygląda, — fajni ludzie, żebym tak zdrów był. Najlepiej się poznać z nami bliżej, można na tem dobrze wyjść, jak kocham Boga! Tylko, żeby nie trafić na frajerów, bo to to wszystko jeszcze mikre, to tylko wsypa pewna. Tu jak radca widzi jest nas tylko paru szemranych, z którymi można cośkolwiek zrobić, a to wszystko mikrzaki nic nie warte, jak kocham Boga.

Pan Wiktor zdziwiony tak przemową, jak i osobą, odpowiedział grzecznie.

— Tak bezmyślnie patrzę na panów, nie wchodząc w tajniki ich duszy. Mam bowiem swe własne zmartwienie, które mi aż nadto wystarczy.

— A czego tam radca będzie się martwić? Jak człowiek ma zdrowie i łeb na karku, to kicha na wszystko. Grunt, panie, tylko chcieć i mieć odwagę, to grajbery będą. A jak tylko człek grajbery ma, to co mu więcej potrzeba? Niech radca sam powie!

— Nie wiem właściwie co to są grajbery?

— No nie wie pan? To są hopki, panie, za które wszystko na tym świecie można nabyć — dodał mu pokazując rękoma, jakby liczył pieniądze.

— Tak niestety, ja nie mam ani chęci ani potrzeby wysilać swej myśli na nieuczciwe zdobywanie pieniędzy.

— E panie radco! to przestarzały przesąd! Bo naprzykład czy bogacz, który miał możność legalnemi krętactwami dorobić się pokaźnej fortuny i teraz mieszka w pałacu, otrzymując ze wszech stron hołdy i ukłony, jest uczciwszym człowiekiem odemnie? Czyż ja, który dla zdobycia powszedniego kawałka chleba, zmuszony jestem zaglądać do cudzej kieszeni, i za to gniję ciągle w więzieniu, albo tu na twardych deskach w Cyrku, jestem od niego gorszym zbrodniarzem? Nie, panie, tylko jestem tak nieszczęśliwy, że nie mam możności nic legalnie ukraść.

— Panie kochany, ten wykład pański nie przekona mnie, że każdemu biedakowi wolno sięgać po cudzą własność. Szlachetnego człowieka wstrzymuje od tego wro-

dzone poczucie moralności i uczciwości. Ja naprzykład wolałbym śmierć głodową, niż przyswoić sobie cudzą własność.

— E, panie, z takimi poglądami, to niedaleko pan zajedzie!

— Ha, trudno, innym już nie będę.

— Niech no radca raz tylko spróbuje i pójdzie ze mną gdzie na robotę, a zobaczy radca, że to nie jest ani tak złe, ani ciężkie, a zarobek może być obfity, — powiedział zciszonym głosem.

— O jakiej robocie pan mówisz? Bo ja nic nie rozumiem.

— No o suchej! Bo na mokrą to bym z panem jeszcze nie poszedł. Niech mi pan tylko wskaże jakiego monetnego jegomościa, a już postaramy się o to by pan nie potrzebował poniewierać się tu w Cyrku. To gładko zrobi się i nikt nigdy nie dowie się o tem, — naszeptywał mu przybliżywszy się do niego.

Pan Wiktor aż odskoczył przerażony i wykrzyknął:

— Proszę się natychmiast odczepić odemnie!

W tym trakcie podszedł brat Józef zapytując:

— Co to takiego, czego on od pana chciał?

— Nic takiego, głupstwa mi tu gada, których nie mogę słuchać — odpowiedział p. Wiktor, nie chcąc oskarżać tego noclegowca.

A gdy przeszli z bratem Józefem do kancelarji ten odezwał się:

— Niechżeż pan będzie z daleka i ostrożnym z tym człowiekiem, bo to jest niebezpieczny jegomość. Tu

w przytułku bywa od czasu do czasu, jak go z więzienia wypuszczą i jak nie ma pieniędzy.

— A jak on się nazywa?

— Nazywają go Hipciem. Do ksiąg podaje inne nazwisko. A jak się naprawdę nazywa, to Bóg go raczy wiedzieć.

Po tej scenie ogarnęła p. Wiktora straszna depresja tak, że nie mógł, pomimo wstrętnej pogody, usiedzieć na miejscu. Poszedł więc na ulicę, którą w prostym kierunku doszedł do kościoła Franciszkanów, znajdującego się na rogu ulicy Franciszkańskiej i Zakroczymskiej. Tu wstąpił do otwartej świątyni, usiadł w ławce i długo rozmyślał nad swym losem. W stanie w jakim się obecnie znajdował, modlić się nie mógł. Myśl ciągle krążyła tylko w około jednego problemu. Zaco i naco tak cierpi? Stracił już bowiem nadzieję, że nadejdą z Rosji potrzebne papiery, i że poprawi się choćby cokolwiek jego sytuacja. Nic nie chciał, nic nie pragnął, tylko aby kącik własny mieć, choćby o suchym kawałku chleba, byleby nie patrzeć na tę straszną zgniliznę, której wprost znosić nie mógł. Teraz więc kiedy stracił wiarę w poprawę bytu, stracił cierpliwość i chęć do życia.

Wyszedł więc z świątyni i pomimo smagającego go w twarz zlodowaciałego deszczu i silnego listopadowego wichru, szedł wolnym krokiem przed siebie. Tak doszedł na Nowy Zjazd i dalej zmierzał do mostu Kierbedzia, rozmyślając:

— Na co mam żyć? Co komu, albo i mnie samemu z tego przyjdzie? Wszak nie mam jutra,, nie mam już żadnej nadziei na nic. Jestem teraz tylko ciężarem dla społeczeń-

stwa. Żywem widmem z tego Cyrku, którym wszyscy pogardzają. Jakąż gwarancję mogę mieć, że nie znikczemnieję jak tamci, jeśli tam dłużej zostanę? Nie! To już dosyć na jednego słabego człowieka! Nie mam siły więcej cierpieć!

Z temi słowami wchodził na most, a gdy przeszedł paręset kroków przeciw strasznemu wichrowi, spojrzał na Wisłę i błysnęła mu myśl.

— Skoczę tu do wody i będzie po wszystkiem! — Rozejrzał się dokoła, na moście nikogo nie było, złapał się za balustradę rękoma i już miał przeskoczyć, gdy ktoś uchwycił go za ramię ze słowami:

— Bój się pan Boga! Co pan robi?

Obejrzał się skonsternowany, koło niego stał policjant, o poczciwej dobrodusznej twarzy, wpatrzony w niego dziwnie życzliwym wzrokiem.

Karyński cały czerwony wybełkotał coś niezrozumiałego. A gdy go policjant zapytał:

— Co pan chciał zrobić?

— Dostałem strasznego zawrotu głowy, i mało nie upadłem — odpowiedział mu wykrętnie.

— To niech pan nie idzie piechotą przez most. Niech pan pojedzie tramwajem — odparł policjant, i przeprowadził go z powrotem do Nowego Zjazdu , obserwując go po drodze, jakby chciał wydrzeć tajemnicę jego strasznego projektu.

Pan Wiktor szedł z nim wolno, nie zdradzając się z niczem, a gdy doszli dalej już za most, odezwał się:

— No to kiedy taka pogoda, to już dzisiaj zaniecham wizyty na Pradze, a panu serdecznie dziękuję.

— A czy pan na prawdę na Pragę szedł? — zapytał patrząc nań z niedowierzaniem policjant.

— Tak, czyż pan mnie nie wierzy? Mogę się panu wylegitymować swemi dowodami, które mam przy sobie — odpowiedział mu spokojnie p. Karyński.

— Nie, nie potrzeba. Wiem, że pan jest uczciwy człowiek, tylko sądziłem, że może... może pan był czem zdenerwowany. — odpowiedział poczciwy policjant i pożegnawszy się, odszedł.

Pan Wiktor zaś podniecony, z wypiekami na twarzy, włócząc się po ulicach z nieodstępną myślą odebrania sobie życia, już późno w wieczór powlókł się na noc do do Cyrku.

W schronisku tem wszystko go irytowało, drażniło. Na przywitanie znajomych, lub inne jakieś zapytania odpowiadał z niechęcią, wprost opryskliwie. Ci nie obrażali się wcale na to, gdyż wiedzieli, że coś niesamowitego w nim się dokonywa.

Automatycznie spożył przy ogólnym stole kolację, i jak zwykle ułożył się w towarzystwie agronoma na swej pryczy do snu.

Z tem już było gorzej, zasnąć nie mógł wcale. Co zamrużył oczy, to całe jego życie, cała przeszłość, z ostatniemi przykrościami, jakie przeżywał obecnie, stawały mu przed oczyma. Tu znów błysła mu myśl. — Trzeba raz skończyć z tem wszystkiem. Powieszę się tu na haku koło okna. Wszak mam sznurek, którym związana jest paczka. Akurat wszyscy śpią, jedna lampka daje maleńkie światełko. Nikt mnie nie zobaczy i nie przeszkodzi — I już leciutko podniósł się z pryczy i zaczął rozwiązywać

swój tłomoczek w którym miał swą bieliznę, a który mu jednocześnie służył za poduszkę. Już rozplątał go, gdy usłyszał szmer i spostrzegł jednego z sąsiadów schodzącego z górnej pryczy do toalety, który zapytał go szeptem:

— Co to nie śpi pan, może co dolega panu?

— Nie mój panie, tylko chcę sobie wygodniej paczkę przypasować pod głowę — odpowiedział.

Potem ułożywszy się, nie spał całą noc, a myśli męczyły go strasznie. Medytował nad tem, co to jest, że nawet nie może spokojnie odebrać sobie życia? Nie dali mu się utopić. Teraz przeszkodzili mu powiesić się. Wprost jakieś fatum go prześladuje. Czyż koniecznie musi tak strasznie cierpieć? Parę godzin myślał o swem beznadziejnem położeniu i doszedł do przekonania, że już nic się nie zmieni i że jedynem wyjściem z tego jest tylko śmierć.

— Muszę to zrobić, ale tak, żeby mi już nikt nie przeszkodził. Pójdę rano niby na spacer na Powązki na tor obwodowej linji i tam rzucę się pod przechodzący pociąg towarowy. Dokumenty swe zostawię w kancelarji schroniska, więc jak ciało me zostanie poszarpane na drobne kawałki przez parowóz, to nikt nie będzie wiedział kto to był. Trudno, ciężkie me całe życie było, niech będzie i taki koniec — tak przemyśliwał do samego rana.

Dzień, jak na złość, był słoneczny, i jak na listopad pięknym można go nazwać. Pan Wiktor jakby pozornie uspokojony po herbacie sam wyszedł na ulicę. Tu już panował ożywiony ruch. Tramwaje biegły, taksówki przelatywały, ciężarowe wozy coś ciągnęły, a rozweselony ładną pogodą stołeczny ludek gremialnie wyległ na ulicę, wolno podążając w obie strony.

Pan Wiktor zatrzymał się na chwileczkę na chodniku, jakby namyślając się w którą stronę ma pójść, potem skręcił na prawo, w stronę Powązek, gdyż tędy często odbywał spacery koło toru obwodowego. Szedł więc dosyć prędko, nie zwracając na nikogo uwagi, a myślał tylko o tem, jak ma się rzucić pod pociąg, żeby nastąpiła natychmiastowa śmierć. Wtem gdy przychodził przez jakąś poprzeczną ulicę, wypadła z poza zakrętu elegancka limuzyna, jadąca dosyć prędko i o mało nie najechawszy na niego, zatrzymała się tylko o kilka centymetrów przed nim. W aucie siedział młody elegancki pan w futrze, w czarnym pilśniowym kapeluszu. Obok zaś niego miłej powierzchowności młoda szatynka. Na przodzie siedział pucołowaty wygolony, szofer o zalęknionej twarzy. Przy nim zaś ogromny jasny pies, przyglądający się swemi szafirowemi pięknemi ślepiami ożywionemu ruchowi ulicznemu. Kiedy tak niespodziewanie auto o mało nie wpadło na przechodnia, siedzący w aucie pan zerwał się z siedzenia i wykrzyknął.

— Ach, jakżeż pan jedzie!

Pies zaś zerwał się ze skowytem i momentalnie wyskoczywszy z auta, wsparł swe przednie łapy na ramionach pana Wiktora i z wielkim piskiem zaczął lizać jego twarz i ręce.

Ujrzawszy to i pan wyskoczył z auta, a gdy poznał p. Wiktora, wykrzyknął:

— Na litość Boga! Toż to pan Karyński!

Usłyszawszy to pani, która zajmowała miejsce w aucie podeszła również do p. Karyńskiego, lecz ten mając pełne oczy łez, jak długi runął na jezdnię. Pies zaś mrucząc i sko-

wycząc ułożył się przy nim, oparłszy swój łeb na piersiach p. Wiktora.

Widok ten zgromadził dużo ciekawych przechodniów, pomiędzy którymi znalazł się i student medycyny, który skonstatował silne omdlenie.

Natychmiast też znalazła się woda. Z jakiegoś sklepu podano walerjanowe krople. Policjant rozegnał gapiących się i docuconego p. Wiktora ułożono w aucie. Tu dopiero Karyński poznał p. Czeskiego, który był z żoną i Osmanem, i od nich dowiedział się, że jeździli po Warszawie w poszukiwaniu właśnie jego.

W hotelu zaś, w którym państwo Czescy mieszkali, dowiedział się, że p. Czeski nie mając długo listu od niego napisał do znajomych w tej sprawie. Otrzymawszy zaś odpowiedź alarmującą, natychmiast pośpieszył ze swą młodą małżonką, żeby go ratować. Po drodze wstąpili po Osmana i tu doktorostwo Siemiaszkowie opowiedzieli mu jakie koleje przechodził p. Karyński, i jak za jego uczciwą pracę obeszli się z nim jego zwierzchnicy.

W Warszawie już od paru dni poszukiwał p. Czeski starego przyjaciela, i po informację udawał się do ministerstwa, w którym go zawiadomiono, że w tych dniach nadeszły emerytualne dowody p. Karyńskiego. Wkrótce więc będzie przerachowanie należności, które wyniesie przeszło 300 złotych miesięcznie. Ubolewali tylko nad tem, że nie mając jego adresu nie mogą go zawiadomić o tem, P. Karyński usłyszawszy to, ze łzami w oczach wyrzekł:

— Ach Boże! Boże! Więc za co ja przenosiłem takie katusze? — I tu opowiedział o wszystkich swych przejściach, które doprowadziły go do tego, że nosił się z za-

miarem odebrania sobie życia, gdyż już nie miał więcej siły.

Państwo Czescy słuchali z wielkiem współczuciem. A jak dobrem sercem była obdarzona pani Czeska, dowodzi to, że słuchając tego opowiadania rozpłakała się. Poczem odezwała się do męża.

— Mój kochany! Nie możemy pana zostawić tutaj. Oboje nie mamy rodziców, niech on zastąpi nam ojca.

— O tak! Doznałem dużo dobrego od pana, i pokochałem go jak ojca. Więc niech pan jedzie z nami. Tam w Ameryce mamy dużo chleba. A pan będzie nam bardzo pożyteczny i potrzebny.

Pan Wiktor rozczulony tak zacnym sercem swych amerykańskich przyjaciół, uściskał ich i odrzekł:

— Moi drodzy! Jesteście zacni i szlachetni i dla tego kocham was, jak najdroższych i najmilszych mi ludzi, lecz z propozycji waszej niestety skorzystać nie mogę.

Tu nastąpiły wspólne uściski, w których i Osman wziął udział, okazując swą radość i liżąc zawzięcie ręce, a od czasu do czasu i twarz swego dawnego pana. Aż p. Czeski przerwał te czułości zapytaniem.

— Dlaczego więc pan pogardza naszym domem?

— Nie pogardzam moi kochani, tylko nie mogę porzucić swej Ojczyzny, do której tyle lat tęskniłem jeszcze wówczas, gdy w niewoli była. Teraz zaś pragnę widzieć, jak się rozwija i rozbudowuje.

— A może byłoby lepiej dla pana wyjechać i zapomnieć o wyrządzonej mu krzywdzie?

— Moi drodzy, czy to Ojczyzna mnie skrzywdziła? Czyż za złego człowieka mogę mieć pretensję do całego

ogółu? Nic mi nie pozostaje innego, jak podziękować Bogu za wybawienie z tych katuszy, i prosić Go o łaskę nad tymi którzy się znajdują w podobnej jak ja sytuacji.

Tu p. Czeski ujął go serdecznie za rękę i odezwał się: tygodni do nas zobaczyć jakeśmy z Malwiną, z którą zamieszkania u nas w Ameryce, niech ze pan będzie łaskaw objąć administrację domu, który nabyłem w Warszawie. Poprzednio jednak może by pan pojechał choć na kilka tygodni do nas zobaczyć jakieśmy z Malwiną, z którą zaraz po pańskim liście wziąłem ślub, urządzili się w Ameryce.

My zaś myślą zawsze jesteśmy tutaj w naszej Polsce, i mamy zamiar po paru latach zlikwidować tam swe interesa i wrócić tu do swego kraju, by wraz z panem, w szczęściu i spokoju, dożyć przeznaczonego nam kresu.

Uścisk ręki rozczulonego do łez szczęśliwem rozwiązaniem sprawy p. Karyńskiego, najlepiej odpowiedział na serdeczną propozycję p. Czeskiego.

KONIEC.